

CHIMERA. TOM X (OSTATNI). ZESZYTY 28/30.

REDAKCYA: WIDOK—13.

TREŚĆ.

TOM X. ZESZYTY 28/29/30. — XII/MCMVII.

ZESZYTY 28/29.

JOZEFIN PELADAN . . . . Ostatni wykład Leonarda da Vinci . 1
EDWARD PORĘBOWICZ . . . Ballady ludowe Europy zachodniej i południowej 39
MARYA KOMORNICKA . . . . Intermezzo 64
JAN RUNDBAKEN . . . . Śladem Rosynanta 82
HUGO VON HOFMANNSTHAL . . . O wierszach. Dyalog . . . 172
LEOPOLD STAFF . . . . . Po drodze 190
ARTUR GÓRSKI . . . . . Archanioł 206
CATULLUS (LUB GALLUS) . . . Wenus czuwa (Pervigilium Veneris) 214
ALGERNON KAROL SWINBURNE . . Laus Veneris 221
EWA LUSKINA . . . . Pokój ludziom dobrej woli . . . 239
BOLESŁAW LEŚMIAN . . . . Oddaleńcy 248
WACŁAW BERENT . . . . . Upaniszady Kena, Isa, oraz fragment z Wielkiej Aranyaki . . . 268

ZESZYT 30.

JAN KASPROWICZ . . . . . Narodziny Marchołta 321
STANISLAW WYRZYKOWSKI . . Z „Północnej Godziny“ 355
GIOSUE CARDUCCI . . . . . Wybór utworów 362
ZYGMUNT ZALESKI . . . . . Karyatydy strącone 374
KAZIMIERZ WROCZYŃSKI . . . Kosmos 383
WŁ. ST. REYMONT . . . . . Ostatni 395
ALFRED DE VIGNY . . . . . Mojżesz 404
LECONTE DE LISLE . . . . . Sen Kondora, In excelsis . . . 407
STEFAN MALLARMÉ . . . . . Kwiaty, Okna 409
PAWEŁ VERLAINE . . . . . Zanim ranna gwiazdo, Biały sierp, Łzy mżą, Nieba widać . . . 411
MAKS WALLER . . . . . . Na morzu 413
ALBERT GIRAUD . . . . . Do Kamila Lemonnier 414
IWAN GILKIN . . . . . . Pioska mistyczna 415
MAURYCY MAETERLINCK . . . Piosnka 416
KAROL VAN LERBERGHE . . . Piosnka 416
HENRYK NENCJONI . . . . . Potok życia 417
GABRYEL D'ANNUNZIO . . . . Klimena, Dobra nowina . . . 419
JAN PASCOLI . . . . . . Cytra Achillesa 422
ARTUR GRAF . . . . . . Zwierciadło 427
WIKTORYA AGANOOR . . . . Val di Sella, Wrota spiżowe, Czytając Maeterlincka 428
ANIOL ORVIETO . . . . . Pan, Góra wymarzona 430
ALFRED MOMBERT . . . . . Na brzegu, Ległem nad morzem, Jakże mi, Wprzód nimem . . . 431
MAKSYMILIAN DAUTHENDEY . . O daj mi spocząć, Wiew ściężał, Wzdłuż koniczyn, Na twej głowie, Na piersi mojej, Nigdy tak żądnie 433
JAN NERUDA . . . . . . Z „Pieśni Kosmicznych“ . . . 435
JAROSŁAW VRCHLICKI . . . . Harut i Marut, Muzyka w duszy . 436
J. S. MACHAR . . . . . . Pythagoras 441
OTOKAR BRZEZINA . . . . . Wino silnych 442
KAZIMIERA ZAWISTOWSKA . . . Złote rybki 445
JAN LEMAŃSKI . . . . . . Trójrytm 449
ALEKSANDER SZCZĘSNY . . . Liryka 454
STANISLAW BARĄCZ . . . . Oko 467



Ostatni wykład Leonarda.

PRZEDMOWA.

W trzydziestym roku życia, Leonard da Vinci przybył na dwór Ludwika Sforzy i założył w Medyolanie pierwszą, jaka wogóle powstała w Italii, akademię.

Sztych autentyczny z Muzeum Brytańskiego, przedstawiający widzianą z profilu florentynkę z odsłoniętą piersią, nosi napis ACHA: LE: V: i robi wrażenie dyplomu lub projektu na dyplom. Mamy nadto sześć rysunków floresowych, gdzie sznurki franciszkańskie przewijają się i wiążą wzorem dekoracyjnego pięknopisma arabskiego; czytamy na nich: ACADEMIA LEONARDI VINCI. Zgromadzenie to tworzyli zapewne naprzód uczniowie-malarze: Luini, być może przedziwny Sodoma, Andrea Solario, Marco da Oggione, Beltraffio, Cesare da Sesto, Gaudenzio Ferrari, Andrea Salaï, Francesco Melzi; dalej, humanista Lomazzo, Fra Luca Pacioli, autor „Della divina proporzione,“ Konstantyn Lascaris i Demetrios Chalcondylas. Urzędowy poeta księcia, Bellincione, a niekiedy i znakomity Bramante — przyłączali się do uczniów.

Akademia miala skupiać nadto młodzież żądną kształcenia się i pociągniętą przez geniusz oraz wdzięk Mistrza.

Nie jest tedy zmyśleniem bezzasadnem przypuszczenie, że mógł przemawiać po raz ostatni do tych, którzy od lat szesnastu karmili się jego wiedzą, i że, jeśli to zrobił, w owej tragicznej dlań chwili, — musiał wznieść się do rozważań najwyższych, musiał wyłożyć swą teoryę sztuki, czyli — jakbyśmy dzisiaj rzekli — swoją estetykę.

W różnych rękopisach ogłoszonych przez p. Ravaisson'a, w Kodeksie Atlantyckim, oraz w kolekcyi Windsorskiej, którą wydaje p. Szabasznikow, znajdujemy rozproszone pierwiastki tego wykładu ostatniego.

Cudzysłowy wokół zdań tekstualnych oraz odsyłacze do różnych rękopisów i wydań zjeżyłyby dziwacznie ten zwięzły zarys. Zwraca się on do artystów, a bardziej snadź jeszcze do pisarzy naszych czasów, w których niewolno szanującemu się człowiekowi oddzielać w uksztaceniu swem Sztuk Pięknych od Literatury. Obyż wzniosły ten głos z poza grobu był egzorcyzmem skutecznym dla sztuki i smaku dni dzisiejszych.



OSTATNI WYKŁAD LEONARDA DA VINCI W JEGO AKADEMII MEDYOLAŃSKIEJ [1499] *).

Pragniecie usłyszeć, w przemówieniu pożegnalnem, ducha mojej nauki. I owszem, przystaję chętnie, acz duszę mam smętniejszą, niż w on dzień, gdy na ścianie refektarza wyszło na jaw złowrogie olejów działanie. Ach! budowle Bramanta opuszczone... Książę utracił państwo, majętności, wolność... i nic z tego, co przedsiębrał, nie jest ukończone...

Wytrwałość broni nas od zniewag losu, jak odzienie od urazów zimna. Podobnie, jak pomnażamy suknie, gdy zimno się zwiększa, zdwójmy wytrwałość w dobie wielkich urazów życia, aby dusza nasza nie poniosła szwanku. I pytajmy doświadczenia, tej najbardziej gorzkiej, ale

---

*) Te *Memorabilia* największego z artystów, wydobyte z pięciu tysięcy stronic jego rękopisów, z pietyzmem przetłómaczone i ułożone, przedstawiają jego estetykę i bez ujmy stanąć mogą obok czysto technicznego *Traktatu o malarstwie.*

najpewniejszej wyroczni. Pośród knowań, zbrodni i bitew, które są jednakim księstw i rzeczypospolitych obyczajem, stawać po stronie wielkorządczych losów rzemiosłem jest najemnego kondotyera. Patrzcie na mnichów: żyją oni w dobrej zgodzie z Turkami, aby tylko wolno im było śpiewać swe modły. Tak i artyści powinni być zgodni, aby tylko wolno im było robić swoje.

Jakto? nasza ręka, która tyle trudziła się, aby misternie władać pędzlem, miałaby teraz chwycić szesnastostopową dzidę! Na toż tak długo kształciliśmy swego ducha, aż się stał zwierciadłem, w którem odbija się dzieło Boga, aby teraz wystawiać głowy na pociski oblężnicze! Kapłan, który się miesza do spraw świeckich, obniża swój urok i znaczenie: malarz winien nie znać innych białych i czarnych prócz barw na swojej palecie.

Doradza mu to, obok nader żywych instynktów samozachowawczych, nieskończone dostojeństwo Sztuki, która, jak słońce, jaśnieje dla wszystkich oczu i zachwyca równie pizańczyków jak florentczyków, równie gwelfów, jak gibelinów. I niedość jest — umyć ręce od wydarzeń państwowych; winniśmy nadto wyznawać najwyższe poszanowanie dla Pisma Świętego, przedewszystkiem dla tego, że w niem jest prawda, a potem, ponieważ artysta trzymający się nauk odszczepieńczych i wichrzycielskich odstręcza od swych dzieł ludzi, którzy są jedynie słów jego przeciwnikami.

Sztuka nie będzie miała wrogów i nie będzie zapoznawana przez nikogo, jeżeli artysta przykładać się będzie wyłącznie do swej pracy. Jakoż w istocie, Sztuka przedstawia tylko przyjemność dla każdego i prawdziwy pożytek moralny: leczy z nieokrzesania pierwotnego. Miejcie to za pewnik: ludzie rodzą się zwierzętami, a iluż przez całe życie pozostaje tylko workiem na pokarm! Człowiek rodzi się złym, ale wkrótce poznaje, że z jego

korzyścią jest być cnotliwym. Iluż dobyłoby puginału przeciw spółzawodnikom, iluż zabrałoby sąsiadowi to, czego im brakuje, gdyby nie strach takiegoż puginału lub praw karzących!

Dla nas robienie majątku nie jest celem, a służba nasza warta więcej od służby mnichów. Oni sprzedają publicznie i swobodnie łaski boże, nie pytając o pozwolenie gospodarza w niebiesiech, i płacą za to, czego żądają, niewidzialną, nieuchwytną monetą. My, malarze, czynimy widzialnymi Boga i Madonnę; ludzie oglądają ich na naszych malowidłach, jak gdyby w objawieniu. Jakież kazanie zdolne jest nawracać takie tłumy i przez tak długie lata, jak moja *Wieczerza* u Najświętszej-Panny-Łaskawej, zawsze jednako przekonywająca?

Gdy religia zostanie odrzucona, jako hamulec stający na przeszkodzie rozpętaniu nieprawości, fresk mój jeszcze opowiadać będzie ludziom najbardziej zepsutym o niezmierzonej Boga potędze! A gdyby ohydni zbrodniarze rzucili się na kościoły, wstrzymałaby ich — ich, których nie odstraszało już nawet świętokradztwo — piękność i doskonałość malowideł świętych.

Sztuka nasza wyjaśnia tajemnice i czyni prostemi, dotykalnemi dogmata najciemniejsze. Teolog nie zdoła nigdy wytłómaczyć Dziewicy-Matki. Gdy my ją odmalujemy, świat cały ją pojmuje i hołdem otacza. A jednak nikt z bractwa naszego nie był policzon w poczet świętych, nawet Fra Angelico!

Miłość rodzi się z poznania; im ono głębsze, tem bardziej miłość wzrasta. Owóż artysta, nieustannie zapatrzony w Stworzenie, oddaje Stworzycielowi hołd ustawiczny. Kędyż szukać Boga, jeżeli nie w człowieku, Jego dziele, i jakąż wielką modlitwą jest rysunek, który sili się zgłębić i odtworzyć obraz Boga! Wpatrzeni w przedziwny ład przyrody i w cudowną sztukę budowniczą, wyja-

wiającą się w ciele ludzkiem, poznajemy zaiste sprawcę wszego życia i miłujemy go, jakośmy powinni, rozważając, że ciało niczem jest obok duszy, która zamieszkuje taką architekturę i która — wszystko jedno, czysta czy grzeszna — jest rzeczą boską.

Piękne malowidło wysławia Artystę Najwyższego, bo zmusza do patrzenia na objaw jego potęgi. Bez nas, ubodzy duchem nie pojęliby dogmatów: my to dajemy ciało duchom i pokazujemy ludziom aniołów żywych i uśmiechnionych.

Dwa odruchy, instynkt i pragnienie, działają w nas jako siły poruszające: od jednego z nich nie możemy się oswobodzić. Musimy jeść, i spać, i odziewać się. Ale nie byłożby rzeczą niegodną zajmować ducha wydarzeniami swego żołądka? albo, gdy się jest sytym, poszukiwać snu, tego rodzaju śmierci? albo zakładać chlubę swą na chodzeniu w jednej nogawicy czerwonej, a drugiej zielonej, wedle nakazu mody, zawsze niedorzecznej? Szlachetne pragnienie jest duchowem: cnota i wiedza jedynie zadowolnić je mogą.

Pragnienie piękna odwraca nas, na przykład, od rozwiozłości, która zezwierzęca tyle osobników. Kto ma w pamięci piękne nagości sztuki, odsunie się raczej od kurtyzan, bo nie znajdzie w nich doskonałości, która żyje mu w myśli. Nie obrazy to psują obyczaje: one uzdrawiają je raczej.

Florencya, miasto demagogiczne, nie zasłużyła na piękne talenty, które jej się zrodziły, skoro uważa malarstwo za rzemiosło, dla tego że artysta otrzymuje wynagrodzenie. Nie żyją-ż kapłani z ołtarza, t. j., z prawdy, którą wykładają tłumowi? Słuszna też, iż my żyjem z piękna, gdyż bez naszego tłómaczenia mało ktoby je znał. Źli kapłani uchodzą niejednokrotnie za doskonałych. U nas obłuda jest niemożliwą. Widać odrazu, jeśli obraz jest

zły. Zresztą, policzcie ilość mnichów: tysiąc ich na jednego malarza.

Nie skończyłbym nigdy, gdybym miał na celu apologię Sztuki. Posiada ona właściwość boską: tworzy; czyni widzialną niewidzialność, a trwałemi rzeczy najbardziej pierzchliwe. Słodki uśmiech ust kobiecych, który urzekł całe życie Danta, my możemy go okazywać wszystkim i przez wieki całe. To, co jest jeno mgnieniem w rzeczywistości, my umiemy przeciągać poza długowieczność patryarchów. Przez to jesteśmy panami czasu.

Wielorakość języków, Babel nieustanna, przeszkadza ludziom rozumieć się wzajem. Węgrzyn, Esklawon nie pojmą ojczenaszu wypowiedzianego po toskańsku. Malarstwo, jednaki dla wszystkich język oczu, zrozumie Turek niegorzej od Lombardczyka. Zmuszamy dziecko, a ono płacze, ucząc się liter. Pokażcie mu rysunek: odczyta treść obrazu bez nauki. Z wyjątkiem bareliefu, rzeźba nie ma takiej jasności wyrazu: pozbawiona barwy, gry świateł i cieni, wyobraża ona poruszenia ciała raczej, niż duszy.

W głowach starożytnych widzimy cechy stale te same, wszystkie boginie podobne są jedna do drugiej, piękne tą samą pięknością, młode jednaką młodością. Nasze madonny są różnemi osobami, nie zaś jednym ciągle typem, i jawią ogromne urozmaicenie rysów. Starożytność oddawała piękno cielesne tak, że niepodobna uczynić lepiej. Ale odkąd jeden człowiek umarł na Wschodzie i odkąd Zachód opłakuje go co piątek, nowe piękno wraz z nową objawiło się prawdą. Jedna dusza odniosła zwycięstwo nad światem, wyłącznie przez swą piękność. Pojmowano dotychczas tylko gwałtowność namiętności albo pogodę bogów, a oto Bóg, który płacze, oto namiętności łagodne. Wielkie cudo, z którego powstała nowa Sztuka, współzawodnicząca ze starożytną. Dzwonnica Giotta wyż-

sza jest nad obeliski. Architektura, matka sztuk, poczęła je wszystkie, ale malarstwo, niezrównane jej dziecię, powołane zostało do oderwania się od monumentu i do stania się monumentem na własną rękę, i nikomu nie przyjdzie nawet na myśl jego drobna rozciągłość materyalna, jeżeli pełne jest wyrazu.

Mówić wam będą niejednokrotnie: „Zwróć oczy ku temu zwierciadłu, możesz w niem oglądać, do woli, postacie niebiańskie lub karykaturalne; wybieraj, co chcesz widzieć: aniołów czy ludzi, królewny czy wieśniaczki, głowę Bramanta czy idyoty!“ Mogę, prawda, malować, do woli, Izabellę d' Este lub wiejską gęsiarkę, księcia Ludwika lub jego masztalerza — ale nie powinienem tego robić. Tylko postacie niezwykle wybitne zasługują na zaszczyt sztuki.

Niektórzy z was towarzyszyli mi do Borghetto, gdy szukałem rysów Judasza. Ci, znając me notatniki, pełne grotesków, zdumiewali się mojej trosce — bo przecież łatwo jest zawsze oddać coś brzydkiego. Ale jakkolwiek nikczemny był sprzedawca Boga własnego, trzeba go było zrobić możliwym pośród innych uczniów, pięknych bez różnicy, jako przystało duszom, które myśl boska przybrała sobie za towarzyszki. Pewien święty upewniał o brzydocie Jezusa. „Przez pokorę,“ mówił, „Zbawiciel pragnął niewątpliwie wydawać się najokropniejszym ze śmiertelników.“ O głupoto biskupia! Przez zakon Najwyższego, ciało jest dziełem duszy: sama ona kształtuje swą powłokę i wykuwa ją od wnętrza na zewnątrz, jak złotnik chcący stworzyć wypukłości. Spytacie: jakże się stać mogło, jeżeli Jezus był tak piękny, aby cześć i miłość nie przejęły Żydów na jego widok? Owóż, ci nędzni nie mieli wcale sztuki: zakon zabraniał im czynić wizerunki czegobądź, co jest w niebiesiech lub tutaj na ziemi. Oczy ich, te okna duszy, były zamknięte, nie otrzymały światłości form. Bez sztuki, człowiek nie zna

piękna, bo sztuka jedna je wyraża. Tym więc, którzy są ciemni, na podobieństwo Żydów, brak zawsze dobroci oraz rozumu twórczego. Spojrzyjcie na sekciarzy Mahometa, zabobonnych i okrutnych, na te prawdziwie nieokrzesane zwierzęta: nie znają oni malarstwa, podobnie jak Żydzi.

Uważać możemy jakąś postać pod trzema względami: 1-o w jej gatunku i proporcyach: człowiek jest człowiekiem, zwierzęciem ludzkiem; 2-o w jej namiętnościach oraz ich odruchach: lew rozwścieczony ryczy albo też jeździec stara się poskromić konia: i 3-o jeśli nie chodzi już o jakiegobądź człowieka, lecz o człowieka, który myśli i robi rzeczy, jakie sam tylko myśleć i robić jest zdolen.

Trzy więc mamy stopnie w malarstwie: wyobrażenie zwierzęce lub typowe; ruch namiętnościowy; i wreszcie stan pojmowania. Ci, co zatrzymują się na dwóch pierwszych poziomach, nie osiągają bynajmniej celu sztuki, którym jest wyobrażanie osobistości wiekuistej. Życie i jego potrzeby, namiętność i jej przystępy są wspólne człowiekowi i zwierzętom. I zwierzęta parzą się, chodzą na łowy, walczą między sobą, podobnie jak my. Ale my myślimy, a one nie. One umierają, my zaś jesteśmy nieśmiertelni. Owóż, nieśmiertelność wynika ze zjawisk nieznanych zwierzęciu, które są, bez wyjątku, żywszemi lub spokojniejszemi stanami myśli.

Łatwo znaleźć modelów dla rzeczywistości i dla proporcyi ciał, równie jak dla niskich namiętności. Lud i żołdactwo dostarczają wszędzie zwierzęcych akcentów gniewu i chciwości; gdzież wszakże szukać wzorów myśli i nieśmiertelności, jeśli nie między królami i książętami, którzy, bądź aby zdobyć, bądź aby zachować swą potęgę, zmuszeni są do nieustannego wysiłku przezorności, oraz najśmielszych a zarazem najskrytszych obmysłów i rozli-

czeń? Ci, którzy wznieśli się ponad spółobywateli przez wielkie czyny lub nawet przez kabały i knowania, uderzają zazwyczaj charakterem pełnym zastanowienia, któremu piastowanie władzy więcej jeszcze nadaje głębi: pilnie więc badać ich należy. Co do motłochu, nie zaniedbywałem go bynajmniej, jako jednego z przedmiotów obserwacyi; któż wszakże zużywałby barw dostojeństwo na gęby bezmyślne i rubaszne? Tyleż warto byłoby naśladować na płótnie bez zmiany pierwszy lepszy spotkany krajobraz. Niemasz widoku, który stanowiłby tło odpowiednie dla jakiejś postaci, o ile nie zmienimy go w czemkolwiek. Jaskinia zgodzi się zawsze z niedźwiedziem, wilk z lasem, a wół z łąką; ale z chwilą, gdy chodzi o obramienie szlachetnej postaci ludzkiej, konieczną jest kompozycya twórcza. Może się zdarzyć, że wielkorządca, na podobieństwo Sokratesa, brzydkim będzie dla nieregularności rysów; ale jak miejscowość jakaś przemienia się w oczach zależnie od stanu nieba, tak oblicze człowiecze, jakiekolwiekby było, nabiera życia i wyszlachetnia się głębią duchową w pewnych chwilach, gdy indywidualność wychodzi na jaw. Aby portret był podobny, trzeba wyspowiadać modela, mówić o miłości z kobietą a o walkach z wojownikiem, gwoli rozbudzeniu duszy. Róbcie portrety tylko do pół ciała i wielkości mniej niż naturalnej: w ten sposób twarz zachowa całe swe znaczenie. Zaczynajcie od oczu, niechaj będą czynne, brzemienne wolą. Pięknym jest ten portret, który opanowuje, więcej, oczarowuje widza: najlepiej niechaj z oczu danej osobistości wyziera sam artysta i niechaj w ten sposób daje coś z własnego ducha tworzonym przez się postaciom.

Żadnego ruchu ni gestu, inaczej postać stanie się alegoryczną. Okazałem wam, że model może odmieniać wyraz do nieskończoności. Ta sama głowa, pod wzglę-

dem linij i proporcyj,—przechodzi od marzenia do wzgardy, od smutku do gniewu, przez prostą zmianę cieniów wokół oczu i ust. Nie troszczcie się o uwydatnienie wyrazu, żadnych nie pozostawiające wątpliwości. Zagadka pociąga człowieka i więzi jego uwagę. Księża mają słuszność, że nie chcą, aby wyjaśniano religię. Gdyby nasze tajemnice chrześciańskie zostały zrozumiane, trzebaby natychmiast wymyślić inne; umysł nasz karmi się zagadnieniami. Magia zgubiła wiele tęgich głów, ponieważ, odsłoniwszy, w mniemaniu swem, tajniki wiary, stały się one wyznawczyniami innych tajemnic dziwacznych i, wrzekomo przeniknąwszy skrytości Kościoła, spostrzegły wnet inne... a potem inne jeszcze.

Rozum ćwiczy się, jak u siebie w domu, w dziedzinie doświadczenia. Nabyć jakąś wiadomość — pożyteczna zawsze dla umysłu, choćby dla tego, że porzuca się bezużyteczne, a zachowuje to, co dobre. Bo, nie znając, niepodobna nic kochać lub nienawidzieć; to też pragnienie poznania działa w człowieku jako instynkt zwierzchniczy.

Znajomość przeszłości i badanie stworzenia są ozdobą i karmią ducha ludzkiego. Należy posuwać się od znanego do nieznanego — i świadectwo zmysłów jest prawdziwym probierzem prawdy; ale rozum nie może ogarnąć nieskończoności: początek i koniec rzeczy leży za granicami umysłowości ludzkiej. Niechaj sobie mnisi i księża, którzy przez natchnienie posiedli wszystkie tajemnice, tłómaczą pisma święte, które są prawdą najwyższą. My zadowolnijmy się tem, że, nieokreślając nieskończoności, damy ją odczuć. Aby wywołać ten odblask nieskończoności w jakiejś twarzy, należy odrzucić znamiona namiętnościowe i ukształtować maskę poważną i uśmiechnioną jednocześnie, pociągającą i ujarzmiającą zarazem, niby chimerę, która nie byłaby okrutną, albo syrenę, która chcia-

łaby tylko wypróbować żeglarzy, albo wreszcie niby anioła nieco ironicznego.

Te materye zbyt subtelne wymykają się słowom: zrozumiecie mię jednakowoż, gdy powiem, że piękne oblicze winno być jak gdyby muzyką myśli harmonijnych a nieokreślonych. Jakaś nuta wydaje nam się smutną lub wesołą, stosownie do okoliczności, jaką nam przypomina; podobnie, jakaś twarz nader różnym podoba się widzom: żaden nie widzi w niej tegoż samego.

Mówili jedni, że zbyt wielką dałem przewagę naturze ludzkiej Zbawiciela, ponieważ poza jego głową brak tradycyjnego nimbu złotego; drudzy, że rozwinąłem zanadto naturę boską, ponieważ Jezus z rezygnacyą nadludzką przyjmuje zdradę Judasza. Zrobiłem zatem dobrze, skoro stronnicy jednej i drugiej natury odnajdują je w mojem dziele. Widz doszukuje się w obrazie, na który patrzy, własnych swych dążności; i sam artysta odtwarza nieprzeparcie myśl swoją, więcej nawet, rysy swej własnej twarzy; dochodzi tak daleko, że obdarza modelów swych własnemi wadami i zaletami.

Kto wierzy, iż celem Sztuki jest odtwarzanie natury, nie namaluje nigdy nic trwałego: bo natura — żyje. Ale nie ma ona rozumu. W dziele, myśl winna wynagrodzić i zastąpić życie, inaczej ujrzymy tylko twór cielesny, bez duszy. Dostojniejsza to będzie zawsze — pomyśleć postać niebiańską, aniżeli skopiować ziemską, namalować anioła aniżeli człowieka.

Jedynie przedmioty duchowe godne są kusić prawdziwych artystów, choćby tylko przez swoją trudność! Czem gardzimy w rzeczywistości, gardźmy tem również i w sztuce. Któż śmiałby wziąć za temat obrazu żebraków u drzwi kościelnych, albo wieśniaczki na targu, albo też wyobrazić odwach, szynkownię lub ghetto żydowskie? Wszystko to może być pożytecznem przy nauce. Brzydo-

ta przyda się przy badaniu piękna, bo pojmujemy lepiej jakąś rzecz przez jej przeciwieństwo. W dziele, prawidłem jest piękno, wynikające z potrójnej doskonałości: formy, uczucia, oraz idei.

Zaczynamy od piękna zewnętrznego, i możemy sobie przyklasnąć, gdy je osiągniemy; potem staramy się wydobyć na jaw duszę. Byłoby dziecinstwem ubiegać się o oddanie namiętności, zanim się posiędzie wszystkie części budowy ciała ludzkiego i pozna ruchy każdego członka w najprzeróżniejszych położeniach. Ale kto już posiadł umiejętność, postępować będzie inaczej. Zacznie dzieło w duchu; potem będzie się starał wynaleźć ruch odpowiadający jego idei; wreszcie, po trzecie, narysuje ciało zamierzonej osobistości. — Gdyby ktoś, chcąc malować Chrystusa, zaczął naprzód pracować podług modela, nie doszedłby do niczego. Oto jak winien postępować. Musi wyobrazić sobie, naprzód, medytacyjnie, czytając Ewangelię, Człowieka-Boga; gdy wyobrażenie wyosobni się w jego duchu, musi wybrać zdarzenie najbardziej nadające się do uwydatnienia tego obrazu, oraz zdecydować rysy twarzy, postawę i wszystko to (osoby czy krajobraz), co ma obramić Zbawiciela. Wówczas dopiero niechaj weźmie modelów, aby ustalić ruch, fałdy odzienia, oświetlenia i perspektywę optyczną.

Przedniejsze wszakże głowy, te, które mają wyrazić myśl jego, musi stworzyć w swej wyobraźni. To wynalezienie twarzy jest wierzchołem geniuszu i trudności zarazem.

Dzieło składa się, jak człowiek, z ciała, duszy i ducha. Uczniowie, zaczynajcie, wedle wymagań nauki, od ciała, które jest rzeczą znaną, aby potem dotrzeć do duszy, która stanowi nieznane. Mistrz, przeciwnie, zacznie od idei, a potem nada jej wyraz i kształt właściwy. Nie naśladujcie malarzy północnych, którzy, nie wznosząc się

do dziedzin ducha, celują w oddawaniu niektórych uczuć, jak pokory i prawdziwej zbożności, ale kopiują przytem niewolniczo pierwszą lepszą osobę spotkaną i brzydko odziewają piękne dusze.

Na ulicy zwraca uwagę nie człowiek szlachetnej, spokojnej postawy i przystojnej odzieży, lecz ten, co uderza wzrostem nadmiernym lub strojem dziwacznym.

W sztuce, widz lubi przedewszystkiem wszelkie przesady: uwielbienie jego żąda, aby je zdumiewano czemś niezwykłem i nieznanem; dla tego, na drodze, którą wam nakreśliłem, nie zbiera się uznania ogółu. Oko tłumu znajduje upodobanie w barwach nader żywych i niezgodnych, kładzionych twardo jedna przy drugiej: jest to błąd barbarzyński. Obraz powinien mieć barwę ogólną, panującą i uciszającą zabarwienia poszczególne, jak gdyby rozsiane w nim światło stanowiło kolor główny.

Rysunek ma za przedmiot jedno tylko: apoteozę ciała ludzkiego. Biorę to słowo w znaczeniu starożytnem, w rozumieniu heroicznem, i dochodzę oto do ważnej kwestyi charakteru dwu płci.

Wojownik nie będzie miał nigdy zawiele męzkości, ani młoda branka — zawiele słabości i omdlałości. Ale postacie anielskie lub alegoryczne do jakiejż płci należeć będą? Zarost i piersi wypukłe nie przystoją jednako naturom duchowym; nawet gdyby naśladować cechy wieku bardzo młodocianego, chłopiec będzie miał zawsze niedość słodyczy, a dziewczątko wyda się nazbyt wątłem.

Jeśli chcecie malować anioła, podług mężczyzny, musicie zaokrąglić członki, ścieńczyć stawy, uczynić ruch giętszym, bardziej niewieścim; jeżeli pracujecie podług kobiety, trzeba usunąć nadmiar ciała, zmiejszyć krzywizny, nadać twarzy więcej męskości: tak, aby wydobyć młode dziewczę z modela męskiego, albo młodzieńca z modela kobiecego. W obu wypadkach, otrzymacie trzeci stan

ciała ludzkiego, łączący w sobie siłę z wdziękiem i stojący ponad wszelaką chucią czy pożądliwością; ten bowiem trzeci stan postaci ludzkiej nie obudzi żądzy w mężczyznach, choć jest takim kobiecym, ani pragnień w kobietach, choć tyle w sobie męzkich ma rysów. Jest to zresztą jedyny sposób, aby uczynić piękno czystem i odpowiedniem dla posłów niebiańskich, dla geniuszów oraz innych przejawów duchowości.

Dodajcie do tej formy, której natura nie zna, i którą geniusz człowieczy wynalazł, aby módz wcielać niewidzialne, dodajcie — mówię — do tej formy charakter muzyczny wyrazu oraz cechy zagadkowe, jakie nadaje modelacya zastosowana do wydobycia na jaw wewnętrzności,— a otrzymacie prawdziwe zjawy nadziemskie, bez uciekania się do nimbów, niebios otwartych, albo efektów światłocienia.

Malarz odnosi wielkie zwycięztwo, okazując przez samo piękno, że jakaś postać nie należy do ziemi i niebawem powróci do nieba, zkąd zstąpiła.

W nagościach, ciało, przez swoją masę świecącą, odrywa nas od twarzy, tej niezrównanej widowni wyrazu: dobrze jest tedy miarkować ów blask za pomocą oświetlenia sztucznego. Co do głowy, należy ją modelować z wnętrza na zewnątrz. Jeżeli przyjmiecie modelacyę światła zewnętrznego, wyrzeczecie się potęgi i czaru ekspresyi. Usuńcie śmiało głowę z pod wpływów okolnych, niechaj ona będzie obrazem w obrazie. Zwyczaj rozpoławiania twarzy przez linię nosową i pogrążania jednej strony w cieniu—nic nie wart. Modelujcie przedewszystkiem wyraz, a potem szukajcie światłocienia odpowiedniego dla tej modelacyi.

Zanim przystąpicie do malowania, ustalcie głowę aż do szczegółów jedną barwą, zwłaszcza usta i oczy, i doprowadźcie je do ostatnich granic wykończenia. Kto ma

oczy, ma usta; kto ma oczy i usta, ma głowę; kto ma głowę, ma postać całą, bo w głowie objawia się myśl, ten nieśmiertelny przywilej człowieka. Ciało, draperye, tło, wszystko to są rzeczy dodatkowe.

Widzimy nieraz malarzy, których przyroda oczarowuje i ujarzmia; nie sądzą jej oni, odbijają jeno, jak staw odbija swe brzegi. Mistrz nie ulega takim zawrotom głowy; jest on, niewątpliwie, kochankiem natury, ale broni się od służalczości; to nie Herkules przędący u stóp Omfalii, lecz Ulisses przed czarodziejką Medeą, zmuszający ją do posłuszeństwa mieczem rozumowania.

Model, pożyteczny i niebezpieczny zarazem, zaciera nam w pamięci własną naszą koncepcyę, a mówiąc to, nie mam bynajmniej na myśli aktów nagich wyłącznie. Nawet w portretach, strzeżcie się mód swojej epoki: uczynią one dzieła wasze śmiesznemi w oczach potomności. Strzeżcie się również idej swego czasu: artysta nie pracuje dla swych współczesnych, ani dla swego kraju, ani dla swojej rasy. Wszystko, co jest medyolańskiem, florentyńskiem albo z takiego a takiego roku, wszystko to jest złe: należy myśleć o powszechności ludzi i czasów. Strzeżcie się wreszcie, aby głowy jednego malarza nie były wciąż podobne do siebie i aby ten rys pokrewieństwa nie narażał rozmaitości osobników. Wiekom przyszłym nudnemi się wydadzą te mody, te ruchy przesadne, te miny nienaturalne, które są tylko chwilowemi wykrzywieniami jakiegoś miasta czy gromady ludzkiej.

Nie naśladujcie tych, co przyodziewają swych bohaterów we własne kaptury, a postacie biblijne—w łachmany, ujrzane gdzieś w porcie lub na statku. Bo, gdybyśmy nawet znali rzeczywiste ubiory apostołów, jeszcze nie powinniśmy naśladować ich niewolniczo — inaczej byliby to poprostu rybacy z nad Tyberyady, równie nic nie znaczący jak tutejsi z nad Adryatyku. Owóż, w apostołach

zajmuje nas przedewszystkiem ich apostolat, nie zaś ich rzemiosło pierwotne: i mamy obowiązek wyobrazić ich jako rybitwów ludzi, nie zaś jako rybaków ryb. Wyobraźcie sobie, że odtworzyłem wiernie dwanaście głów żydowskich z Borghetto, składając się tem, iż uczniowie Chrystusa byli żydami, i że przyodziałem ich w turbany i suknie widziane w Wenecyi! Cóż za śmieszność! Cóż za karykaturalna rzeczby to była! — Nie pozostaje zatem, jak odziewać w szerokie szaty fałdziste na modłę starożytną — powiecie? Dla czego na modłę starożytną? Nie odziewałem nigdy inaczej jak po Leonardowsku: stwarzałem m o j e suknie, m o j e płaszcze i ich fałdy, podług mych ciał! Nie naśladujcie teutonów oraz ich załamań o kątach prostych i tak licznych, że ciało znika i że widać już tylko głowę i dwie ręce wydobywające się z dwudziestołokciowej fali tkanin. Malujcie podług tkanin cienkich i zwilżonych, i stopniowo dopiero pogrubiajcie, aby nie stracić z oka ciała. Każda postać namalowana winna módz zbudzić miłość, pełną czy to uwielbienia, jeżeli jest święta, czy ponęty, jeżeli świecka. Sztuka chce podobać się duchowi za pośrednictwem zmysłów. Nuży nas szybko świetna a hałaśliwa młodość, i znużyłoby nas szybko dzieło nie mające innego ponad ten powabu. Kobiety wywierające wpływ gwałtowny są raczej przebiegłe i zręczne, aniżeli nieskalanie piękne: nie należy zatem poprzestawać na wyobrażaniu osób pięknie ukształtowanych i szlachetnych. Złożoność i subtelność urozmaicają niesłychanie ten sam przedmiot.

Niewiele filozofii potrzeba malarzowi, jeżeli pojmuje wyraźnie cel swojej sztuki. Niejednokrotnie wszakże uważa on, iż skończył z nauką, odkąd zdoła malować ściśle podług natury, — i, zapoznając wielmożne dostojeństwo swego pędzla, posługuje się nim gdyby narzędziem rzemieśl-

niczem, zamiast używać go tylko na rzecz piękna, jak rycerz dobywał miecza jedynie za sprawę słuszności.

Z Piękna, jak ze źródła, słodkie płyną rozkosze; oko podaje duszy miłe wrażenie, a dusza udziela go duchowi, rozwijając przez to nasze władze. Powstając naraz ze zbiegu stosunków i proporcyj, nabierając potem życia przez namiętność żywą i heroiczną, Piękno dochodzi jednak do szczebli najwyższych dopiero w sferze duchowości. Wyobraźnia nasza mocniejsza jest od naszej wrażliwości; duch strzeże lepiej tego, co otrzymał, niż podległa wzruszeniom dusza.

Ileż kobiet porusza z kolei człowieka, podczas gdy pozostaje on wiernym aż do starości myślom swych lat młodzieńczych! Aby Sztuka mogła zadowolnić ducha, dzieło musi ujawnić jednocześnie piękno rodzaju i piękno indywidualne, musi zjednoczyć w sobie doskonale ukształtowaną istotę typu z rozmaitością zależną od indywidualizmu. Im więcej w stosunku doskonałym szczególnych zawrzecie właściwości, tem pewniej osiągnięcie poklask trwały. Wyrażając swą myśl, czuję podobną obawę, jak gdy mam schwycić motyla o skrzydłach połyskujących pyłkiem leciuchnym, który ściera się pod palcami.

Piękno złożone wynika z dwuznaczności i prawie z przeciwieństw. Wyobraźcie kobietę zbyt dumną, aby człowiek śmiał mówić jej o miłości, a nie mogącą ukryć niecierpliwego pragnienia być kochaną.

Tę połowiczność uczucia, ten wyraz dwoisty i zwikłany — zgłębiać należy u kobiet: ich ustawiczne wahanie się, ruchliwa kapryśność ich usposobień są źródłem tych mieniących się spojrzeń, tych uśmiechów niedających się określić, tych prawdziwych drogich kamieni dla artysty, który zdoła w szlachetne oprawić je rysy.

Tak powstają owe migotliwości duszy, nieodparty rzucające urok i roznamiętniające jak zagadnienia szczę-

ścia. Bachantka, mniszka, obie o cechach zbyt wyraźnych, nie podniecają bynajmniej wyobraźni. Widz poznaje natychmiast ich rzeczywistość i nie ma powodu do marzenia. Musi on, przeciwnie, powątpiewać o swem zrozumieniu, aby w nad miarę podrażnionym umyśle zaroiły mu się najróżnorodniejsze wykłady i objaśnienia. Człowiek kocha głęboko jedynie rzeczy nieuchwytne i zapala swe pragnienie jedynie u krzosu przeciwieństw. Ludzie, których opuszcza żarliwa ongi nabożność, stają się zabobonnymi, więcej, oddają się czarnoksięstwu, z potrzeby nieznanego; nawet podniosła miłość wiedzy ma swe źródło w nieprzepartem ciążeniu natury naszej ku rzeczom niewytłómaczalnym. Miłość prawdy — ten najszlachetniejszy odruch naszego ducha — zanikłaby niezwłocznie z chwilą osiągnięcia celu. Poszukiwanie rozognia nas, wyrabia nasze władze, potęguje w nas życie wyższe. Odkrycie zawsze nas rozczarowuje. Szczęście jest tylko pobudką do działalności; gdybyśmy je osiągnęli, jużby nam nie wystarczało: zwrócilibyśmy się ku nowym poszukiwaniom.

Podtrzymujemy życie fizyczne pokarmami; życie duchowe znajduje karm' swoją w sztuce, bo ta utwierdza człowieka w jego poczuciu nieśmiertelności. Niebezzasadnie umysł podobien jest magnesowi: siła jego potęguje się w miarę ćwiczenia jego właściwości. Dostojeństwo śmiertelnika uwidocznia się w pieczy, jaką otacza on swój umysł: kto pielęgnuje rozum, pielęgnuje cnotę. Wszeteczniсy, popędliwcy i chciwcy nie są ludźmi rozmyślań i pracy; nieustannie w pogoni za okolicznościami sprzyjającemi ich głupim namiętnościom, podtrzymują oni zamęt w kraju i zagrażają spokojowi innych. Kto z rozkoszą najwyższą zatapia się w rozważaniu stworzenia i sili się rozróżnić w niem prawa rządzące, ten dobrym jest obywatelem; uchyla się on od spółzawodnictw i nie zna żądzy ni zazdrości. Przykłada cenę najwyższą jedynie do

zbogacenia swej umysłowości: i słusznie, w rzeczywistości bowiem nie posiadamy nic prócz swych myśli. Patrzcie więc, gdzie szukać prawdziwych bogaczy? Nie są-ż nimi artyści, szafujący hojnie czeladzi ludzkiej skarbami swych wizyj, objawiający doskonałość rzeczy i świadczący o wszechmocnej ręce Wielkiego Artysty, której jesteśmy arcydziełem, ponieważ posiadamy nawskróś boską władzę tworzenia? Niemasz istotniejszego nekromanty, niemasz prawdziwszego cudotwórcy nad malarza.

Wywołuje on, wedle swej woli, najstarożytniejsze osobistości i nawet bóstwo samo! Niedość tego! na płaskiej i ograniczonej powierzchni umie okazać całą krainę z rozległemi równinami, wysokiemi górami, krętemi rzekami, i jednocześnie dziecię-Jezusa, jego matkę, oraz orszak królów magów; i to nie są widma zwiewne, co olśnią na chwilę i zacierają się natychmiast: tu zjawa przeżywa tego, co ją wywołał.

Sam tylko malarz zdolen jest wywoływać duchy: nawet święci zjawiają się na zew jego i w takiej postaci, jak ich sobie wyobrażamy.

W tematach świętych należy trzymać się wierzeń powszechności, ponieważ same one są już obrazem wytworzonym przez wyobraźnię wiernych, z którym pomysł jednostki nie może się mierzyć. Odwiedziny królowej Saby u Salomona zależą zupełnie od upodobania artysty.

O ile jakaś postać nie istniała dotąd w umysłach ukształconych, z rysami uświęconemi przez tradycyę i ściśle określonemi, niechaj artysta usiłuje uczynić ją tak pełną znaczenia, aby współcześni wlączyli ją w orszak osobistości tradycyjnych: byłoby to najpiękniejsze powodzenie. Nie wyrażając żadnego faktu historycznego, postać ta będzie objawieniem jakiejś duszy.

Trzeba myśleć o muzyce i o chwili milczenia poprzedzającej wieczór, jeżeli się chce stworzyć wyraz kuszącej

ponęty. Gdy namalujecie kobietę, niechaj widz zapragnie być kochanym przez nią, żadnej jednak nie żywiąc nadziei! To są jedyne miłości, które nie kończą się łzami: bo im więcej uczucia w naszych pragnieniach, tem większa męka, wielka męka!

Malarz, który schlebia grubym instynktom, zapoznaje dostojeństwo swej sztuki. Ci i owi księża wykrzykują przeciwko studyowaniu nagości i chcieliby, aby, gwoli wstydowi, człowiek nie znał świetności ciała. Sztuka nie może różnić się od człowieka: niewolno jej wyrzec się ani wdzięku, ani tchnienia rozkoszy, o ile nie chce umniejszyć się i ograniczyć. Wszystko dochodzi nas przez zmysły; cnotliwość polega na miarkowaniu ich odruchów przez jakiś pociąg wyższy. Kobieta budząca pożądanie nie będzie bynajmniej Wenerą, o ile brak jej cechy właściwej boginiom, że onieśmielają żądzę śmiertelnika. Niektórzy wyobrażają aniołów jako dzieci, jak gdyby czystość ich pochodziła z niewiadomości. Według mego rozumienia, potęgujemy ich dostojeństwo, jeżeli oczy ich niepokoją człowieka swoją wyższością umysłową. Wykonawcom zamierzeń niebieskich, powiernikom tajemnic — źle przystawałaby niewinność prostaczków. Anioł taki wyglądałby na dobrego sługę, który nie wie, co za piękny powierzono mu obowiązek, i spełnia go niewolniczo.

Starożytni nie postępowali nigdy lekkomyślnie, i trzebaby mieć szczególne powody, by nie iść za ich przykładem. Jeżeli ich malarstwo, z którego nic się nie przechowało, podobne było do ich rzeźby, to miało ono wyłącznie charakter typów: bo najpiękniejsze posągi wyrażają spoczynek. Niechaj wasze postacie odosobnione będą spokojne; zaznaczajcie charakter czynny tylko w wyrazie: uśmiech niezwykły zaciekawi umysł bardziej, niż gestykulacya gwałtowna. Niewątpliwie, i z bitwy można stworzyć dzieło dramatyczne, dałem przykład tego, we

Florencyi, w epizodzie z pod Anghiari; jest to wszakże sztuka drugorzędna, wyższa od wyobrażania czysto zwierzęcego, ale niższa od wrażeń wywieranych przez pierwiastki duchowe. Oto dlaczego lud sądzi zawsze źle i nie poznaje się na pięknie najwyższem. Rzeczywistość sąsiaduje bliżej z jego własną naturą niezmiernie ograniczoną. Ganiono mnie, że zajmuję się najróżniejszemi rzeczami, obcemi mojej sztuce. Malarz winien być człowiekiem wszechstronnym i korzystać z najdrobniejszych spostrzeżeń. Poziomy to umysł, w którym nic nie budzi zajęcia oprócz własnego procederu! Dzieło rozszerza się lub zacieśnia stosownie do tego, czy mózg malarza wielkie lub małe ogarnia widnokręgi. Kto w całym świecie widzi tylko swego modela i swą paletę, schodzi na poziom rzemieślnika: nie zastanawia się już ani nad sobą ani nad innymi, natura uderza tylko jego oko, lecz nie ducha, sam on staje się tylko okiem i ręką głupca — poza umiejętnością władania pędzlem — zupełnie ciemnego. Nauki są prostymi żołnierzami sztuki: pomagają jej do wyrażania z całą ścisłością najniedostrzeżeńszych, najnieuchwytniejszych rysów ducha. Rozległość i pewność wiedzy stanowią podstawę każdego zawodu. Cudowna harmonia wiąże między sobą rzeczy stworzone, i oko malarza wydobywa pierwiastki swej sztuki z widowiska życia. Bicie skrzydeł ptasich da wam rysunek powieki, fala konająca na piasku wskaże odruchy uśmiechu. Znajdowałem na niebie blaski dające się zastosować w spojrzeniu, a kwiaty nauczyły mnie póz dla rąk.

Malarz powinien przestawać z ludźmi, których los pomyślny wyniósł wysoko. Ich zamiary głębokie, nawyknienie do zuchwałego ważenia się na rzeczy i do szczęśliwych zawsze wyników, niezachwiana skrytość, która jest im konieczną, ustawiczna troska o zachowanie lub wzmożenie władzy, wszystko to wytęża ich sprężyny

wewnętrzne i czyni z nich przedziwny materyał do studyów.

Ich oczy wyniosłe przysłaniają się, wedle woli, albo miotają błyskawice; w radzie czy w potyczce nabierają wyrazów, które doprawdy wprost przenosić na płótno. Tymczasem pośledni obywatel, zajęty jedynie zarabianiem pieniędzy, nie godzien naszej uwagi: niemasz dlań żadnego odpowiednika malarskiego. Łatwiej znajdujemy natchnienie w kobiecie, niż w mężczyźnie, bo patrzymy na nią z mimowolnem upodobaniem, które ma swój powód, nieznany prawom przyrody. Malujcie ją, ze ściśniętemi kolanami, z rękoma zbliżonemi do ciała, z głową pochyloną i nieco w bok przegiętą: niechaj nie robi wrażenia zbyt łatwej zdobyczy ani zdawkowej uprzejmości. Inaczej widz nie uczuje żadnego pociągu, a niewarto pracować nad postacią, której niktby nie zechciał, gdyby spotkał ją żywą. Nie trzeba również, aby widz miał poufałe uczucie, że spotykał już waszą postać, albo że zna zupełnie do niej podobne. Nawet przed portretem, krewni i przyjaciele winni dziwić się rzeczom, jakich malarz dopatrzył się w modelu. Jest pewna, rzadka nader władza przenikania aż do wnętrza istot, która sama jedna pozwala osiągnąć podobieństwo idealne, różniące się zasadniczo od dokładnego widzenia; działa ona w sposób wieszczbiarsko-odgadujący i wyjaśnia nieznane przez znane, istotę wewnętrzną przez jej zewnętrzność. Rysowałem wielu starców, ponieważ ich zmarszczki i wykoszlawienia odsłaniają namiętności i cierpienia ich lat minionych; z fałd ich skóry czytać można koleje życia, jak gdyby się patrzało na mapę dokonanego ich przeznaczenia. U schyłku żywota, nos pyszałka zaznacza się wyraźniej, łysina odsłania czoło czcichutnego, bruzdy na twarzy wyjawiają skąpca, a nadmiernie wydatne wargi — żarłoka. Dajcie nizkie, zapadłe czoło, spłaszczcie nos — a doprowadzicie typ do rubieży

głuptactwa. Rozszerzcie szczęki, zwężając wargi,—a stworzycie wyraz okrucieństwa. Każda z namiętności naszych ujawnia w szczególności jakiś popęd bestyalny, i podobieństwa zwierzęce odsłaniają, na pierwszy rzut oka, całe dusze ludzi. Któż nie zauważył dziwnego powinowactwa między ludźmi prawa a lisem, między duchownymi a fałszywą dobrodusznością niedźwiedzia, podczas gdy ludzie szlachetni lecz niegłębokomyślni przypominają konia, kondotyerzy nasi mają profile ptaków drapieżnych, a śród ludu najzwyklejszym jest typ zbliżony do psa lub barana. Cóż dziwnego, że mamy popędy zwierzęce, skoro organizm nasz w tylu punktach zbliża się do organizmu zwierząt? Ale, z innej strony, konieczność pracy nadaje ciału ludzkiemu cechy zasmucające: można odgadnąć profesyę człowieka z nadmiernego rozwoju lub zaniku tej lub owej części ciała. Moda również psuje nasze kształty. Nogi wykoszlawiają się jednako przez nędzę i przez zbytek, przez wykwintne obuwie i przez chodzenie boso: należy więc rysować je idealnie. Dawajcie pierwszeństwo przed kurtyzanami kobietom wysokiego rodu i dobrych obyczajów. Życie próżniacze, skłonność do marzeń, czytanie poetów, pewien zresztą urok bogactwa — są rękojmią, że znajdziecie w nich doskonałe studyów przedmioty. Starajcie się zbudzić w nich żywe zajęcie, aby dać polot ich zalotności: uczciwe mają często wiele wyrazu, podczas gdy niepowściągliwe robią wrażenie jakiejś czczości wewnętrznej. Żądza hamowana wybłyska w oczach. Czemuż kobiety odsłaniają swe lubieżności, swe najsromotniejsze i najskrytsze postępki księdzu, który nic z tem nie umie począć, podczas gdy też same wyznania dopomogłyby wielce malarzowi?

Noszę zawsze przy sobie małe zeszyciki, w których rysuję naprędce wszystko, co mnie uderza: nigdy atoli nie przeniosłem ani jednego z tych szkiców do żadnego

z mych dzieł. Byłem bardzo młody, gdy namalowałem jednego z aniołów w *Chrzcie Chrystusa* mistrza Andrzeja Verocchio, i wówczas już zdołałem stworzyć piękno, jakiego nikt dotąd nie oglądał. Głowy moje nie są podobne ani do mnie, ani do moich przyjaciół: są to medale myśli mojej, i dla tego pociągać będą zawsze tych, co myślą.

Unikajcie cech charakterystycznych, podobnie jak mód, waszego miasta, i myślcie o czasach przyszłych.

Malarz nie jest historykiem obyczajów, wyobraża on na płótnie człowieka, nie zaś medyolańczyków czy florentczyków. I tego już zawiele, że najróżniejsze postacie tego samego malarza mają zawsze jakiś rys pokrewieństwa.

Uczucia gwałtowne, czyny dramatyczne uderzają wrażliwość raczej, niż wyobraźnię. Przeciwnie, jeśli namalowana przez was postać wyobraża tylko siebie samą, bez żadnego gestu czy atrybutu, umysł widza doznaje podrażnienia — a wiecie, że człowiek lekce sobie waży to, co rozumie. Kształty niechaj zawsze będą harmonijne i takie, jakie ustanowili starożytni. My dzisiejsi możemy, po nich, tworzyć rzeczy nowe tylko w dziedzinie wyrazu. Aby odkryć jego teoryę, idźmy drogą nauk, przez doświadczenie! W chwilach szczęśliwych, gdy patrzymy na cudną okolicę w piękny dzień słoneczny, albo gdy słuchamy przyjemnej muzyki, albo wreszcie gdy istota ukochana wyciąga do nas ręce, nie wiemy, jak oddać naszą radość: nazywamy ją wtedy niewypowiedzianą, niewyrażalną, niewysłowną, nieprzetłómaczalną. A więc! według mnie, winniśmy dążyć do wypowiedzenia rzeczy niewypowiedzianych, wyrażenia niewyrażalnych, urzeczywistnienia niewysłownych, przetłómaczenia nieprzetłómaczalnych. Wszystkie one są już gdzieś poza kształtami i proporcyami — i malowanie ich wykracza poza granice wyobrażania plastycznego; jest to tworzenie duchowe,

która ducha też pociągać będzie. Postacie takie darzą widza tą samą radością, co twarz ukochana. Ale twarz odnawia nieustannie swój wyraz, postać zaś malowana — nie.

Złożoność wyrazu musi zatem wynagrodzić wielką rozmaitość następujących po sobie gier fizyognomii. W tym dziale sztuki nie miałem poprzednika, a oto jak sam postępuję. Robię wiele rysunków tej samej głowy, jedne z wyrazem nader tkliwym, drugie z ironicznym, te pełne omdlałości, inne tryskające życiem; i podług tych różnych wersyj jednego tekstu, pożyczając to ztąd to zowąd jakiegoś odcienia, układam oblicze tak zagadkowe, że każdy w niem widzi to, co chce, nie myląc się jednak doszczętnie co do rzeczy, jakie w niem zawrzeć chciałem, bo wolą moją było usnuć wątek wyrazu z włókien najróżnorodniejszych. Wiecie, że, zmieszawszy rozmaite wonności, otrzymujemy nową; tak ja mieszam przeróżne wyrazy twarzy, by otrzymać z nich urok niejednolity, który nigdy nie znudzi widza, bo ten nigdy nie będzie pewien, czy to, co widzi, jest tem, co jest. W takiej sztuce, postać na obrazie panuje nad widzem potęgą spojrzenia i niepokoi umysł jego jednoczesnym wyrazem wabności i lekceważenia wzgardliwego, rozdzielonym w równych częściach między oczyma i ustami. Większa to chwała pracować twórczo w takiej sztuce, niż malować namiętności, bo ruchy myśli są bez porównania subtelniejsze.

Wiem dobrze, iż nie jestem biegłym w literaturze, i że pewni zarozumialcy sądzą się w prawie zarzucać mi, jako nie rozprawiam wzorem uczonych humanistów! Bezmyślni! Mógłbym im odpowiedzieć, jak Maryusz patrycyuszom rzymskim: „Ci, co chełpią się pracą innych, chcą zaprzeczać mi owocu mych własnych znojów.“ Powiadają oni, że, nie będąc uczonym pisarzem z zawodu, nie powinienem wdawać się w żadne teorye. Nie wiedzą

snadź, że to, co mnie zajmuje, zależy od doświadczenia, nie od wysłowienia. Ci, co pisali dobrze, nie znali innej muzy prócz Eksperyencyi: i moją ona jest przewodniczką. Tym, co śmią lekceważyć mnie — mnie, który jestem twórcą—odpowiem, że oni są tylko powtarzaczami starożytności. Twórca jest pośrednikiem między przyrodą i człowiekiem, podczas gdy czczy deklamatorzy przypominają raczej zwierciadła, które nie istnieją same przez się, i w które spoglądamy tylko gwoli temu, co odbijają. Jeżeli nie umiem poprzeć odkryć swych cytatami, powołam się na powagę wyższą, eksperyencyę, mistrzynię ich mistrzów.

Niepodobna kochać lub nienawidzieć czegobądź bez poznania; miłość jest jego dzieckiem i tem dostojniejszem, im poznanie jest głębsze. Owóż, mogę rzec śmiało, że kocham prawdę, skoro silę się wydobyć ją z form i kształtów. Humaniści opisują obrazy starożytne, których żaden nie widział, ja zaś maluję obrazy, które każdy oglądać może, i które są owocem mego rozumowania. Dzieła starożytne są przykładami, mają one wskazywać nam, jak tworzyć nowe, inne. Gdybym, jak drudzy, kopiował draperye posągów rzymskich, przyklaskiwanoby mi za to naśladownictwo. Wynalazłem inne, jedynie właściwe dla mych postaci. Komu obca matematyka, ten nie zrozumie mnie z pewnością, ale to są jeszcze nauki, w których naśladownictwo jest możebne: uczeń może wkrótce wiedzieć tyleż, co mistrz; w malarstwie rzecz się ma zupełnie inaczej. Geometrya może sprowadzić każdą powierzchnię do kwadratu, każdą bryłę do sześcianu; arytmetyka postępuje podobnież z pierwiastkami kwadratowemi i sześciennemi; piękność linij atoli uwidocznia się tylko w malarstwie, a tam najpilniejszy z uczniów nie zdoła często dorównać mistrzowi.

Artysta może osiągnąć taką władzę nad duchem wi-

dza, że ten zdolen będzie rozkochać się w kobiecie malowanej, niemniej niż w żywej. Zdarzyło mi się wykonać obraz treści religijnej, za którym jął szaleć pewien człowiek; kupił go i chciał zniszczyć to, co wskazywało boskość postaci, aby módz całować ją bez wyrzutów sumienia. W końcu, musiano usunąć malowidło z domu. Ten rys dowodzi duszy rozwiozłej i niepowściągnionej; iluż wszakże znajduje rozkosz nader czystą we wpatrywaniu się w piękności, córy naszej sztuki! Gdybym chciał mówić jak humanista, powiedziałbym, że najpodnioślejszą namiętnością jest ta, która płonie do obrazu piękności zamiast do jej rzeczywistości cielesnej, i że szlachetna to rzecz znajdować rozkosz we wpatrywaniu się i rozpamiętywaniu jedynie. Wszystkiego niemasz w książkach: opis daje zaledwie słabe pojęcie o rzeczach, podczas gdy sztuka okazuje rzeczy same i z rozmaitości ich umie jednako tworzyć widzenia zachwycające i straszne. Ona jest panem i bogiem form. Gaj czy pustynia, śnieg czy skwar letni ukazują się, wedle jej woli; ona wznosi góry, wyżłabia doliny, lub rozciąga wzdłuż fal gładkie piaszczyste wybrzeża. Wszystko, co istnieje we wszechświecie przez istotę, obecność i wyobraźnię, wszystko to ona ma w duchu i w ręku; a ręce jej są tak potężne, że stwarzają harmonię przez proporcye uchwycone na pierwszy rzut oka.

Zgłębiałem magię, aby wiedzieć, co jest rzeczywistego w tych niezwykłe żywiących uroszczenia poszukiwaniach. Ołówek mój rozkazuje duchom lepiej niż różdżka czarnoksiężka, bo ja umiem wywołać anioła z arkusza papieru. Malarz jest najprawdziwszym czarodziejem. Zwołuje on duchy, i duchy przybierają kształty widome. Najczęściej nekromanci nabawiają się czczych halucynacyj i wielkich mozołów, narażają się na stos i zwykle w końcu dostają obłąkania. Utrzymują oni, że duchy mówią z nimi. Jakżeby mogły to robić, skoro nie mają ust, ani

żadnego innego środka, aby wywołać drgania powietrza? Chyba na sposób malarski, który mówi do wyobraźni. Naprόżno wszakże domagałem się od tych szaleńców, aby narysowali coś ze swych widzeń. Nie pokazali mi nic. Żadne atoli badanie, nawet rzeczy próżnych i zwodniczych, nie pozostaje bezużytecznem zupełnie; powziąłem zamiar osiągnąć to, co zakładała sobie magia bezkutecznie; skierowałem całą pilność swą ku stworzeniu postaci, którą możnaby przypisać duchom, gdyby przybrały ciało; mam na myśli, rzecz prosta, tylko duchy dobre i wzniosłe, bo, co się tyczy złych i głupich, dość wyjść z domu, aby ich spotkać niepoliczoność. Cóż może być cechą ducha, jeśli nie potęga duchowa? a ponieważ prawdziwa wiedza nie dopuszcza ani złości, ani poufałości, nieodzowny więc będzie wyraz słodyczy oraz lekko wzgardliwej wyniosłości. Moje postacie nie są w zupełności niebiańskie (widz mógłby czcić je, nie kochając ich jednak), ani też w zupełności ziemskie (nie działają bowiem na ducha, który doznaje poruszenia tylko przed rzeczami niezwykłemi i dziwacznemi).

Mówiłem wam już, iż trzeba łączyć cechy młodzieńca i dziewczęcia, aby uniknąć pewnego rodzaju prostactwa, przywiązanego do spraw płci: bo rozbudzanie zwierzęcości obniża wartość dzieła. Radzę wam utwarzać wyraz ze spojrzenia (nie mówię: z oczu) człowieka głęboko uczonego i z uśmiechu kobiety zalotnej: zestroiwszy je należycie, wprawicie w zdumienie widza, którego jednocześnie ujarzmiać będzie myśl męzka i ujmować wdzięk kobiecy. Cóż może być piękniejszego nad wiedzę kryjącą się pod rysami wdzięku, nad surową przewodniczkę świata z oczyma czaru pełnemi i z rozkoszą tchnącemi usty. Malowano i przede mną aniołów zachwycających, których urok wszakże polegał wyłącznie na niewinności i na rysach dziecięcych. Ja dodałem im doświadczenie, wynik

rozmyślań głębokich: u mnie ich przywiązanie do dobra gruntuje się na znajomości zła. Sztuka jest tem drzewem, o którem mowi Pismo, tem jedynie zakazanem. Aby pociągnąć człowieka, potrzeba czegoś złożonego. Jedna tylko Madonna jest samą czystością. Aniołom nie obce jest bynajmniej to, co zwalczają nieustannie, a ponieważ walka to duchowa, muszą zatem przykładać całą cudowność swego umysłu, aby przewyższyć przebiegłość Szatana. Co do mistrza Leonarda — (nie śmiejcie się, tak chłopi nasi nazywają dyabła) — nie malujcie go nigdy. Z rysami, jakie przypisuje mu pobożność, byłby wstrętnie brzydki, a przedstawiając go inaczej, moglibyście narazić się Kościołowi.

My, wynalazcy zmyśleń, powinniśmy szanować zmyślenia starodawne oraz owo mniemanie pospolite, które wcale nie jest nierozsądne, skoro nadaje kształty zwierzęce temu, co idzie z dołu, zachowując piękność dla tego, co zstępuje z nieba. Jakiś humanista nie omieszkałby podać wam swego zdania za prawdę, popierając je powołaniem się na kogoś ze starożytnych. Czyliż komentatorzy nie znajdują w Biblii miejsc dających się zastosować do gwelfów i gibelinów? czyliż każda partya nie rozeznaje Antychrysta w przywódcy nieprzyjaciół? Jakiś dominikanin powie wam, że święty Jan przepowiedział na wyspie Patmos dzisiejsze wydarzenia w Toskanii! Ja nie filozofuję; ja maluję myśl swoją, od wnętrza i od zewnątrz. Człowiek myśli swobodnie: nie zdołałby jednak podobnież mówić. Na jednego, który ma jakieś prawdy do powiedzenia, tysiąc głupców ugania się za niedorzecznemi urojeniami. Słowa księży są doskonałe, ich obyczaje — złe. Pilnujmy się praw naszej sztuki i zgłębiajmy jej tajemnice: nie zbraknie ich dla największej przenikliwości. Zakresem człowieka jest człowiek; ale jedni wydają się więcej niż ludźmi, drudzy — mniej. Częstokroć podziwiałem więcej

duszy w mych koniach, aniżeli w ludziach, z którymi obcowałem. Jest coś drażniącego, gdy się widzi istoty bezmyślne cieszące się równie pięknym organizmem, jak najrozumniejsze. Możnaby pomyśleć, że niektórzy aniołowie uczłowieczyli się, i że wiele zwierząt stało się ludźmi. Z przykrością widzę, jak nieraz twarze prostackie lub karykaturalne ujawniają całe bogactwo linij i barw. Malarstwo winno służyć jedynie do uwieczniania najwznioślejszych ducha koncepcyj; bo, jak zwierciadło pochyłe, odbija ono, z natury swojej, niebo, traci zaś dostojeństwo, gdy zaczyna odtwarzać pospolitość życia.

Cząstka dąży nieustannie do połączenia się ze swą całością, aby położyć kres cierpieniu, jakiem jest właśnie jej niedoskonałość. Jak ćma leci ku światłu, tak człowiek wyrywa się z powrotem ku swemu pierwopoczątkowi. Jego pragnienie spręża się ustawicznie ku nowej wiośnie i nowemu latu, ku nowym miesiącom i nowym dalszym latom; znajduje on, iż rzeczy pragnione nadchodzą zbyt powoli, i nie zdaje sobie sprawy, iż pragnie w ten sposób własnej śmierci. To tajemnicze i wyroczne pragnienie jest „piątą esencyą,“ duchem pierwiastków zawartych w duszy i dążących nieustannie do porzucenia ciała i do powrotu na łono tego, który je utworzył. Sztuka zaspokaja, przez dzieła swe, tę nieprzepartą potrzebę, źródło namiętności, które sam tylko duch zdolen jest oczyścić. Przez to dążenie, człowiek oddala się od bieguna zwierzęcości i zbliża się do Przyczyny, która jest nawskróś duchową. Oko malarza, dające się łatwo oczarować naturze, pociąga częstokroć za sobą jego rękę, nie pytając mózgu o pozwolenie; wpatruje on się wtedy bez zastanowienia i wykonywa bez obmysłu. Ganiono mnie, gdy się odezwałem, iż malarz powinien być wszechstronnym, a jednak na tem polega jego dostojeństwo. Niemasz umysłu tak nieokrzesanego, aby, za sprawą czasu i przy-

kładania się, nie był zdolen dać sobie rady z jednym z rodzajów malarstwa, krajobrazem, wyobrażaniem zwierząt, kwiatów, albo portretem, — ale byłby to rzemieślnik, nie artysta.

Porównywając między sobą różne sztuki piękne, ludzie oddają często pierwszeństwo rzeźbie, co wielką jest omyłką. O wartości posągu stanowią jedynie proporcye harmonijne i ruch. Jeżeli chodzi o myśl, to ta daje się uzewnętrznić jedynie za pomocą światłocienia. Charakter osobistości ujawnia się tylko na twarzy; wszystkie Wenery starożytne wydają się córkami tegoż samego posągotwórcy: piękne są, lecz jednakie. Piękna tego prześcignąć nie zdołamy, zaledwie — ci i owi — osiągamy je niekiedy; pracujmy więc w kierunku, gdzie twórczość dalsza jest możebna, indywidualizujmy nasze postacie, tak, aby wszystkie różniły się jedna od drugiej, i to — ile można — najbardziej, nie kształtami, których liczba jest ograniczona, lecz wyrazem, który — powtarzać wam to będę bez końca — jest dziedziną nieskończoności. Tylko nie zapominajcie nigdy, że wykonanie musi być nieomylne, gdy się zamierza coś duchowego. Dość jakiejś ręki ciężko narysowanej, aby zesromocić najwznioślejszą kompozycyę. Wykończenie w robocie nadaje obrazowi cechę wytworności i potęguje jego znaczenie.

Trudno doszukać się piękna u gotyków, robota ich wszakże drobiazgowa i nader staranna zasługuje na wszelkie pochwały. Któż poświęci wiele uwagi dziełu, do którego artysta najwidoczniej niewiele przyłożył pilności? Nie pozwalajcie nigdy jednej barwie oddzielać się od drugiej; w postaciach drugorzędnych nie należy zaniedbywać się co do linij, można tylko nieco szerzej traktować robotę. W malarstwie niemasz antyków. Giotto zaczął wszystko. Nie mamy tedy nic do kopiowania, a mimo to odsyła się nas ciągle do starożytnych, w tej naszej sztuce

tak wyłącznie dzisiejszej. Zresztą, naśladowanie nie doprowadza do niczego. Trzebaby z ciała i z ducha być podobnym do artystów przeszłości, aby módz ciągnąć dalej ich sztukę. Pojmuję z trudnością myśli pokolenia, które bezpośrednio mię poprzedzało, a miałbym rozumieć zamiary i sposoby widzenia mistrzów dalekich i w czasie i w przestrzeni? Czerpmy formy z przyrody, a dusze z duszy naszej. Nieinaczej postępowali starożytni. Wyrazili siebie samych; wyraźmy-ż siebie i my. Korzystajmy jednakowoż z doświadczenia. Ostrzega nas ono, że wielką sztuką w Atenach było wyobrażanie Jowisza i Pallady; wielką sztuką w Medyolanie będzie zatem malowanie Jezusa i Madonny. Religia była wszędzie i zawsze nieporównaną sztuk pięknych krynicą, i wielki malarz będzie zawsze malarzem religijnym. Tem bardziej, że drugie źródło inspiracyi, mitologia, była także religią, której nie rozumiemy dzisiaj, i którą źle oddajemy. Starożytni, przy ich odzieży przestronnej i falistej, mieli ciągle sposobność widzenia ciał nagich w ruchu; my dzisiejsi rozbieramy tylko na parę godzin jakąś istotę z gminu, która zazwyczaj chodzi ubrana zupełnie pospolicie: tego niedość, aby módz celować w malowaniu nagości. Człowiek tem żywiej wyobraża sobie kształty, im oko jego mniej je postrzega; kobiety naszych czasów budzą wielkie namiętności, a są przecież odziane. Wywołałażby nagość ich żądzę równie gwałtowną? Nawet jeżeli chcecie dać wrażenie rozkoszy, nie stracicie nic przez draperyę: tylko będzie to rozkosz wyższego rzędu. Kobieta naga odpowiada raczej rozwiozłości niżli miłości, prosta chłopka zbudzić może tylko popęd, podczas gdy Beatrycze wstrząsa duszę jednym uśmiechem. Czyliż sądzicie, że najpiękniejsze ciało Italii mogło było zostawić w duchu Danta zapładniający, nieśmiertelny obraz tej, co zjawiła mu się, promieniejąca, pełna szlachetności i słodyczy, i, z niewy-

słowną uprzejmością, pozdrowiła go jakiemś dziwnem połączeniem dostojeństwa i dobroci, które wywarło na nim takie wrażenie, że zdało mu się, iż w chwili tej poznał najwyższy stopień szczęśliwości niebiańskiej. Trzymając się *Życia Nowego,* nadawajcie waszym postaciom tę uprzejmość niewysłowną, to połączenie dostojeństwa i dobroci, bo one zawsze jeszcze wywierać będą wielkie wrażenie. Malujcie kobiety jako Beatrycze. Mówiłem wam już, iż panie cnotliwe mają żywszą promienność, niż nierządnice; podobnież, malarz rozpustny odbiera dziełom swoim wszystko to, co oddaje rozkoszy. Malarze, miejcie jeno swą sztukę za panią serca i kochankę, jeno dzieła swe za potomstwo. Ten sam skud złoty nie może wpaść jednocześnie do kieszeni karczmarza i w czapkę żebraka. Namiętności niszczą istotę człowieka bardziej, niż praca, niszczą ją doszczętnie.

Z serca naszego, z ducha naszego, dusze i duchy niechaj się rodzą, na idealne życie piękna. Dzieło wasze tyle tylko mieć będzie uczucia, co wasze serce, tyle tylko szerokości, co wasz mózg własny. Artysta odtwarza w dziełach swych siebie samego. Jak ojciec — wedle tego, czy sam jest zdrów czy chory — obdarza dziecko swe dobrą lub złą ciała konstytucyą, skazując je na opłakane grzechów własnych następstwa, albo też dając mu korzystać z owocu cnót swoich, tak artysta uwydatnia w utworach własnych dobre swe lub też skażone obyczaje. Nieobojętna zatem, czy artysta jest skromny i przystojnie się prowadzi; hołdując cnocie i wiedzy, zaznaczy mimowolnie te cechy i w swoich zmyśleniach. Sakrament, nawet z rąk niegodnego kapłana, jest zawsze dobry, nigdy wszakże obraz malarza tonącego w nieprawościach.

Nic nie świadczy lepiej o nieśmiertelności duszy naszej, niż to dążenie do doskonałości, które, gwoli zaspokojeniu własnemu, stworzyło sztuki piękne. Nasze tak

cierpliwe zgłębianie dzieła boskiego większych wymaga wysiłków aniżeli śpiewanie jutrzni. Różaniec nie przesuwa się w palcach naszych, ale dzięki im objawia się Panna Najświętsza, a po niej święci i błogosławieni: przez nasze staranie, Bóstwo samo staje się widomem, a to jest wielki cud!

Księża wyrzucają nam, że rysujemy podług dzieła Pańskiego, w dzień Pański! Ganią nas również, iż malujemy przedmioty świeckie! O bezmyślni! Cóż jest świeckie? co święte? Nie oglądamy-ż wielkości Boga w drobnej muszelce, w kwiatku polnym, w listeczku każdym? Twarz uśmiechniona, młode i piękne ciało w podrzucie — nie ujawniają-ż Opatrzności? Nie mówił-że Jezus o kwieciu polnem? Podobał sobie między Martą i Maryą, mówił łagodnie z Samarytanką i z Magdaleną. A my nie mielibyśmy prawa malować tych świętych kobiet, ni czynić ich pięknemi! Jakże Ester znalazła dostęp do serca króla Aswerusa, jeśli nie przez swój urok? Niewolnoż Ewie zjawić się u boku Adama w całym blasku pierwszej na ziemi oblubienicy i małżonki? Czytajmy do woli boską księgę ciał i dusz, taką, jak wyszła z rąk Twórcy na jego chwałę i na radość naszą.

Jeśli się mówi, że patrzenie odrywa umysł od subtelniejszego poznania duchowego, które wiedzie ku wiedzom boskim, i że jakiś filozof wyłupił sobie oczy, ażeby lepiej myślec, — odpowiem, że oko, pan i władca zmysłów, spełnia swój obowiązek, zaprzeczając gadaninom tępych, krzykliwych i miotających się kłamców, że filozof, który sam się oślepił, by lepiej rozumować, był szaleńcem... i że czyn jego stwierdza dostatecznie bezrozumność jego rozumowań. Zresztą, nie bywają-ż rozumowania źródłem najgorszych niedorzeczności, herezyj i odszczepieństw? Jeśli Kościół przechodził tyle i tak bezpożytecznych zawichrzeń, sprawcami ich byli mnisi, marzyciele, którym

w odludziu cel roiły się po głowach doktryny rozprzężenia; i obyczaje też cierpiały zawsze nie przez artystów, lecz przez mnichów. My, przeciwnie, mając umysł zwrócony nie ku jakimś urojeniom, lecz ku dziełu bożemu, nie myślimy bynajmniej narzucać światu nowinek, lecz tworzymy piękne baśnie na radość czystą dla duchów cichych i pokój lubiących. Nie, sztuka wcale nie psuje obyczajów. Nie malowane to kobiety gubią młodzieńców i starców, trapią rodziny i popychają do kradzieży i morderstw. Nader czystem byłoby miasto, które znałoby kurtyzany tylko w ramach, i w którem rozpusta rodziłaby się jedynie z oglądania i rozpamiętywania dzieł sztuki... Tak, artysta jest najlepszym obywatelem, bo geniusz jego staje się dobroczyńcą całego plemienia i nadto dzieli się z niem swym urokiem. Uzacnia miejsca, gdzie pracuje; jak czarodziej, przeobraża wszystko, na co spojrzy. Ale oto z wielkiego poznania wielka rodzi się pokora.

Podczas gdy wszyscy podziwiają dzieło i boskiem je głoszą, artysta niezaspokojony cierpi; ujrzał błędy albo też spostrzega zbyt późno piękności, których brak. Cokolwiekby zdołał urzeczywistnić, w duszy ma zawsze doskonałość jeszcze zupełniejszą. Przyjmuje chwalby w obliczu współzawodników, bo jest człowiekiem, cieszy się z nich nawet; ale w samotności urąga sam sobie i goryczy się na swą niemoc. Wielki, zaiste, dramat rozgrywa się w duchu malarza, rozkochanego w swej sztuce i pragnącego wcielić myśl swą najwyższą.

Między pracami, które legenda przypisuje Herkulesowi, najnadzwyczajniejszą jest ta, gdzie bohater wydziera śmierci Alcestę, żonę druha swego Admeta. Tu już nie idzie o wytrzebienie zbójców lub uskromienie potworów, tu przychodzi mu potykać się z samą śmiercią. Tak czyni i artysta z każdą ujrzaną pięknością: wydziera ją nicości, zbawia od śmierci i podaje na stulecia ludziom do

rozpamiętywania. O śpiochu, cóż to jest sen? Podobien śmierci! Czemuż nie tworzysz dzieła, które po twoim zgonie ciągnęłoby dalej myśl twoją? Oto upomnienie, jakie zwracam zawsze do tych, co zdolni są je zrozumieć. Bóg, przez miłość dla swego stworzenia i przez zlitowanie nad naszą nędzą, pozwolił nam tworzyć wizerunki, które nas przeżywają. Wojownik znany jest tylko dzięki historykowi. Malarz broni się sam od zapomnienia i oddaje swym opiekunom i dobroczyńcom wzajemną w obliczu potomności usługę; bo pamięć jego, zamiast się zacierać, coraz świetniejszym z biegiem czasów jaśnieje blaskiem: on, co wyobrażał świętych, sam staje się świętym, i wierni sztuki czczą go zgłębiając.

Niemasz zacniejszego nad to przeznaczenia, ani chwały równie czystej, bo ona nie przypłaca się łzami ni krwią, jak sława zdobywców, bo ona płodzi tylko radość, i to najszlachetniejszą. I póki nie zabraknie ludzi cywilizowanych, wielki malarz znajdzie przyjaciół wszędzie, gdzie tylko któreś z dzieł jego oglądać będzie można. I samo niebo, którego był tłomaczem, przyjmie go między swe błogosławione.

A teraz oddajmy cześć Panu, naprzód przez miłość, jaką zasadnie żywić dlań powinniśmy, a potem, ponieważ umie on skracać i przedłużać życie nasze, to dobrodziejstwo, które cenić należy, nawet w chwilach najboleśniejszych.

PRZEŁOŻYŁ Miriam. J. Péladan.



MUZA. Obraz J. MEHOFFERA.



BALLADY LUDOWE EUROPY ZACHODNIEJ I POŁUDNIOWEJ.

MARIVONIC [1]).

W czarnego miesiąca [2]) *pierwszym dniu*
Wylądowali Anglicy w Durduff.

A ledwie wysiedli z okrętów na ląd,
Porwali młodziutką dziewczynę z tych stron.

Na imię jej było Marivonic,
W Plougaznou nad morzem jej ojciec żył.

Tak się odezwała ze łzami spól,
Gdy płynęła mimo ojcowski dwór:

— Bądź zdrowa mateczko, ojcze bądź zdrów,
Nigdy was w życiu nie ujrzę już!

---

1) Bretońska. — *LUZEL F. M., Gwerziou Breiz-Izel. I. p. 350.*
2) listopada.

Bracia moi, siostry, żegnam was,
Już mnie nie ujrzycie w żadny czas!

Przyjaciele moi, żegnajcie mi,
Już się rozstajemy po wszystkie dni! —

Tak Marivonic żegnała dom,
Nikt z ludzi nie ulżył jej rzewnym łzom.

Nikogo nie wzruszył jej smutny stan,
Tylko patron statku cieszył ją sam.

— Mała Marivonic, otrzej-że łzy,
Tu na twoje życie nie godzi nikt.

Dolę tutaj możesz szczęśliwą mieć,
Ale co do cześci, — to inna rzecz. —

— O panie Angliku, powiedz-że mi,
Mam-li tobie tylko powolna być? —

— Naprzód mnie samemu i służbie mej,
Potem mej załodze i w noc i w dzień.

Potem mej załodze na każdy czas,
Więcej stu żeglarzy jest tutaj nas. —

— O panie Angliku, bądź łaskaw dziś,
Pozwól wyjść na pokład na parę chwil. —

— Przejdź się po pokładzie, skoro ci cno,
Tylko mi się pilnuj wpaść w morską głąb'. —

Mała Marivonic mówiła tak,
Gdy się przechadzała i tam i sam:

— O Mateczko boża, radę mi daj,
Czyli mam zeskoczyć w głąb' morskich fal?

Dla Ciebie, Maryjo, spełnić ten czyn,
Żeby nie przekraczać przykazań twych?

Jeżeli zeskoczę, czeka mię skon,
Jeżeli zostanę, czeka mię srom.—

Zrobiła, co szeptał Maryji głos,
Na głowę skoczyła w tę morską toń.

Jak kamień spłynęła na morski spód,
Maleńka ją rybka wyniosła z wód.

Podniósł się wiatr mocny z tych wodnych smug,
Poniósł martwe zwłoki przed ojca próg.

— Najdroższy mój ojcze, otwórz-że mi,
Mała Marivonic czeka u drzwi. —

— Czyli to być może, zwodzi-ż mię słuch,
Czy Marivoniki powrócił duch? —

Obleciała w koło trzy razy dom,
Potem ją na wieki ogarnął skon.



AR PLAC'H A ZAVAS BEURE MAD [1]).

Wstała dziewczyna w rannej porze,
Poszła warkocze pleść w komorze.

Przyszła mateczka i mówiła:
— Jaka-żeś piękna moja miła! —

— Że jestem piękna, cóż mi z tego,
Gdy mieć nie mogę chłopca mego? —

— Cicho, córeczko, nie płacz-że mi,
Za roczek męża ci znajdziemy. —

— Długi rok temu, który płaczę,
Przyszłej ja wiosny nie obaczę!

Na wiosnę będę w chłodnej ziemi,
Niech-że się wtedy, kto chce, żeni.

Niechaj-że stanie, matko miła,
W pośród cmentarza ma mogiła.

W pośród cmentarza niechaj stanie,
Cztery wianuszki na kurhanie.

Z czterech róż niechaj będą stroje,
Dwoje róż czarnych, białych dwoje.

Więc para czarnych, białych para,
Aby o żalu powiadała.

[1]) Bretońska. — *LUZEL, Soniou Breiz-Izel. I. p. 223.*

Dwie róże białe, dwie pąsowe,
By powiadały mą żałobę.

Będą przechodzić młodzieńcowie,
Każdy nade mną pacierz powie.

Odmówi wieczny odpoczynek
Na ten ostatni upominek. —

Powiadał jeden panicz młody,
Kiedy przechodził między groby:

— Piękna dziewczyna w tym kurhanie,
Zgasła nie wiedząc, co kochanie;

Z tęsknoty za kochankiem młodym,
Z miasta Guincampu był on rodem. —

Takie wyrazy z pod mogiły
Słuch mówiącego uderzyły:

— Idź swoją drogą, młody panie,
Niech ja w spokoju tu zostanę.

Idź młody panie, odejdź dalej,
Pozwól umarłym, żeby spali. —



JAN RENAUD [1]).

Jan Renaud z wojny powrócił doma,
Jelita własne trzymał rękoma.

— Co w domu słychać, mateńko miła? —
— Żona ci dzisiaj synka powiła. —

— Idź, matko, przodem, pościel mi łoże,
Białe mi łóżko przyrządź w komorze.

Lecz je w najniższej postaw alkowie,
Niechaj się moja żona nie dowie. —

I przyrządzili mu pościel białą,
Złożyli na niej to ranne ciało.

A gdy północne zapadły cienie,
Jan Renaud wydał ostatnie tchnienie.

— O moja matko, o moja droga,
Co za szlochania tutaj u proga? —

— Nic, moja córko, słuch ciebie myli,
To tylko dziecię maleńkie kwili. —

— O moja matko, o matko złota,
Jakie to słyszę kowanie młota? —

— Moja córeczko, to młoty cieśli,
Wrota do sieni nowe przynieśli. —

---

1) Francuska. — *Chansons populaires recueillies en Franche-Comté par CH. BEAUQUIER, p. 152.*

— O moja matko, matko jedyna,
Co za spiew smętny nucić poczyna?

— Moja córeczko, to procesyja:
Idzie ulicą, dom właśnie mija. —

— Proszę ja ciebie, najmilszej matki,
W jakie mam dzisiaj oblec się szatki? —

— Porzuć różową, modrą i białą,
Dziś czarną suknię kłaść ci przystało. —

— Zaklinam ciebie, matkę jedyną,
Czemu ci z oczu łzy rzewne płyną? —

— O moja córko, dłużej nie skryję,
To po Renaudzie, Renaud nie żyje. —

— O moja matko, proszę ja ciebie,
Niech grabarz wspólny dół nam wygrzebie.

A niechaj będzie grób dosyć duży,
Niech i dzieciątku naszemu służy. —

MARGRABINA [1]).

Król rozkazał bić w bębny
I zwołać dworskie damy:

---

[1]) Francuska. — *LEROUX DE LINCY*, *Chants historiques. II. p. VII.*

Ledwo spojrzał na pierwszą,
Już w niej był zakochany.

— Margrabio, znasz tę piękność?
Dowiedz mi się, kto ona? —

Margrabia rzecze na to:
— Królu, to moja żona. —

— Szczęśliwszy-ś ty ode mnie
Mieć żonę tej urody;

Gdybyś mi jej ustąpił,
Dbałbym o jej wygody. —

— Gdyby nie król to mówił,
Mścił-bym szpadą obrazy;

Ale że król powiada,
Stoję mu na rozkazy. —

— Nie gniewaj się, margrabio,
Powetujesz to sobie,

Ja cię nad wszystkiem wojskiem
Marszałkiem Francyi zrobię. —

— Weź koronkowe czepce,
Ubierz się w piękne szatki,

Ubierz się w strój bogaty,
Jak te dworskie magnatki.

Bądź zdrowa, moja duszo,
Bądź zdrowa, me kochanie,

Do króla pójdziesz w służbę,
Więc tu nasze rozstanie. —

Bukiet z kwiecia liliji
Królowa słała do niej,

Margrabina upadła,
Skonała od ich woni.

Król kazał grób murować
Z lilijowych kamieni,

Posłał pana Mirabeau
Na pogrzeb margrabini.



ŻONA MARYNARZA [1]).

Biedny majtek wraca z wojny
— TAK CICHO —
W złem obuwiu, w lichej szacie:
— Biedny majtku, zkąd wracacie? —

---

[1]) Francuska. — *CHANSON SAINTONGEOISE.*

— Karczmareczko, wracam z wojny;
Pokrzepcie mię białem winem,
Bo z pragnienia chyba zginę. —

Biedny majtek pije wino,
Pije wino, piosnkę nuci;
Karczmareczka się zasmuci.

— Czego płaczesz, karczmareczko?
Czy ci żal białego wina,
Że ci żeglarz je wypija? —

— Nie żal mi białego wina,
Ale żal mi męża mego:
Podobniuteńki-ś do niego. —

— Powiedz-no, karczmarko miła!
Wprzódy miałaś dzieci troje,
Teraz widzę tyle dwoje... —

— Pisano, że mąż mój zginął
Od wojennego oręża,
Znalazłam drugiego męża. —

Wypił wino, nie dziękował,
Zwarło mu się z żalu serce,
Powrócił służyć w żołnierce.



NA MORZU [1]).

Trzy statki płyną po morzu
W niezahamowanym biegu,

Siedm lat z Bożego zakazu
Nie mogą przybić do brzegu.

Kapitan roku siódmego
Woła: — Hej! moja drużyna!

Kto mi się na szczyt masztowy,
Kto mi się — woła, — wyspina? —

Najmłodszy z majtków przybiega:
— Popróbuję, kapitanie! —

Gdy się wspiął do środka masztu,
Usłyszeli głośne łkanie.

— Czemu płacze nasz towarzysz,
Czemu nasz towarzysz wzdycha? —

— W koło nic prócz fal i nieba
I ryby, co na trup czyha. —

— Śmiało, śmiało, towarzyszu,
Wespnij się aż na szczyt drzewa! —

Gdy był u wierzchołka masztu,
Słyszą, aż tu majtek śpiewa.

---

[1]) Gaskońska. — *BLADÉ, Poésies populaires de la Gascogne. III. p. 394.*

— Co się stało, młody majtku,
Jaki masz powód uciesze? —

— Widzę zamek mego ojca,
Okręt wprost ku niemu krzesze.

Widzę w oknie moją miłą,
Jak warkocze złote czesze. —



MAŁGORZATA [1].

Maleńka Małgorzato,
Kogo serce twe życzy?
Książęcego-li syna,
Czy którego z hrabiczy?

— Nie chcę znać się z hrabiami,
Pogardzam ja książęty,
Pragnę Piotrka mojego,
Co jest w wieży zamknięty. —

Maleńka Małgorzato,
Próżne twoje nadzieje,

[1]) Gaskońska. — *BLADÉ, II. p. 190.*

Powieszą Piotrka twego
Jutro, ledwie zadnieje.

— Mają Piotrka powiesić,
Niech powieszą oboje,
Grób podwójny wykopią,
Zbiją trumnę na dwoje,

Jego kwieciem gwoździków,
Mnie przykryją różami;
Pątnicy z Compostelli
Pomodlą się za nami.

„W PIERWSZY DZIEŃ MAJOWY“ [1]).

A pierwszego dnia Maju
Niosłem wianek rozmaju.

— Weź go, moje kochanie,
To nasze pożegnanie. —

— Z jakiej, z jakiej przyczyny? —
— Dziś moje zaślubiny.

[1]) Prowancka. — *D. ARBAUD, Chants populaires de la Provence, II. p. 139.*

Nie ciebie ja zaślubię,
Lecz tę, ktorej nie lubię.

Nie tak piękna, jaka ty,
Ale składa dukaty.

Odprowadzisz mię, droga,
Do kościelnego proga? —

— Tego się nie ośmielę,
Lecz przyjdę na wesele. —

— Jeśli przyjdziesz, kochana,
Przyjdź-że pięknie ubrana:

Kupię ci piękne stroje,
Barwistych sukien troje:

Jedna pąsem się mieni,
Druga barwą zieleni,

A trzecia z aksamitu
Cała barwy błękitu. —

— Grajcie skrzypki wesoło,
Przetańczymy raz w koło! —

Jeden taniec wygrywa,
Panna pada nieżywa.

Drugi taniec zagrali,
Padł kochanek na sali.

Jedna dla nich mogiła,
Gdy ich miłość zabiła.

Z ojca, z ojca to winy,
Że mu nie dał dziewczyny.

Więcej winy w nim było,
Mógł dziewczynę wziąć siłą.



UCIECZKA DO EGIPTU [1]).

Święty Józef przy Dziewicy
Szli, z Nazaretu pątnicy —
NIECH ŻYJE KRÓL!

W pierwszem mieście, gdzie stanęli,
Gospody im dać nie chcieli.

Jedna ich wdowa uboga
Nie odpędziła od progà.

— Niewiasto, dziękczynim tobie,
Wynagrodzimy w tej dobie.

---

[1]) Prowancka. — *D. ARBAUD, I. p. 33.*

Nie zabraknie twej rodzinie
Ni na chlebie, ni na winie. —

Poszła Marya po zagonach,
Niosąc synaczka w ramionach.

Spojrzy, dobry człowiek orze.
Spojrzy, w skiby rzuca zboże!

— Piękna pani, gdzie idziecie,
Tak cudne niosący dziecię? —

— Ukryj nas, dobry człowiecze! —
Temi słowy Marya rzecze.

— Skryjcie się pod mą siermięgą,
A mocy was nie dosięgą. —

— Wracaj, człecze litościwy,
Idź żąć zboże ze swej niwy! —

— Piękna pani, jak być może,
Jak żąć ledwie siane zboże? —

— Idź-że, idź po swoje woły,
Pozwóź zboże do stodoły! —

Nie minęła ćwierć-godzina,
Zakwitła zbożem dolina.

Druga jeszcze nie minęła,
Pod sierp gotowa stanęła.

Po raz pierwszy zesieczona
Dała sto snopów z zagona.

Gdy ją zżęli po raz wtóry,
Położyli snopów góry.

Kto jedzie od miejskich szańców?
Hufiec tych żydów zaprzańców.

— Powiedz-no, chłopie nieboże,
Co tam sieczesz swoje zboże:

Szła tu Marya po zagonach,
Niosący dziecię w ramionach? —

— Owszem, niewiastę widziałem
Wtedy, gdy to zboże siałem. —

— Powracajcie zbiry kroku,
To było zeszłego roku.

NIECH ŻYJE KRÓL!

HRABIA GARYN [1]).
(Lo comte Gari.)

Klęczała Beatrycze przy modlitwie wieczornej,
Kiedy do snu się kładła, nadjeżdżał rycerz dworny.

[1]) Katalońska. — *PELAY BRIZ, Cansons de la terra, II. p. 51.*

Rzucił na nią pęk fiołków, zdrzemnęła się od woni,
Gdy leżała uśpiona, porwał, uwiózł w sto koni.

Ujechali mil siedem, ona śpi nieustannie,
Kiedy ósmej dobili, kazał zsieść pięknej pannie.

— Weź mię, hrabio, za żonę, weź mię, nie czyń mi sromu! —
— Nie chcę ciebie za żonę, już ja żonę mam w domu.

Wdzięczną postać, płeć białą i liczko ma powabne.
Ty prząść będziesz konopie, ona włókna jedwabne. —

W dół przez okno spojrzała, zaśmiało jej się lice.
— Czegoż-to się uśmiechasz, doncella Beatrycze? —

— Widzę ojca mojego, z nim rycerzy tysiące,
Przodem idą chorągwie i fanfary grające.

Słyszę, grają fanfary i huczą po dolinie.
Mówią w swoim języku: Umrzesz, hrabio Garynie! —

— Mów, że niema mię w domu, skryj mię pod kobiercami —
Już pukają do komnat. Pyta: — Kto tam za drzwiami? —

— Hej! czy niema tam hrabi, niema hrabi Garyna? — —
— Nie — powiada ustami, — tak — powiada oczyma.

Dobyli z pod kobierca, ucinają mu głowę.
Zanim głowa mu spadła, rzecze w słowa takowe:

— Doncella Beatrycze, jużeś mej śmierci rada,
Głowa hrabi Garyna dla twojej zemsty spada. —

— O twą głowę nie stoję, głowy twojej nie pragnę,
Będę ja inne miała, wdzięczne, białe, powabne. —



PAŻ W WIĘZIENIU [1].

Chował się paż na dworze, chował na dworzanina,
Paż był piękny i młody, król kochał go jak syna.

Schwytali go w alkowie, schwytali u królewnej,
Wrzucić do ciemnych lochów kazał pazia król gniewny.

Smutna matka posyła synaczkowi gitarę:
— Nastrój synku i zagraj, rozpędź te smutki szare. —

— Które śpiewać mam, matko, które śpiewać piosenki? —
— Te, co ojciec twój śpiewał w Jezusowej dzień męki. —

Ptaki skrzydła zwinęły, w górę wzlecieć nie mogą,
Zwierz się w polu zatrzymał, trudno ruszyć mu nogą.

Wszystkie dzieci w kołyskach usypiają od śpiewu,
Wszyscy pazie królowej wyjść nie mogą z podziwu.

---

[1]) Katalońska. — *MILA Y FONTANALS, Romancerillo catalan, n. 207.*

A królowa go słucha z najwyższego krużganku,
Zaraz pyta swych paziów: — Kto to śpiewa z poranku? —

— To paź śpiewa w więzieniu, zanim spadnie mu głowa. —
— Chciałabym go za syna, — rzecze zaraz królowa.

— Chciałabym go za męża, — tak królewna powiada.
Posyłają po pazia, on się broni i składa:

— Pozostawcie samego, pozostawcie mię, proszę;
Żyć w królewskiem więzieniu, to największe roskosze.

DAMA Z ARAGONU[1]).

W Aragonie mieszka dama piękna jak to słońce,
Włosy ma czerwono-złote, do stóp spływające.

LUBA AGNIESZKA MARYA,
SERC RABUŚNICA.

A mateczka ją czesała złocistym grzebieniem,
Ciotka włosy rozdzielała pierścień za pierścieniem.

Z każdego pierścienia perły kapały na szyję,
W koło każdej perły bisior złocisty się wije.

Siostra włos trefiła wodą dziewięciórnej woni,
Druga plotła wstęgę, co się barw dziewięcią płoni.

---

[1]) Katalońska. — *PELAY BRIZ, I. p. 63.*

Braciszek obracał na nią oczy zadziwione:
— Gdybyś mi nie była siostrą, brałbym cię za żonę —

Zaprowadził ją na kiermasz w aragońskim grodzie,
Nakupił-ci jej klejnotów, gubiła po drodze.

— Mój braciszku, idźmy na mszę, na mszę do kościoła. —
Kiedy weszła, biła od niej jasność do około.

Skoro ją ujrzały damy, wstały jak te służki,
Posiadały na posadzkę, ona na poduszki.

Sam kapelan się pogubił przy świętej ofierze,
Kleryk, co mu do mszy służył, pomieszał pacierze.

— Kto jest, kto jest piękna dama tak jasnego liczka? —
— Siostra króla Aragonu, francuska księżniczka.

Spojrzyj jeno na trzewiczek, obacz, herby czyje:
Ta korona Aragonu i te trzy lilije. —

POWROT [1]).

Grzeczny junak wraca z góry, a tam w dole biją dzwony.
— Na czyj-że to pogrzeb dzwonią? czy na pogrzeb mojej
[żony? —

[1]) Piemoncka. — *NIGRA, Canti popolari del Piemonte, nr 17.*

Grzeczny junak idzie do dom, idzie do dom, w bramę bije:
— Sąsiadeczko, powiedz, proszę, moja żona gdzie się kryje?—

— Twoja żona w licznem gronie poszła dzisiaj do kościoła.
Pięćdziesiąt i dwie gromnice świeciły jej do okoła. —

Grzeczny junak szedł na cmętarz, głosem wołał swojej miłej.
Głośnym wołał żony lubej, cichym rzekła mu z mogiły:

— Ten pierścionek com, dostała, patrz, na palcu jeszcze noszę;
Weź ode mnie, daj go drugiej, niech się za mnie modli,
[proszę.
Niech koronkę kupi sobie, niech modli się razy troje,
Dwakroć na dzień za swą duszę, raz jeden za duszę moję. —

DONNA LOMBARDA [1]).

— Kochaj mię, proszę, donna Lombarda,
przyjmij życzliwie! —
— I jakże ciebie kochać ja mogę,
gdy mąż mój żywie? —
— Swojego męża, donna Lombarda,
poślij do grobu. —

[1]) Piemoncka. — *NIGRA, Canti popolari del Piemonte, I-A.*

— Jakże go mogę zgładzić ze świata,
nie znam sposobu! —
— Idź do ogrodu, szukaj, gdzie leży
zielony żmij,
Utnij mu głowę, potem w moździerzu
na miazgę zbij.
Z winem czerwonem potem pomieszaj
wężowy jad,
Podaj mężowi, gdy wróci z łowów,
pić będzie rad. —
— Donna Lombarda, podaj mi wina,
mocno-m spragniony.
Co to się znaczy, mów, czemu napój
taki zmącony? —
— Wiatr dął od morza wczoraj z wieczora,
zamącił wino. —
— Wypij je sama, donna Lombarda,
wypij, gadzino! —
— Jakże pić mogę, jakże pić będę,
kiedy się nie chce! —
— Tym końcem szpady w tobie pragnienie
zaraz połechcę. —
Za pierwszym łykiem donna Lombarda
w twarzy zbielała.
Za drugim łykiem donna Lombarda
księdza wołała.
Za trzecim łykiem grób na cmentarzu
kopać kazała.



DZIEWCZYNA W WINNICY [1]).

Żyła w chacie dzieweczka, cud urody przedziwnej:
Słał ją ojciec do gaju, gaj był cały oliwny.

Gaj był taki ogromny, że zbłądziła śród dziczy.
Kogo naprzód spotkała? Ogrodnika winnicy.

— Powiedz-no, winniczeńku, którą iść mam ścieżyną? —
— Idź na lewo lub w prawo, moja piękna dziewczyno.

Jeśli pójdziesz na prawo, znajdziesz moją winnicę,
Jeśli pójdziesz na lewo, znajdziesz do wsi ulicę. —

Pod winnicą krzak róży, na nim róża się płoni.
Dziewczyna tam usiadła, zdrzemnęła się od woni.

Aż tu poczet rycerzy, na skroś lasu się bierze:
— Pan Bóg z tobą, winniku! — Pan Bóg z wami, rycerze! —

— Widziałeś tu dziewczynę, i na której-że drodze?
Jeśli mi ją pokażesz, stem dukatów nagrodzę. —

— Za sto ani za dwieście ja dziewczyny nie wydam. —
— Jeśli dwieście za mało, dwa tysiące ci przydam. —

— Liczcie, liczcie pieniądze, na tym białym kamieniu!
Poszła do mej winnicy, ku owemu strumieniu.

U winnicy krzak róży, na nim róża się płoni,
Róża zapach ma mocny, dziewczę uśnie od woni. —

[1]) Piemoncka. — *NIGRA, nr 51 A.*

Pocałował trzy razy, nim się ze snu ocknęła.
— O biada mnie zdradzonej! — tak dziewczyna westchnęła.

— Nie jesteś ty zdradzona, ja cię wezmę za żonę,
I miast wiele ci oddam i węgierską koronę. —



WYBRAŁ I PRZETŁÓMACZYŁ EDWARD PORĘBOWICZ.



INTERMEZZO.

Opuściła więc cyganka Dwór Gościnny, odeszła tak, jak przyszła, po cygańsku: nic nie mówiąc. Za tyle łaski doznanej chciała się do nóg pokłonić Gospodyni, ale z za pleców Gospodyni wielka Bogini dała jej znak, by milczała. Więc nawet, by nie dawać znaku, zostawiła na progu tamburyno i płachtę, i poszła niby do lasu, paniom i panom obiecując jagody. „A pamiętaj zawczasu wrócić,“ krzyknęła za nią Gospodyni.

Poszła więc jak do boru, a szła wolno, bo kawał drogą powrotną. Wówczas przynieśli ją na marach, po śniegu, półmartwą od zimna. Ogrzali ją, nakarmili, z bru-

du omyli, szaty nowe dali, przezimowali... Wysługiwała się, jak umiała, dzieci niańczyła, ogród kopała, wróżyła, drażniła się i czarowała, owoce z sadu kradła, gwiazdy liczyła, oddychała szczęściem. Po cygańsku za szczęście radością płaciła.

Dziś właśnie ostatni dzień wiosny mijał i Gwiazda kazała jej się zabrać i pójść w nową służbę. Gdzie? trudno zgadnąć: jutro samo wskaże... A dzisiaj noc najkrótsza, wszystkie paprocie kwitną, wszystkie sobótki się palą, wszystkie na szczęście. Niech z tą nocą robi, co żywnie zechce, tę noc Gwiazda jej daje na przepadłe, bez targu. Może stare pożegnać, może nowe pozdrowić, dawną drogę wspominać, nową sobie poznaczyć — wymarzyć, wywołać, wywolić — wszystko jej wolno!

Powrotną drogą szła kawał — aż do zwrotnicy, szyn nowych. Kędy ją nieśli martwą, dziś lata na własnych nogach, mocnych jak u jelenia, idzie żywa i cała, ze słońcem w piersi. A właśnie zachodziło słonce.

Szumiała droga wielkiemi drzewami, drzewa długiemi gałęziami zamiatały drogę w złotym wietrze wieczora. Raz wraz przelatywała kolejka, dzwoniła a szczękała, buchała białemi kłębami w pył nasienny drzew, ku morzu złota, w którem się kąpało słonce.

I żegnały ją domy nad gościńcem, chałupy-ropuchy i kamienice-wieżyce, ruiny-czarownice i wille-hurysy. Pozdrowiła ją huczna kuźnia z białym centaurem na łunie, i atleci w bluzach i greckie dwukolne wozy. Wszystkie zamknięte ogrody i wpół-odemknięte karczmy, wszystkie zgruntowane zaułki i rozdale, wszystkie tajemnice i bajki przydrożne, chytro szare we dnie, nocą migotliwe, żegnały teraz tułaczkę. —

Kolejarz, co się do niej mizdrzył, zapraszał ją na maszynę, darmo zawiezie do miasta, na co ma nogi trudzić? Odpowiedziała mu śmiechem, tyle ma czasu przed

sobą i nogi silne jak sarna, u piersi skrzydła. I drogę starą pożegnać trza godnie. Już przecie więcej nie wróci — nie znajdzie czasu. Świat wielki — a krótkie życie.

U złoconych bram miasta weszła pod płótna gospody; rzuciła na stół cekina, kazała wina dać. Na zdrowie przeszłości i przyszłości, na sprzęgaj starym i młodym latom, wczoraja i jutra. Na zdrowie polom i miastu!

Wypiła, zapłaciła, ostatni raz czerwonemu pokłoniła się dzisiejszemu słońcu i weszła w miasto. Płuca moje wzdęte, nie odetchniecie już bławatami i żytem — aż kiedyś — kiedyś.

Zaroiło się koło niej, zawrzało miasto. Kołyszą się łobuzy w szerokich pludrach z aksamitu, macają w butach noże. Szeleszczą, duszno pachną pannice, wrzeszczą nad koszami kwiatów baby-jędze, świszczą tramwaje, przelatują powietrzem rącze konie, gumowe koła, czerwone uprzęże...

Gościnny Dworze, zimowe leże, gdzie wy się podziały? Schowały się już w pamięci, utonęły pod falą, skryły je, wiewając, jaskrawe szmaty nowego świata, zdusiła wrzawa. Tońcie więc, spadajcie cicho, przyjdę do was, wrócę, jak nurek w odmęt wspomnienia się rzucę, — strojnego w wodorosty topielca wyłowię, ocucę! — gdy przyjdzie czas, — gdy kraśne przewieją chusty, nudy mgła się zaciągnie po świecie, co dziś tak barwisty stoi. O drodzy moi, przebaczcie — przebaczcie ludzkiemu sercu, przebaczcie, żem jest jak drudzy!

Idzie, idzie, ulicą podwójną, szeroką, pod rozwiesistemi drzewami, co zielono się kurzą nasieniem. Błyszczą ludzkie oczy, skrzą się kwiaty; upał wieje ognisty w źrenice; dyabliki tarzają się w pyle, pędzą w susach, kozłach; u fontann kamiennych z brudu twarze obmywają, z rąk piją, piją u fontann jak gołębie.

Idzie, idzie ulicą, ulica z dwóch stron koło niej płynie jak rzeka. Tu się wódka rozlała na głazy gorące i dymi; tam wabią z pod parasoli owoce; warzyw woń bije w nozdrza; cygara gryzą w oczy; książki do sklepów wołają, co karta to tajemnica; z wiatrem szeleszczą, jak liście, pęki rycin u kramarzy. Przypatrz się liściom żywota.

Tam wielkie wzburzone morze, tu człowiek z gwiazdą na głowie, tu znów meduza. Kochanek kląkł u mogiły, rycerze biją się w maskach, duch wzlata w niebo. Et, rzuć, wszystko to znasz, wszędzie cię już wymalowali, sprzedrzeźnili, idź, szukaj nowych malunków, chust Boga i żywych liści!

Palą się okna czerwono nad białą ulicą! z wież strzelił blask. — Słońce za miastem, za ziemią. Goreją szczyty, proch leci z nieba. Pierwszych latarni ogniki mdło się palą.

Kiedyś tak było już — kiedy? Et, co tam. Nigdy nie było tak pięknie jak dziś! a jutro jeszcze piękniej będzie — skrzydlata nadziejo!

Doliną idzie ulica — to znów górą. Z za murów zwieszają się pnącze, to świat się roztoczy. Dymią rozległe zgliszcza, lśnią w bezkres szyn błyskawice, czerwone latają ognie. Po wodzie dalekiej chlustają czarne gabary. Tysiąc zielonych latarni pali się w wieczornej zorzy.

Zniknęła dal, wije się szyja murów. Zaduch, nędza, strach, łachmany na bruku. Pół rozwalone jaskinie. Szepty, złe oczy, syki.

Życzliwie witają włóczęgę, dają jej przejście. „*Starzy,* mówią, dawno już czekają...“

W pieczarze noc. Węglik się pod warzą czerwieni. Zeschła jemioła nad leżem chroboce o wapno ścian. Uśmiechają się do wchodzącej Starce.

On wielki jak Waligóra. Głowa mu się srebrzy wśród zmierzchu; olbrzymia pierś miedzią świeci. Szeroko rozsiadł się jak pogański bóg, w boki się wziął, potężnym śmiechem grają żebra. „Witaj, siadaj z nami do wieczerzy.“

Przy starym starka. Mysz przy górze. Cienka, chuda, mała, nos długi. Jeszcze się zgarbiła, nosem po obojczykach stuka, kuli się, prawie jej niema. Tylko oczki się świecą, igra śmiech po policzkach, głos jak pęknięty kieliszeczek skrzeczy. Skrzeczy: „niema do wieczerzy wody.“

„Witajcie, ojcze, matko, przychodzę do was z głodem, woda będzie.“

Włóczykij bierze konew, na miasto wychodzi, do krynicy. Obiega zaułki, ulice. Tam wyschła, tu zasypali; tam ludzi się nabrało, że nie dostać; trzeba iść dalej.

Idzie z konwią cyganka, ulica koło niej płynie, to górą, to dołem; z jaskiń buchają łuny, w płomieniach tańczą szatany, szatanice. Wiją się węże murów, rozlewają koliska; w środku, w kwiatów zapachu, zdrój tryska!

Konew z wodą ciężka, gnie do ziemi.

„Gdzieś była? do morza chodziła ze dzbankiem, że cię nie było widać? tu ludzie się wzięli za łby, krzyk, wrzawa, krew i noże... na twoich rękach — krew?“

„Nie, woda. Wodę macie. Siadajcie, spożywajcie. Chleba kromkę dajcie. Drogę mam jeszcze daleką do domu, do jutra.“

Dali jeść, dali pić, dali błogosławieństwo. Z jaskini wyprowadzili, na progu miesiąc stał, anioł błękitny na śmieciach. Niech cię prowadzi.

Wam, starzy, niech Gwiazda świeci i złoto mego pierścienia. Ostatni to pierścień z palca; trzy dawniej miałam obrączki, dziś czyste ręce.

Ostatnie zdjęła kajdanki, złożyła w starki dłonie. Żegnajcie. Gdy się znów obaczym, złoto mnie całą pokryje, będę już cała złota.

Dalej, dalej, gdzie księżyc powiedzie, gdzie tarczą w atrament okienny uderzy!

Biją zegary. „Idź, mówią, czas wielki. W jasnych rozwojach mgieł gwiezdnych król czeka. Czeka ze słowem. Stanie się słowo o pólnocy.“

Gna wygnanka ulicami jak jeleń. W lazurowe głazy dzwoni obcasami jak w stal. Dźwięczy żelazo mostu nad rzeką szklaną. Po wodzie tańczą płomienie, jaskółki furczą. Na skrzydłach leci latawica przed królewski dom.

Sterczy czarne górzysko w księżycu, szczerzą się głazy; trzy razy stuknęła czołem, trzy razy sercem westchnęła. Otwarło się wnętrze góry. Ciemności, strach. —

„Zmiłuj się, królu jasny. Przyszłam do ciebie po słowo, po urok przed nowym rokiem. Promień mi rzuć do otchłani.“

Zamigotało, zabłysło — i zgasło. Wskazało drogę. Tam, w górę! wąską gardzielą. Końca nie widać.

Wtem bezdnia światła się w górze rozwarła.

— Po co?—pyta jaśń w kształt człowieczy i chłonie w głębie. — „Po urok nowy. Po słowo. Zegar rozkazał — wiódł miesiąc.“

— Duch ma prowadzić.

— O królu, słuchaj łaskawie. Ducha ci właśnie przywiodłam. Powie ci wszystko. Mnie tai. — O, twoje stopy tak jaśniejące na ciemnoobłocznem łonie Globu! O, twoje stopy, marmur słoneczny! Ustami przypaść, ledz, zasnąć —

Nie! w oczy patrzę!

Król słucha. Przybłęda milczy, duch opowiada. Spowiada się ciałem.

Słucha jaśń, promiennej głębi olśniewająca głowa. Nad mgławicą czoła kędzior piorunowy się jarzy. Twarz — płomień biały.

Moc w jaśni pracuje straszliwa.

Podniósł się wzrok, w otchłani światła dwie ciemne czeluście potęgi!

— Idź. Słowo się stało. Godzina bije. Rok nowy.

Oh, że iść muszę od słońca w mroczne ulice —

oh, że snem zasnąć niewolno u boga stóp jaśniejących —

oh, że tak muszę iść, zawsze iść, wiecznie iść, stać u bram, nie znać ostatecznych wrót, nie znać słowa któreś dał memu duchowi, taić w sobie znak, poznawać go dopiero, gdy się spełni!

— Ogarek masz...

Z krótkim ogarkiem wraca wygnanka w ciemności. U wrót stado psów. — Hej, zkąd? — Z Góry. — Od kogo? — Z fabryki świec. — Dowód? — Łojówka. — Marsz za drzwi. — Tak, niestety — za lichy ze mnie kęs na wasze kły. Jeszcze mi w dziki świat pociemku iść, nim boży pies u jaśniejących stóp— rozdarty złoży, krwawy, od wieków upatrzony kęs!

O, księżycu!

Sama, niewolna, noc całą, niema, jak ty!

Ciężka nieznanem słowem, jak matka zgadująca swój płód.

O życie, mroku wciąż nowy! z otchłani idziem w otchłań; gdy jedną noc rozświecim — w nagrodę wiodą nas w nową tylko, w rozleglejszą — noc.

O, Mroku nowy!

Na szczyt! na wyże! na mury świętego grodu, zkąd całe widne Jeruzalem!

Oto szańce stolicy świata, szmaragdowe kolisko mię-



dzy grodem a światem. Dzieci się tu bawią we dnie, nocą samobójcy.

Po tej stronie — głuchy, wieczny grzmot miasta! Po tamtej — gonitwy mgieł nad polami.

Samotność — przełęcz i dwie otchłanie. Rosa na trawach i księżyc nad głową. W tę noc śródletnią obejdź, królewno, swój nowy świat —

ah, obejdź, obleć nieskończoność w tę krótką noc przesilenia!

Tu — łoskot wulkanu. Łuna się nad nim wielomilowa pali. Z łuny wysuwa się olbrzymie świetlane ramię. Zatacza koło po bezmiarach — w wieczność sięga.

Tam — cisza łąk biegnących pod wzgórza powiewnej dali. Widzisz, co tańcem się unosi wśród mgieł? tam — i tam — dookoła — pląsają cmentarze!

Chłód. Wiatr pachnie wodą. Stój! gdzie idziesz, błędna? patrz! oberwał się szaniec. Stromo nurza się w rzece! owinęła się w mgły, ciecze pod niemi zdradziecka.

Z serca powiewnych wzgórz pełza Styksem w pierś miasta. Za falą idź, słuchaj fali. Wejdź w nowy świat. Obejmij swoje królestwo, poznaj je całe, tej nocy. Czy widzisz? już blednie woda. Czarne się czółna nad stalą kołyszą. Czerwonem światłem gruntują dno. To — świt!

Bruk dzwoni jak stal. Broń szczęka. Kroczą żołnierze.

Śmiało! śmiało! wprost na nich! Warta cię twoja wita. Jutro niewolne — lecz dziś do ciebie należy jeszcze. To twoja noc. Łaska zamknęła cię w pancerz, hasłem świętem fosforyzuje twój wzrok. Idź, rób, co chcesz! Na jutro więzienia. Dziś nie tknie cię nikt. Znak dany. Hasło masz. Noc łaski.

— A nie zgub się na spacerze! przyjaźnie ostrzegają strażacy.

— Jam żołnierz też, na twardej ciągłej służbie i żołdzie lichym. Do swojego właśnie idę regimentu —

Znowu ulice. Drzewa je zakryły gałęziami. Latarnie zgaszone. Niebo przez liście majaczy. Głucho toczy się kolej; kłębami bucha w tunelu domów. Siąść na ławce, chwilę tchu —

— Śpisz?.. pytają gęste mroki.

— Idę już.

— Czekają na ciebie?

Czekają! trzeba iść — wciąż iść, wiecznie iść, nigdy snu — —

Wolno, ciężko toczą się na targ wozy, biją w bruk olbrzymie kopyta, skrzypią wysokie koła. Przewiewa zapach zielenin.

— Z nami, z nami —

Idzie z długim korowodem wozów. Szafir nieba wypija z niej ostatnie tchy. Pod hebanem mostów blednie lazur rzeki. Giganty katedr majaczą na skalistych placach.

Zkąd blask? gdzie się pali? Za mostami, nad wodą.

Cały most w pożarze szumiących płomieni. Szum, blask i chłodny, wonny wiew. Kwiatów pełny most, wybrzeże! tłum kwiatów na placu i ulicach! wśród kwiatów buczą płomienie; paprocie kwitną! Zerwij! zerwij kwiat!

— Ludzie! resztę nocy do rana będę wam z wozów znosiła kwiaty — za jeden kwiat.

— Sprzedajem tylko we dnie. Tej nocy dajem darmo. Bierz, co sama chcesz.

— Zadużo, zadużo kwiatów, by wziąć. Wszystkie zgarnę do oczu, i was. Ale jednego nie znajdę wśród tylu. Jeden trza dostać, by wziąć.

— Do dyabła! trza wziąć, żeby mieć.

— Biada mi, biada!

— Precz ztąd!

.... Za rzeką wstają zorze.

Palisada złocona. Za nią ogród-eden. Tam ją powita słońce. Dziś argus śpi — wszystko można. Włóczęga już za palisadą.

W chłodnych szeptach wiatru zorzy budzą się omdlałe posągi. Perli się rosa, żwir zgrzyta pod stopą. Cicho szemrzą fontanny, dymią krągłe wód lusterka. Szumią gaje.

Tam za odwiecznym obeliskiem wstaje słońce!

Witaj, strzało kamienna, szyldwachu łzydy na placu krwawym! Chwała ci, ojcze słoneczny, Ozyrysie! Jako ty niechaj mi się stanie dusza rozdartą i jasną — Bądź pochwalone, słońce, że mi się tu objawiasz w dniu nowym — Bądź pochwalone chwiejnem majaczeniem onej nocy błędnej, bezsennej.

Dalej! dalej!

Tam — ciemne pałace zbrodniczej przeszłości; tu — łuk tryumfu po przez krwawy plac.

Lunatyczka dobywa nowej fali sił — i gna. Powozy



pełne śmiechu i pijaństwa wyją pozdrowienia. Polewacze ulic zataczają na kółkach gumowe węże.

— We mnie! prosi. — Ocućcie.

Osmagało ją, oblało, oślepiło — Dreszcz, febra na wietrze. Otrząsa się jak pies, idzie słońcem, wyschnąć. Dreszcz i żar. Dymi. Łuk tryumfu goreje w dali — stoi w nim słońce.

Tam! tam!

Wtem staje. Zatrzymał ją czyjś głos, czy wzrok. Dziad mamrocze:

— Idę, idę, a coraz dalej. Żebraków tu nie puszczają, chyba się wrócę —

— Może pójdziecie ze mną? pyta cyganka nagle i czeka z pokorą.

— Pójdę sam, pójdę sam, trafię, wszędzie napisano...

I siada pod drzewem. Lecz cyganka już nie pędzi ku słońcu. Zawróciła i wolno, z wzdętą piersią idzie ku miastu.

Ciemne więzienne pałace przeszłości przeszywają mrozem jej mokrą odzież.

Wyschnąć! spać! jeść! nie spała i nie jadła wiele godzin. Gdzie znaleść karm i sen? Wrócić? — Wara. Pójść? — gdzie? — Ah! już się skończyła noc. Dzień nowy nastał. Trzeba zapracować na chleb — Darmo nic.

Ogląda się, szuka. Wszystkie drzwi zamknięte, wszystkie okna białe zasłonami. Majstrzy w niemych warsztatach śpią — dech ich słychać.

Coś łazi, człapie chodakami, skrobie po rynsztokach, zgrzyta pudłami z blachy po bruku. Śmieciarze już przy pracy. Może jej to właśnie sądzono... może ją przyjmą do terminu. Trza próbować.

Ogląda się po kątach, — zgięta we dwoje gromadzi kupkę kłaków. Niesie pokornie do pudła...

Kij machnął w powietrzu. Rozleciały się śmiecie, nim doniosła. Czerwona wiedźma bierze się pod boki.

— Patrzcie, jaka mądra! Do nas jej się zachciewa, ladacu! Ho! ho! nie tak to łatwo! ponoś jeszcze własny łach po świecie, zanim się weźmiesz do cudzych.

Nie to nie. Prosić się nie będzie. Oduczona. Nie przyjmują ofert, widać chcą się ofiarować sami. Czekajmy. Byle w tem czekaniu nie zamorzyli głodem. A może właśnie o to chodzi. Trudno wiedzieć. Ich rzecz...

Gorzka, siada na ławce, pod drzewami. Żar bije z dna piersi do gardła. Sen chwyta za ciemię i podeszwy drucianą siecią dreszczu. Światło czerwone, szum... upał praży.

Nagle wzdryga się, prostuje, bije powiekami. Dwa tęgie cienie na słońcu się nietoperzą. Strażnicy służbowi.

— Spać niewolno! — rozkazuje starszy. — Ani myślę... — Na co czekasz? — Mądrala uśmiecha się:

— Może na was właśnie...

Strażnicy, wziąwszy się pod boki, zamieniają spojrzenie: — Pijana... — Starszy chwyta ją za ramię, podrywa.

— Na nas — to zabierzemy. Marsz.

Bezdomna uśmiecha się chytrze. Słoneczni się jej nowy chleb, nowy dach. Ale z roli wypada protestować.

— Tylko bez tego — (odrywa paluchy z ramienia). — Pójdę sama.

— Niebardzo sama. — No, ruszaj się. (Zwraca się do kolegi.) Weźmiemy ją między siebie.

I we troje maszerują do cyrkulu.





Sklepy otwierają się z hałasem. Śród wapna nowych fundamentów ziewający mularze myją się w szafli-

kach. Gospody rozstawiają swe uprzejme krzesełka. W czarnej głębi domów płomienią się wielkie ogniska, zgrzyta i swędzi kawa palona, złocą się kuraki. O Boże, tyle szczęścia na świecie...

Chmara dzieci lecących do szkoły wypada z za węgła ulicy. Podnosi się radosna wrzawa:

— Złodziejkę prowadzą! Ladaczkę!..—I nuż gonić, w oczy przedrzeźniać, z tyłu skubać...

Aresztantka robi się dziwnie mała. Potyka się. Ta chmara rozfiglonych oczu onieśmiela ją, wywraca, kłuje nawskróś. Nie może im sprostać. Ah znowu, znowu to samo. Wydmuchała w noc wszystką powagę. Teraz łamie się we dwoje, jak składany nóż bez sprężyny. Niema sposobu...

— Na bok! krzyknie strażnik. Dzieci uciekają z piskiem na wszystkie strony. Jeszcze zdaleka nawołują:

— Zło - dziejka! zło - dziejka.

Może i tak... myśli coraz mętniej. Trzeba się namyślić...

Świsnął kamień. Przeleciał przez głowę... Schyla ją nisko, nisko. Świsnął drugi: w piętę ugodził... zaciął... Drgnęła, pręży się. Już lepiej. Tak... tego właśnie trzeba... O, świat jest mądry, wie, czego jej trzeba... Te kochane dyabełki!

Cyrkuł. Nagie ściany. Nosze na trupów, Partyjka domino w mundurach. Spluwają, gdy przechodzi. Prowadzą ją przed kratkę. Siwy pan świdruje ją przez okulary.

— Kto zacz?

— Madziarka.

— Zajęcie?

— Wróżę na podwórzach.

Pan potrząsa miłosiernie głową.

— Miejsce zamieszkania?

— Gdzie się zdarzy.

— Dziś w nocy?

— Na wolnem powietrzu.

— Dobrze. Środki utrzymania?

— Właśnie mam nadzieję...

— Dosyć. Poczekać tu na ławie.

Postulantka siada, sen wnet ją chwyta, majaczy. O świecie, jakżeś dziwnie zawikłany! że też się tego nie domyślałam dawniej... Kocham twe cyrkuły i wymysły i komisarzy... Kocham i cokolwiek się zdarzy...

Dzwonek. Zjawia się służbowy. Krótki rozkaz komisarza. Stójka zbliża się do sennej.

— Za mną.

Zrywa się. Ah, nareszcie... zacznie się. O, dzięki! dzięki!

Idą ciemnemi korytarzami, koło lochów. Z za kratek głowy chwilowych pasażerów witają przyjaźnie. — A wróć się! wołają. Będzie weselej...

Otwierają się mleczne drzwi. Co to? Sala operacyjna... Woń karbolu wnika w nią strachem.

Przyjmuje ją strzyga w pince-nez. Cienkie szpony macają jej ramię. Pyta:

— Dziewica?

Szczypie ją w udo podnosząc suknię.

— Pantalony?

Podejrzana wzrusza ramionami. Walczy z muskułami twarzy, by się tak nie przeciągała gapiowato.

— Położyć się.

Rzuca ją na łoże inkwizycyjne. Obnaża, bada.

— Można wstać.

Wstaje, twarz purpurowa, skrzywiona do łez czy do śmiechu — nie poznać. Lecz oczy szydzą wciąż dobrodusznie —

— Za mną.

Wracają przed dostojnika za kratkami.

— Zrewidowana?

— Tak. Można wypuścić.

— Nie opierała się? Nie wymyślała? nie gryzła?

— Była posłuszna.

— A!

Twarz cyganki blednie. Przegrała. Wpadła w pułapkę. Znowu nie wiedziała, o co chodzi...

Dzwonek, stójka.

— Wyprowadzić.

I do cyganki:

— Możesz iść.

Ona pyta drżącym głosem:

— Ale — do więzienia?

Stary pan mierzy ją ironicznie.

— Nie, jeszcze nie tym razem. Na to trzeba się lepiej zasłużyć.

Głowa jej opada na piersi z pokorą.

— Dziękuję.

— Z Bogiem.

Stójka wypycha ją na ulicę.

— K....! zgrzyta na pożegnanie.

Posiniaczyli, przetrzęśli, zwymyślali i puszczają... tak z niczem... Kędyż, kędyż teraz?.. Nić pękła i labirynt zewsząd pierzcha.

Nagle zadrgały w niej wszystkie mięśnie, krew uderzyła do głowy.

Co to było?

Zimna fala zderza się z gorącą:

Wszystko w porządku. Nic darmo. Trzeba było zapłacić za nocleg... Los dał sobie wykraść noc... i zemścił się dniem. I owca syta i wilk cały...

Shańbili, wystrychnęli, oszukali... — zgrzytają zęby.

Kto oszukał? dała się... — tłómaczy głowa. — Wciąż to samo, jedno w kółko — omamienie.

Pierś nagle uderza w płomienny płacz —
Niebo i ziemia słuchają zimne, cierpliwe.



Marya Komornicka.



Rysunek węglowy KAROLA TICHEGO.

ŚLADEM ROSYNANTA.

Przeznaczenie me być pielgrzymem — szukam Boga,
Autor.

REFLEKSYE BOHATERA.

NOC I.

Smutek hula. Pijanej oddał się rozpuście.
Widziałem szereg dusz naiwnych jak gołębie,
prostaczych dusz, podobnych białej chuście:
tam zgniły ślad — wspomnienie nocne po rozpuście —
i wizerunek oczu, ponurych jak dwie głębie:

to smutku pieczęć! — Gdy widzicie oczy
dziecinnych pełne szaleństw, figlów i uśmiechu
nazewnątrz, nie wierzcie! gdy dzień się kirem zmroczy,
w głąb' padną — i hen na dnie: ponure, smutne oczy
szukają własnej cnoty, szukają swego grzechu —

po latach tak się stają jako dwie otchłanie,
i zgniła trwoga pełza po białej, śnieżnej chuście —
oto jest wyrok męki: na wieczne szukanie,
wieczne niepojęcie... Bakterye w tej ranie:
smutne zbrodnie — w pijanej hulają rozpuście. —



NOC II.

Gdy rozchłaniam się w Życie, gdy niszczę i tworzę:
tysiące przeciwstawień do mózgu się tłoczy — —
i nie wiem, co szatańskie, i nie wiem, co boże?
Baśń Życia, jak splot lawy, w niezgłębione morze
wkwita. — Ot złudny obraz pustynnych przezroczy!

Życie ma różne kąty i punkty widzenia — —
A w mózgu — tam! — na tkankach ktoś chodzi i chodzi —
omija przepaściste wądoły milczenia
i młotkiem w czaszkę tłucze — i ciągle takt zmienia —
Wartości stare toną w mych zdarzeń powodzi:

róża bezczelnem pięknem bije w twarz nędzarza;
słowik nuci nad trupem wisielca pieśń wiosny — —
A męka złych, Judaszów? Czyliż nie obdarza
przebaczeniem męczone? Bogacza, nędzarza?
Winien — dzień słoneczny, że jest tak radosny?

Niewinien, chociaż płaczą! bo płaczą, jak dzieci —
zbrodnie ich są dziecinne! Widziałem w czas zachodu
zbrodniarzy, igrających z bydłem, „mord“ stuleci —
Napoleonów, śniących przepych, jako dzieci,
dni widziałem wschodzące w brudnej barwie jodu —

Lodową stalą błyszczy wielki cmentarz: ziemia.
W kaskadach barw tęczowych — szkielety. Krwi czara!
A nad nią Gilotyna smukła wzrok oniemia —
Hymn szczęścia? Hymn dla ciała? Dziś, gdy zmarzła
[ziemia?
Gdzie ciało?—*Hymn dla chleba?—Wielkaż zbrodnia? kara?*



NOC III.

Kto czci dzisiaj nieszczęścia, co nie idą z ciała?
— Osądzeni się cieszą, że klęski — moralne!
Gdzie żary dawnych stosów? — Pieśń ta skamieniała.
Graal już mchami porasta. — Co nie idzie z ciała,
— stygnie. — Spopielały stosy całopalne —

i bielą się dziś trupio te stosy z igliwia
wonnych świerków, bo Dusza ludzka krwawo zgasła —
Gdzie Męka Wniebowstąpień, *gdzie* Bóg, *co uszczęśliwia?*

Widziałem, jak jowialny szkielet — wśród igliwia —
trzymał w zębach spróchniałe berła: Wielkie Hasła!

Są śmiechy, które plwają na twarz uśmiechnioną —
Nie korz się, że zęby twoje krwi pragnące —
Żelazo ciężki metal; tchnij mu żarem w łono:
przepyszną iskrą zionie w twarz złą, uśmiechnioną,
przez wszystkie barwne nieba przejdzie w białe słońce —

„Duchowość“ — prawda wieczna twej istoty!
Jeżeli patrzysz w bezkres, to już twoja chwała:
chwała wiary — cześć noża — czy krzyżowe loty —
Pójdź! Bóg *ci pokaże wielkość twej istoty,*
gdy wierzysz w niemowlęctwo ziemskie twego ciała —



NOC IV.

Któż był obrońcą zbawczym dla jawnogrzesznicy? —
— Baranek białośnieżny — ofiarny, niewinny!
Oto dusza „celników“ wśród ciemnej ulicy
raz śmieje się, znów płacze — W jak jawnogrzesznicy
padł kamień, jako „sędzia“ — ślepy i dziecinny!

Od sądów ziemi duszę wiodłem po klasztorach,
po „oczach ludzkich“ z bólem kroczę do swej celi:
jak ranią mnie te oczy! W ponurych nieszporach

syczą żądzą igraszek — tłoczą się w klasztorach,
by schwytać odchodzące: sąd na wielbicieli!

Krew na wielbicieli! — Sądzą — porwą w sztuki!
Bóg ich pieklem pokarał — pocałował w oczy!
Boski pocałunek straszny! Dla nauki —
jak dzieci pocałował — rwą swe serca w sztuki
i odtąd im się dusza krwią zgorzkniałą broczy —

Sam sądziłem!! a jakiż mam sądzenia prawo?
i mnie Bóg pocałował. *Cierpię. Wśród ulicy*
po nocach płaczę, każdą draśnięty zabawą —
Niewinnych nie znam, lecz kto ma sądzić prawo?!
— Baranek białośnieżny był zbawcą grzesznicy. —



NOC V (WYBÓR).

In hoc signo vinces! (tym znakiem zwyciężę) —
szeptał ksiądz teolog i pleban łagodny —
Krucyata? W imię krzyża poszły dzieci, męże — —?
(Oni są bez grzechu). Lecz krzyż i oręże?
Co ma gniewny człowiek? wiara? dzień pogodny?

Stwarzaj nowe wartości! — *Na starą modłę noża?*
Bądź wielki! — *A ogranicz się złudą i przestrzenią?*
Nadczłowiek—*Dziecko - zbrodzień?*—Chrześcianin! — *Doża,*

co ślubem czcił Adryatyk? Równość! — *Chleba? noża?*
A krając po kawałku — świat szczęściem opromienią?

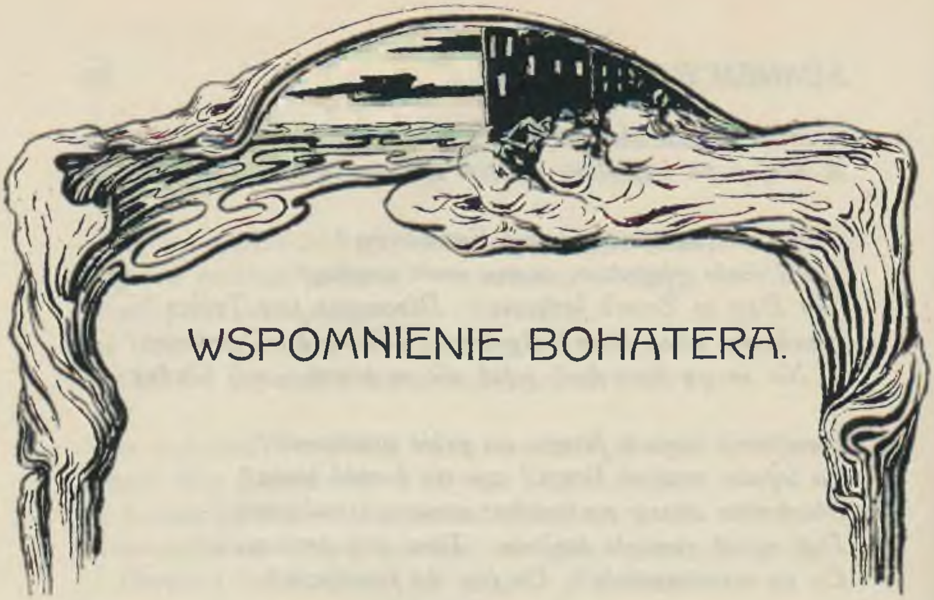
Jeślim nieśmiertelny, będęż Samobójcą?
Jeżeli ciało głupstwo, czemu mnie osądzą?
Czy Bóg to Zero? Jedność? *Dlaczegóż jest* Trójcą?
Słuchamy serca bicia? algebry? Idziem ku Ogrójcom?
— Nie mogą twierdzić, gdyż nie są pewni, czyli błądzą —

Zwątpienie daje-ż prawo na jakie przeczenie?
Co lepsze: szukać Boga*? czy też kawał życia?*
Słuchałem skarg mrowiska: szmery i milczenie —
Dąb zgnił, jemioła kwitnie. Teza, czy przeczenie?
Co za nami zostało? Co jest do przebycia?

„Śpij, Hamlecie!" Taką jest odpowiedź moja;
ja sam przeciwko sobie duszy łuk napręże!
Choć trudno, bo za ręce chwyta łan-dziewoja,
to znów księga, i chociaż wątpi dusza moja —
wybieram Krzyż i Księgę, Gołąbka i Węże —

Nie wybieram dowolnie. Wybrałem przed wieki.
Te drogi dawno widzę — i wiem, że nie miną — —
A Krzyż *wykwitł przede mną bez końca — daleki —*
Po mędrcach jąłem Księgi. *A w dziecięce wieki*
już mnie rwali — Wąż, Gołąb *ku swoim krainom —*

Tak wziąłem cnót symbole. Niechaj we mnie walczą!
Na Krzyżu mam Oko Boże; Wąż *ma zapach trupi*
(wyjąłem z czaszki mędrca) — Krzyż w ślinę padalczą
nurzam — Sercem Gołębia *walczę —*
Zwycięży duch, co razem jest „mądry" i „głupi" —



WSPOMNIENIE BOHATERA.

— — Niegdyś niosłem na barkach krzyż — —
Ciężki on, ze żelaznej sztaby jest wykuty!
i dziw, żem go sam — wykował — —
Godzinami o zmroku młotem był mi ból —
I wstydem mi było, że tak gołą nogą
stąpam przez trotuary wielkich miast — —
I wstyd mnie łamał przed zniewagą,
którą zieje ten wesoły tłum,
co przed karą tak zręcznie zbiegł!
Oto idę ścieżką moją.
Cierniowa ona i bezludna — —
Szukałem w obłąkaniu mroków —
— bez tchu i spojrzenia —
najgorszej!!
Od stołów, puharami krytych, aż
do Golgoty bez Krzyża, do cierpień bez przełomu,
na życie Bezsnu i Bezwytchnienia
wlecze się ona — —
Tak chciałem bawić się żalem i smutkiem moim,

zgryzotą kwiatów zwrotnikowych, co pod szarem niebem tęsknią,
w oranżeryach tęsknią,
na przepysznych szatach kobiecych tęsknią i — —
— — więdną — —
Dlaczegom wmówił w siebie, że mi gdzieindziej iść niewolno?!
Oto myślałem, że po oczach stąpać nie mogę,
myślałem nocą skryć się na puste ścieżki,
chociażby mrzeć i więdnąć i tęsknić,
a bez światła, *a z goryczą w sercu —*
pod szarem niebem smutnego życia,
w oranżeryach sztucznego życia,
bo się bałem odetchnąć,
bo po oczach ludzkich stąpać nie mogę — —
Któż mi wmówił, że ja do Słońca *prawa nie mam?!*

O księżycowych nocach, mroźnych i bezlitosnych,
z marami dum rozpierzchłych tajemne miewam rozmowy — —
Wywołałem ducha, który słał wesołe śmiechy w pustkę
mych klasztornych korytarzy — —
Przypinałem mu skrzydła białe, anielskie —

O księżycowych nocach, mroźnych i bezlitosnych, padały
na mnie ciężko — skłębione zawieje śnieżne — —
Nie podniosłem głowy dla rozkazu,
nie podniosłem myśli dla oporu,
nie podniosłem ramion dla czynu — — —

Któż mnie piętnem znaczył niewolniczem?

Któż mi wmówił, że ja do słońca prawa nie mam?!!
— Tak chciałem bawić się żalem i rozpaczą swoją,
zgryzotą kwiatów zwrotnikowych, co pod szarem niebem
tęsknią, w oranżeryach tęsknią, na przepysznych
szatach kobiecych tęsknią — — i —
więdną —



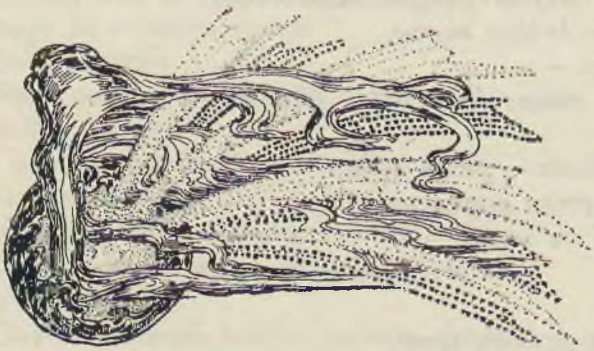
PRZEŁOM.

Po długich Nocach Smutku i Zwątpienia Biały
Dzień *dla mnie rozkwitł kielichem w* Słońcu —

A pierwszą była — Noc Smutku —
A drugą — Noc Życia! Słyszę jeszcze tę
szumną pieśń przepychu życia: szła, gdyby
wielki hymn ku zaświatom! Jednako splatały się
w niej akordy dobra, *jak rozdźwięki* zła —
Ale nie tak nazywano te cechy ludzkie w Zaświecie!
Wszystko to spływało bez zgrzytów w Pieśń
Nieskończoności — — — — —
Następną była Noc Ducha. Wielka, jak Tęsknota Boga,
słodka, jak Wspomnienie Boga!
Potężne tony słyszałem tej nocy: ztąd się zaczął

gwiezdny szlak kopyt Rosynanta!
A potem była Noc Wszechprzebaczenia:
Wszystko zrozumieć, to — wszystko przebaczyć!
I oto stanął nad otchłanią duch Bohatera;
szedł w zawody z wirami gwiazd, i zakołysała się, zachwiała
myśl słaba; a była to już Noc, pełna grozy, w której
trwamy dotąd, i na czarnym Jej oceanie
nie widać litych, złotych kolców Słońca:
Noc zwątpienia —
Szarpnąłem się z pomroku — powiada Bohater
(tęsknił on śmiertelnie do Światła) — *i rzuciłem*
wyzwanie — rękawicę wojownika-człowieka
rzuciłem pod nogi TAJNI!

Hasło: Don Kichot — *odzew:* Biedny Tomek. —



WEZWANIE.

Jako tarcz biała — dusza moja,
w ogniu zwątpień oczyszczona:
miecz się jej nie ima!
— Woła Bohater —
Walczyłem z każdą skałą.

z każdym prądem, który-m ukochał;
z każdym prądem, który-m znienawidził!
Hasło moje: Don Kichot!

Słońce wypalało na tarczy hieroglify,
co mówiły o mocarnej tajemnicy
Semitów — dzieci Żaru —
Noc gładziła rysy spiekłe
i stroiła je w kryształy grobów,
które na trupach rosną w blask i chwałę —
— dzień je wypalał!

Szatan palce w sadzy czarnej maczał,
w sadzy serdecznej bohaterów
ze stosów wielkiej rasy Indo-Aryów:
królewskich chłopów-Piastów lazurookich,
Wikingów — królów morza,
Orłów Romy — —
Najniklejsza mara: Ludzkość — je zatarła!

Jako tarcz biała — dusza moja,
w ogniu zwątpień oczyszczona,
miecz się jej nie ima!
— Woła Bohater —

Nie służyłem grobom ziemi,
choć szedłem na krucyaty
i koronę pieściłem Baldwina!
choć czytałem Koran
na klindze Almansorów,
choć broniłem Jerusalem
przeciw Romie!
choć na szańcach Pragi
dałem głowę!

(Dużo się pamięta, więcej nie pamięta,
a można skłamać byle ładnie;
zresztą zielsko już na tem wyrasta,
a ludzkość chleba (!) *„jeszcze nie dostała!“)*

Jako tarcz biała — dusza moja,
w ogniu zwątpień oczyszczona
na wieczny Żywot Wniebowstąpień;
miecz się jej nie ima!
— Tak woła Bohater —

Nie służyłem *temu, co przemija!*
Wierzę w czary i w „Jezus, Maryja“
dnia jednego — —
Chociaż chcę w kolumnie duchów służyć,
mogę się i niebem znużyć
dnia drugiego — —
Mogę wierzyć w coś utylitarne
krótką chwilę,
i w hygieny wstąpić sanitarne
bardzo mile!
Ale ziemię chcę oskrobać z ziemi!
Duchy pognać chcę snami złotemi
w zórz chwałę!
Chcę w kolumnie boskich duchów służyć,
choćbym miał się niebem kiedyś znużyć,
lub zwątpić dnia któregoś!
— Tak woła Bohater. —

WNIEBOWZIĘCIE.

PROLOG.

Hasło: Don Kichot, *odzew:* Biedny Tomek.
Don Kichot—rycerz Nieba; Poor-Tom—ziemskie dziecię—
włóczy się w noc i słotę — żywot jego marny!
Szatan złojęzyczny zajął lichy domek.
(Jak to opisał Szekspir:) Lear był zbyt ofiarny,
lecz mało przezorny — włóczy się po świecie!
a Biedny Tomek cierpi od chłodu i burzy — —
Cóż go męczy? — Współczucie i duma — — krzak róży —

Biedny Tomek.

„Biednemu Tomkowi zimno!" — Śpi na ludzkiem sercu —
Czem je ogrzać? Swem ciałem? —
— toż to szata Dejaniry! Nie unoś się szałem!
Biedny Tomek cierpi: żółć na tym kobiercu —

Bohater.

(Oto mój Tomek, odzew niebiańskiego hasła;
na nim trzeba zbudować wieżycę Babelu,

pokąd ostatnia iskra w Sercu *nie wygasła —*
— serce tłumu) — Po ogień idę dla — — niewielu —

Biedny Tomek.

Biedny Tomek ci wskaże: znasz kwiat świętojański?

Bohater.

Jakże!

Biedny Tomek.

Weź ten kwiatek srebrny — z tajemnicy Pańskiej —
w noc wielkiego proroka — siłą Objawienia
dostaniesz, jeno myśl o duchów męce!

Bohater.

Znam ją. Widziałem łunę w Noc Wszechprzebaczenia!

NOC Ś. JANA.

Wir uniósł Tomka. Wir się gniewa — —
Drży łąka zdradna; tłumią dech moczary — —
W kir-przestrzeń fiolet leją ranne drzewa —
spróchniałe dęby, fiolet piersi starej — —
Zielone lśniące dyademy na śnieżne padły nenufary.

Wir szepce; skargi miota; wir się gniewa — —
Nietoperz trupich skrzydeł zwiesza chusty — —
Szkli się oko wilka? sowy? czy szatana?
Padł śmiech! Śmiech wzgardy. Śmiech blaszany, pusty.
Ktoś szedł tchórzliwy, senny; potrąca nogą chrusty — —
Noc kryje wnętrze lasu, lecz — w blasku skąpana —
czerni się jego głowa na białem tle księżyca —
jako kolumn szeregi chmurne, zamyślone — —
Na drzewie cicho łkała Rusałka-Dziewica —
widmo. Szkło się stłukło!! Czai się Martwica:
któż podąża? kto śmiałek? w naszą?? — w czyją stronę?!

„Jestem materyalista," wyrzekł, drżąc, bohater,
„cudów niema" — a w duszy prędko klepał Pater —

Bohater.

Przychodzę po kwiat paproci, by dostać się do Słońca — —

Wid.

Hahhaha! O to starać się! Hahhaha! do Słońca!
— Dziś kwitnie! — —

W tym momencie
las już umiera, kir się snuje,
kir już oplątał barwy, cienie:
czarna się przepaść w świat wylewa!
widma gdzieś toną — kwiaty, drzewa — — —
Coś lśnić poczęło — — —
Las dech spiera. Las jak dziecinę piersią tuli.
Las kędzierzawą głowę chyla.
Zkąd to dzieciątko? W koszuli
białej z tła wyrasta — skrzydełka motyla!

To już nie dziecię: kwiat promienny!!
matowy — szklany — z rtęci — zmienny,
wciąż zmienny — już perłowy —
tysiącem barw przelewa — drga — zakwitł!!
Naokół zatańczyły drzewa!!
Las oszalał! Czerwony — błękitny — złocisty — — —
Ściemniał. Zczerniał. — Bohater, oślepiony,
oburącz kwiat uchwycił!
drżał mu wśród ramion kwiat czysty —
Śmiech mar, śmiech okrutny, mściwy,
rwał ze sykiem ciszę —
Kwiat spłonął raz ostatni. — Bohater padł szczęśliwy.

(Koło Szczęścia.)

Od tego zgorzał — i popiołem
rozsypał się po łące — —
Zachwytem taka śmierć się zowie:
zgorzał, jako słońce!
Nazajutrz wstał z niebiańskiem czołem,
wcielony w Nowem Słowie.
W zachwycie spalił serce mrące:
zginął, jak bogowie — —
I odszedł tak, jak bożek Prowe,
w zaświaty płonące:
w świetlane sfery kryształowe
dla ludzi po Słońce!



SFERY KRYSZTAŁOWE.

U WRÓT.

PROLOG.

Choć Sfera Kryształowa *w mojej wyobraźni*
wiruje jak pierścienie gwiezdne — sny Keplera —
lub jako „Szklane Harmoniki Kręgi“
(Mickiewicz je obracał) — jest to Duszy Sfera,
w której na wiek zastyga, co w życiu umiera:
wspomnienia liche, zgryzota i czar śnionej potęgi.

Nie są to żadne Nieba Dantejskie, ni Piekła —
(Nieba *bowiem istnieją za naszem pojęciem), —*
jest to raczej krew moja serdeczna, zapiekła,
którą — to, co boli, co wznosi, — pisałem,.
jest tam nienawiść szczytna: baśni, jak kochałem —
Dziś wtargnąłem! Dla formy zwę to Wniebowzięciem.

Nigdy tak nie schodzę do „samego“ siebie:
Śmieszność *strzeże kryształnej otchłani Tajemnic,*
Śmieszność *nie daje ludziom mówić o tem niebie,*
Ironia pyta wieszcza, czy dyament odgrzebie —
Ironia pyta: „Słońce *chcesz wynieść z tych ciemnic?!“*
Nieczęsto ludzie schodzą w siebie tak daleko!
Śmieszność *dla* Marzenia *jest Letejską rzeką!*

Bohater.

Zstąpiłem!
Otwarły mi się szklane wrota,
jak raz czytana księga stara
i przecierpiana raz tęsknota —

Wid.

Co czynisz?!

Bohater.

(Znowu mara!)
Ktoś ty?

Wid.

Strzegę „Kręgów Szklanych“, odkąd, pchnięte Ruchem, mordują!

Bohater.

Kim jesteś?!

Wid.

Duchem.
Nullus enim locus sine genio est.

Olbrzymi cień przy Wrotach stoi pancerny.

Konny w czarnej zbroi —
Na zbroi krzyż z dyamentów — Rycerz Wierny —
Proporzec z gwiazd na czarnym szyszaku —
Rycerz-Duch bez hasła nie wpuści bohatera.
Drogę zamknął. — Twarz dobra świeci z pod przyłbicy —

Duch.

Hasło?

Bohater.

„Rycerz, co nigdy nie umiera: Don Kichot!"

Rycerz-Duch.

Odzew?

Bohater.

Biedny Tomek (czyli „patrz w Niebo, a zrozum *Ziemię").*

Rycerz-Duch.

Tyś sam?

Bohater.

Człowiek — kapłan Tajemnicy,
(a Tajemnica? — bańka z mydła — źródło paplania —
tęczowa z wierzchu — w środku: znak zapytania).
Zresztą, nudzisz mnie! Dziś to moja własna Dusza,
to moje światy własne!

Rycerz-Duch.

Brud ziemi jeszcze masz na sobie:
utylitaryzm, pojęcia za ciasne —
doczesność — —
Powiedz jeszcze: kto-ć rodzi z Ducha, a kto z Ciała?

Bohater.

Rodzic mego Ciała: *w snach widziany daleko,*

za górami, za lasami, nad trzydziestą rzeką —
Dziś już zasnął w pożarnym pocałunku słońca:
Jerusz-halaim!
Matką mi — Orlica Biała — ziemia ona,
dziś bez miana istniejąca,
niegdyś umęczona —
patrz Jej sztandar! — Wisła szara,
płacz moich dni jesiennych — Dzikie Pola —

Rodzice mego Ducha: *On — wszystkim znany:*
Ahaswer, Żyd-tułacz wieczny,
niedolą pijany — —
Matką mi — Niewiasta tajemna, słoneczna —
Jan z Pathmos Ją oglądał!

Don Kichot.

Wnijdź!
Dusza twoja — wieczna! —

WYJAŚNIENIE AUTORA.

„Rzecz się dzieje“ — to znaczy „treść się mieni,“
a nie że w czasie się odbywa,
lub że odbywa się w przestrzeni.

Sfera Ducha określać się nie lubi:
ziemią czuć w pojęciu wszelkich granic,
więc jedna sfera w drugiej się gubi.

„Napięcie tonu“ — „czasem“ się nazywa,
„przestrzenią“ — „moc“ barwnych promieni —
(Sfera Ducha — BEZPRZYMIOTNEM się chlubi).



I SFERA.

WSTĘP.

Z Arki Samotności rwie nas coś do świata:
myśl żądna niespodzianek, więc loty Gołębie
są sztandarem. Pustelnik w tłumie szuka brata,
szuka strun nieogranych — — nieodkryte głębie,
nowe struny — to rozkosz! — Znak sfery: Gołębie,
a treść Jej: wizya barwna, zmienna i skrzydlata —

Gdzie bohater się ruszy: śpiewy, błyskawice,
płacz, klątwa — szalona dziecinna zabawa —
zaloty łąk w tchu słońca — po nocy miast ulice —
wskróś dziejów bal: obłędna maska krwawa —
niewolnicze swobody i bezprawne prawa,
a na boku szept cichy: to jest Tajemnica —

(Dekoracya.)

Już, już opadły bohatera
lęki i pusty śmiech wesela,
Satyry, Fauny — grecka sfera,

Epikureizm — Rzym spopiela,
Variété, Simonizm, falanstera — — —

Maciek.
A gdzie, panocku, idzieta i od kiela?

I Faun zabiega:
— — a wszystkie mędrków Tajnie i Zwątpienia
nie warte chwili Zupełnego Życia!
nie warte jednej Złudy przestrzennej,
uścisków Lasu, pieśni Milczenia,
lilij na mrocznych kobiercach gnicia,
łzy rozpalonej, igły promiennej — —

II Faun.
Szmaragdowa baśń. Zabliźnione drzewa.
Jutro. Straszna kaźń — to mi życie śpiewa!

Łan.
Obłąkana dusza moja się rozkwieca,
na sierpie lśni, w blask zboża się nurza,
ze szczęścia kwili, kiedy ją oświeca
dumna, stalowa, nieugięta burza!

Chór Życia.
Jak dobrze!!

Optymizm.
I to nawet, że w parny ranek
dech słońca na śmietnisku prysł w barwy tęczowe!

Pesymizm.
Cicho! Sfinks chychocze w pożarnej ironii —

Dziewczyna.
Uciekł mi kochanek,
nikt go nie dogoni!

zabral moją głowę,
nikt mnie nie obroni!
Zabrał mi kochanek
czystość mojej skroni,
pierwszą serca mowę,
— nikt mnie nie obroni!

Chór Faunów.

Chodź w tan!
Czy słyszysz, jak wkół
przez łan,
z aromatem ziół
— wir śpiew
ukojenie serc zwiał:
sok drzew,
kiedy Wiosny szał — —
serc plan
zaślubionych pszczół;
serc lęk,
senny brzęk —
czy słyszysz wkół?
Chodź w tan!

(Z łez już nimfy uplotły różaniec,
utopiły różaniec, gdzie rzeka —
a dziewczyna puściła się w taniec,
jeno piosnka wiruje daleka!)

Włoski Tenor.

Ona mnie zdradziła! Serce boli!
Madonno! ulżyj mi w niedoli!

Chór Satyrów.

A cicho! pfe! Wszak jęczyć wstyd,

mężczyzną bądź! — Cóż damski ród?
Na życia szkle drażniący zgrzyt,
lecz ty: cyt! cyt!
Na serca głód jest wino! wiesz?
A więc nie grzesz!
Cóż damski ród?!
— drażniący zgrzyt!
więc wino lej — i cicho! Wstyd!!

(Tenor nie chce kielicha, lecz dzbanek —
Z niego uczeń jest pilny, wzorowy,
dzisiaj kpi sobie z wszelkich kochanek
i wyśmiewa różane okowy —)

Reporter Patetyczny.
Stęchły miejski wiew. Dzieci wpośród błota!
Optymizm.
— i w tem jest cicha, dobra, tajemna tęsknota —
Reporter Patetyczny.
Szwaczka blada spogląda na brudne podwórko —
Optymizm.
— ale uśmiech ma w oku —
Reporter Patetyczny.
— żółta, jak gromnica —
Faun.
Na oknie — jej róża; rozkwitła i wonna!
Publiczność.
Po czemu dziś na rynku jest średnia pszenica?

Życie..
Bądźcie jak ptaki, jak róże, a nędza rzecz płonna!

Faun.

Pełnią Życia!! — *Wśród kłosów wonne mam posłanie!*
Żuk gnojny lśnienie skrzydeł śle mi w upominku —

Pesymizm.

Krew?

Satyr Dziejów.

— i krew dobra —

Reporter.

— płakałem po szynku!

Faun.

— i to dobre: naiwne złego ukochanie. —

Życie do Bohatera.

Szmat futra, lśniący rudawym przepychem,
słoneczni łany, jasności niesyte —
Lękami borów ciało upowite
tuli doń Troska — — róż sinych kielichem
rozwija kwiaty, śni marzeniem cichem
(noc głucho tętni przez drogi odbyte) — —
Cień pada w duszy zwierciadlaną płytę,
cień wspólnych zbrodni z pokutniczym mnichem!
szła dotąd skuta: za nim, za Zwątpieniem —
Lśni przepych słońca! Głębokiem spojrzeniem
modli się Troska, jak więzień mogiłom;
niedługo rzuci ciebie — tajemnicza!
W śmiech blasków tuli siny kwiat oblicza —
Wciąż przepych wzrasta!
Słońce ją zabiło. —

Panteizm.

ON dobry! ON Tworzenia i Zniszczenia Droga!
Wino tego życia płynie z jednej czary —
Pójdź za mną! — Czego wątpisz, człeku małej wiary?
Wszędzie jesz i pijesz Ciało twego Boga!



II SFERA

WĄŻ.

Ludzkość.

Za granatową gwiezdną nocą
pożarne słońce krwawo wschodzi,
a czasem bryzga żółci jadem;
zkąd ono? — czyją pchane mocą?
czy śmiech to? — płacze-ż w barw powodzi?
czy niepoznaną daje radę?
Przed granatową gwiezdną nocą
pożarne słońce w łzach zachodzi — —
Na zbladłych niebach turkusowych
płyną ostrowy chmur z koralu:
— miedziane tarcze płyt grobowych
chowają-ż słońce pełne żalu?

Człowiek.

Czy, przeznaczeni na konanie,
święcimy życia zmartwychwstanie? —

Głos duszy zbudzonej do szukania.

Powstańmy! Słońce daje Radę:

kto nie chce zasnąć na tym brzegu,
aby — oddany ślepej fali,
albo zatruty chwili jadem —
w zwierząt nie ujrzał się szeregu:
niech patrzy, jak się Słońce pali!!

Ludzkość.

Głos ten od Boga?!

Głos.

Nie!! — od Węża —
— W tej Sferze Imię to zwycięża —
Wąż nas zatruje: da świadomość,
więc słodkim będzie jad trucizny!
(Jak słońce — boli taka rana.)
*Wąż-*Mądrość *wpełznie do tej blizny,*
poznamy Wielkość i Znikomość. —

Ludzkość.

Toś nie od Ojca?! nie od Pana?!

Głos duszy.

Nie. — Jam od Węża!!
— W tej Sferze Imię to zwycięża. —

SCENERYA.

Bohater: „szukający,“ „wtajemniczony“ i „Arcykapłan.“
Ledwo co ukochał, już niszczy.
(Kwiat, co głębiej wrył się w duszę,
nowy zagłusza: to jest „kołysanie się Sfer“).
Przez dyamentowe wieków korytarze idzie:
lśnią i gasną dawno znane postacie — — —

ESSEŃCZYCY.

Arcykapłan.

Jak *i* dlaczego *odbiera wam sen, zabija czyn i chęci* —
Pójdźcie na pustynie! — *Loch skał dla myśli waszej*
[będzie jak obrońca — —
Powoli zniszczym się. Zburzymy gmach pamięci.
I w nocy jaskiń Własne wytworzymy Słońca!

Kapłan.

Siedziałem tak od świata oddzielony:
strawiłem żar, strawiłem wiek młodzieńczy —
darmo! — *Duch Życia wrócił ośmielony* —
Duch Życia — *Zło w uroku świetnej tęczy* —

Duch Życia.

Widzisz?

Kapłan w ekstazie.

Płomiennych krwawych żarów potoki
niosą nieznane i dziwne dreszcze,
śni się gorący step bezobłoki
i pod nim przestwór piasków szeroki,
a wokół mgliste miraże wieszcze — —
Na tęczą lśniącej tkance złudzenia
namiętne dziewczę słońca krainy

wyciąga ku mnie dłoń przeznaczenia
i niesie przestwór pieśni milczenia — —

Duch Życia.
Słyszysz?

Kapłan powtarza:

„Wróć się! wróć, bracie, do twej jedynej!
Porzuć te lochy, zrzuć z czoła chmury
chłodne, jak północ szklista, lodowa!
Śpiewać ci będą Edeńskie chóry
Lenistwo *słońca, kiedy za góry*
w płomiennych krwawych żarach się chowa — —"

(Surowa cisza zaległa wkół
i zamyślenie stroi im twarz — —
lecą dalekie zapachy ziół — —
lecą piosenki, muskają twarz:
— pamiętasz? — znasz? —)

Arcykapłan.

Idź —
Hańbisz nas wobec Węża!

Zostaje sam.

Arcykapłan.

Zostanę z prochem wspomnień, — w mózg ziemi się wgrzebię
i okiem zerwę z nieba zazdrosną zasłonę!
Będę Rozum *piastował na Ciała pogrzebie:*
może Tajń da mi więcej nad królów koronę,.
może kwiat jakiś wzejdzie na niewdzięcznej glebie!
— Nie żądam nic dla chwały!! Nie. Ale chcę, jak Słońce,

treść Ziemi spopielić na pogardę Ciała!
na pogardę Życia!!

Głos Duszy.

Chwała! chwała!
ty gardzisz??

Arcykapłan.

Taak —
...myśl przecierpię!
Będę odtąd chwalił Boga nie jako
Syn — Ojca, ale jako Uczeń — Mistrza!

EGIPT ŚWIĄTYŃ.

Wtajemniczony.

Duch snami opiły
szkłem przepaści niosę w Tajemnicę —
Gdy Myśli — Bogów-Słońca strawiły,
zkąd blask pada na Duchy-Księżyce?!

Kapłan.

Proch dziejowy wyniosleś z mogiły?

Wtajemniczony.

I proch świecił, jak stare próchnice —
zkąd te lśnienia?

Kapłan.

Sfinksy wiedzą.

Wtajemniczony.

Fałsz!! Sfinksy prześniły —
Wszystkim duchom zaglądałem w lice
i otchłaniom, gdy się dnami szkliły — —
— — — — — — — — — —
Zkąd blask pada na Duchy-Księżyce?
— Kir jest we mnie — bogów myśli strawiły! —

Arcykapłan.

Śladem Boga idziesz —

Kapłan.

Ale Imię Jego *NIEPOJĘTY* —

Chór Kapłanów.

Wiedza, którą idziemy, i Wiedza, po którą idziemy —
jest jak kryształ, a ścianki — tysiączne zwierciadła.
Jedna kropla — blask rtęci — skierka jedna wpadła:
mgły światów, lśnień chaosy! — jedna iskra wpadla —

Chór Wtajemniczonych.

Z powierzchni zmiennych fal i obrazów
zeszliśmy w głąb' Starej Świątnicy —
Zbrzydła nam złota baśń Nilu —
W łanów spłowiałych objęciu
długośmy słuchali Czarów Szeherazady,
— zapragnęliśmy zdobyć lampę Aladyna!

Chór Kapłanów.

Wiedza nasza szczytna, wiedza tajemna —
nie dla motłochu! Szukamy śladów Boga —

Chór Wtajemniczonych.

W świątnicy, wzniesionej ludu tego dłońmi,
wznosimy pojęć gmach dyamentowo-ścienny — –
Dyamentowe — długie — wloką się korytarze —
nieuchwytnemi idą pierścieniami — —
w milczeniu toną? — czyli w gromów gwarze?
— — — — — — — — — — —
Dyamentowe się wloką korytarze — —
Niepewni tęsknim — idziem snami — —
Bez końca drży odbicie tego lśnienia,
co niewidzialną tleje — hen! — gromnicą — —
Bunt gromów słychać? czyli szept milczenia?

I Wtajemniczony do Arcykapłana.

Spotkałeś się już kiedy z Tajemnicą?

Arcykapłan.

Zawsze z odbiciem —

Kapłan.

A może Światło *rozpadło się w* Odbicia!!

Słuchają własnych mysli.

Arcykapłan.

Zamilcz o tem.

Chór Wszystkich.

Dyamentowe się wloką korytarze —
nieuchwytnemi idą pierścieniami — —
W milczeniu toną? W gromów gwarze?
Dyamentowe się wloką korytarze — —
Niepewni idziem tędy snami — —

MAGOWIE CHALDEI.

I z Magów.

Nadeszła noc, a z nią pora
gwiezdnych rad, magicznych snów:
na wieży szczyt!

II z Magów.

Lęk w nas! Bo dusza chora
czytała w gwiazdach — Srebrnych Słów
niepojęty myt!

Bohater zjawia się.

Chór.

Czego chcesz?

Bohater.

Słuchać Rady Nocnej —
jak przed wiekami, i spojrzeć znów
gwiazdom w twarz!

Chór.

Noc kryje wschód. Króluje mocny
Bóg-Aryman, więc naprzód mów,
czy światło masz?!

Bohater.

Błyskawicę niosę w całun owiniętą,
rozsieję nią w proch Arymana kiry! —

Na oko ziemi, na szczyt Dawalagiri,
w tajemnicę waszą idę świętą:
błyskawicę niosę w całun owiniętą!

Chór.
Więc chodź z nami na szczyt
czemprędzej — nim zalśni świt:
w zaklęte śnieżne wiry! — —

I z Magów.
Lęk w nas, bo dusza chora
czytała w gwiazdach — Srebrnych Słów
niepojęty myt!

Arcymag.
— ? —

I z Magów.
Patrzałem w dalekosięgłych szyb źrenice,
oto formuła: —

Arcymag.
I nic?

I z Magów.
Nic. —

Arcymag.
Kapłankę zwołać tu — dziewicę —
która wrażliwa jest i czuła,
niech utkwi oczu swych źrenice
w szyderskie gwiazdy skrytolice,
znów w wirujący krwawy rubin:
będzie to — z Tajnią zaślubienie,
będzie to — z Ciała wyzwolenie —

Chór.
Noc Wiedzy — Noc zaślubin! —

(Kapłanka przyszła — — i wpatrzona —
zasnęła w krwawych świateł wstędze).

Arcymag do Niej.
Co widzisz, mów! —
do I Maga.
A ty pisz w księdze!
— Co widzisz, Wiedzy zaślubiona?

Kapłanka.
Dusze ludzkie wracają z gwiazd! Tysiące!
Im większy duch, tem większe jego słońce —

Mag do Bohatera.
A które w życiu ziemskiem nim kieruje.

Kapłanka.
Wszystkie słońca, jak ptaki złotopióre,
w noc lecą! — Nocy nie ogarną —
Nowe słońca!! —
Za Szarą Chmurę
padły! —

Arcymag do Bohatera.
Może ty, co marszczysz brwi ponure,
znasz jej miano?

Bohater.
Znam — jam z tego świata —
Zowie się: Wszechwiara, lub Wszechzwątpienie —

Chór.
— ? —

Kapłanka.
Nad ziemią wszystkie krążą!!!
Rysują złotem noc czarną,

ona skrami zapłakana —
skry się w pasma wiążą —
pasmo z pasmem się brata! — —
Milczenie, —
milczenie gwiazd —
do jednej Gwiazdy *dążą* — —

Arcymag.
W którą stronę?

Kapłanka.
Na Zachód —

Arcymag do Bohatera.
Ty, coś z Przyszłości, powiedz, co to znaczy?

Bohater.
To Prawda, która Baśnią się tłómaczy —
śmierć Wielka — Ormuzda, Większe Zmartwychwstanie —
do dziś jeszcze — — lecz czasem — —
— — gasi Je — Wszechzwątpienie —

Chór.
A któż to? któż?

Bohater.
Mój nieodstępny Anioł-Stróż. —

Chór.
Pijemy żary z ciemnych gwiazd,
pijemy gorycz z jasnych słońc —
— — — — — — — —
dziś wszystkie gwiazdy tracą żar
i słońce traci dumy czar,
a z obłąkanych mgławic-gniazd
blaski się wloką — śmiejąc, drżąc — —
zmartwiałe blaski martwych słońc — —
tajemne żary z ciemnych gwiazd — —

AKADEMIA BRACTW NAUKI.

(Dekoracya.)

Wskroś wieków lśni się złudny gmach:
Akademia Bractw Nauki.
Gdy jedna część Jej *tonie w mgłach,*
gdy już nad drugą — płaczą kruki,
trzecia podnosi czoło w skrach — —
i tak bez końca każda śpieszy
zapalać nowe słońca — rzeszy.

Lecz skutkiem ciągłej zmiany wiar —
już wtedy *mech ją wkrąg porasta;*
i blaknie zwolna Wiedzy czar,
jako starzeje się niewiasta,
co próżno czeka leków sztuki.

Wskroś wieków lśni się złudny gmach:
Akademia Bractw Nauki.

Bohater.

Jeszcze raz przeżyję upadek i budowę gmachu —

Don Kichot.

Dumie twojej to nie ubliży —

Bohater.

Jeszcze raz przeżyję wzlot Nauki i pełzanie — —
Straszne mi to nadziei królowanie!
(świadomość jest przyczyną strachu) — —

Don Kichot.

Dumie twojej to nie ubliży —
Był tu przed tobą ktoś —

Bohater.

Gdzie poszedł?!

Don Kichot.

Na Golgotę — w stronę Krzyży —
— Krasiński — a za nim jakieś odgłosy
szły z mrocznych podziemi (to są Ducha Sądy);
On wyniósł błyskawicę w całun owiniętą,
zawierz „jej“ siebie, otul się w pożarne włosy:
„ona“-ć słońcem będzie, oświeci te lądy —
tak pójdziesz srebrnym szlakiem w „pamięć wieków świętą!“

PIERWSZA STRONA GMACHU.

Pitagorejczyk.

Prawda jest tylko w Cyfr prawidłowości;
w nich kryje się nieubłagana Konieczność —
Zero? — Symbol Wszystkiego i Nicości —
Jedność? — Wszystko dąży do jedności —
Dwanaście? — Treść Hebrajskiej Świątnicy —
Siedem? — pełne czci i tajemnicy —

Platończyk.

Cyfra martwa. Nad wszystkiem jest promienne Słowo.
Słowo-Myśl — bogów stwarza w chaosie zawiei.
Bracia! Pogarda ciału! *Nieść płomień nad głową!*
Bracia! Cóż jest ciało? — *Splugawienie* Idei!

Bohater.

Boski twój Mistrz dobrym poszedł śladem —
znów wieki nim idą — —

Sofista do Bohatera.

Czy w „Materyi“ szukasz, zwąc się ziemskim gadem,
czy w „Idei“ się bratasz z boginią Izydą? —
mogę ci dowieść, że w tem błądzisz, lub w owem —
mogę dowieść twej racyi w jakim chcesz sposobie
i Materyę z Idei wyprzeć silnem słowem,
lub Ideę z Materyi.
Z fałszu prawdę robię!

Bohater do Sofisty.

Choć kpisz — niesprawiedliwa spotyka cię wzgarda!
Wyznam, że nikt dalej od ciebie nie sięga — —
Każda „prawda“, jak metal, dopóty jest twarda,
póki niema Ognia. — Ogień to potęga! —

DRUGA STRONA.

Arystoteles.

Czego palcem nie tknę, w to nie wierzę!

Bohater.

Słuchaj! A czy palcom można wierzyć?

Arystoteles.

Tak daleko nie mierzę,
bo inaczej nam nie żyć!

(W togach wchodzi profesorskie ciało.
Ciągną bożka z drewna; reklamują śmiało:)

Chór Profesorów.

Pozytywizm!!

Tłum zw. Inteligencyą.

A! a! a! — A! a! a!

Chór Profesorów.

Oto jest ochłap mięsa dla gęby zatkania.
Oto są balwany Czystego Rozsądku.
Starczy przez życie całe do męki konania,
byle w Wieczność nie patrzeć i unikać wrzątku,
bośmy z trudem zagładę DUCHA budowali,
a wrzątek może popsuć lat dzieło na marne.
Oto jest Bałwan Wiedzy, niech motłoch go chwali!
Oto sztandar: Wierzymy w Coś Utylitarne —

Bohater.

Jakie to ciasne, marne — —

(Tłum chwali bałwana: A! a! a!).

Chór Profesorów.

Słyszysz Vox populi! — Ciasne? — Hm, to zabawne.

Bohater.

Tłum wam wierzy, bo lubi wszystko lekkostrawne!

Filozof Krytyczny.

— — a dziś, gdy się mówi o aksyomatach w nauce — to [błąd. —
Nie jest-że pierwszą hypotezą: rzeczywistość naszego [rozumowania?

Bohater.

A więc cóż?

Awerroista (do Bohatera).

„Węża" rzucisz!

Głos.

Zamilcz o tem. —

Awerroista.

Nowe Miano ci powiem, Hasło Nowe!
Tyś wypłynął z BÓSTWA — w NIE powrócisz! —
To jest Prawda jedna.

Bohater.

Myt rozpaczy —

Awerroista.

Nie! Nowe-ć Hasło powiem, Nowe Miano —
— da-ć szczęście. — Chęć Wiedzy jest raną.
Ranę jątrzysz!

Duch-Wąż.

Zamilcz o tem.

Awerroista.

Węża rzucisz! Ciało pętaj!

Duch - Wąż.

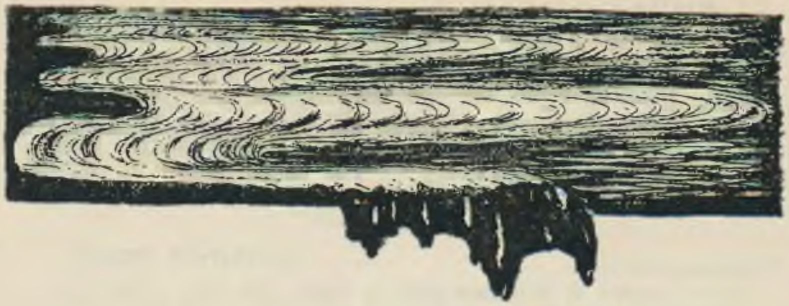
Ciało nie przebaczy!!

(Próżno. Głos padł. Głos w Duchu rośnie.
Już dawno marł! Zgniła myśl o Wiośnie!!
więc w Nową Sferę!!
Sfera Próżni.
To będzie ostatnie *po męczarniach „chęci“ —*
ogarnie szarym zmrokiem dusze zżarte bólem —
— Morze Znicestwienia — Sfera BEZPAMIĘCI.)

Budda.

Twórco własnej doli! Niewolniku CHĘCI!
CHĘĆ okiełznaj! Bądź swoich cierpień królem!
Każ im zmilczeć: zginiesz w Morzu BEZPAMIĘCI.

(Tu się zaczyna Sfera bez Znaku.)



III SFERA.

WSTĘP.

Pieśń Otchłani.

Przez posmutniały filtr dyamentu
księżyca martwe seledyny — —
Na orgię wspomnień siwych włosów,
z gwiezdnego wiru i odmętu,
upiorny Człowiek idzie siny — —
Przez posmutniały filtr dyamentu
ogląda pasma siwych włosów — —

Na grobach setki srebrnych kłosów —
Glob potrzaskany w bryły lodów
— Chaos kołysze ziem cmentarze —
Zdziwienie straszne — łzy bez głosów!

Bohater.

Pieśń ideałów i narodów??

Pieśń Otchłani.

Na grobach setki srebrnych kłosów —
Chaos kołysze ziem cmentarze —

Bohater.

Niegdyś!! Ułuda? snów witraże?
krwi szept na ducha święte szranki?

Pieśń Otchłani.

Przez posmutniały filtr dyamentu
— seledyn. Zmarłych snów miraże
na siwych włosów srebrne wianki — —

Bohater.

Niegdyś! — ułuda, snów witraże,
tęczami lśniły filtr dyamentu!

Pieśń Otchłani.

Chaos kołysze ziem cmentarze — —
Chaos kołysze pierś odmętu — —

Ludzkość.

Co znaczą te siwe włosy?!!

Głos Nietzsche'go.

Bóg umarł —

Tłum szepce między sobą: *Bóg umarł!*

Duch-Minus do Nietzsche'go.

Nie twoje tu miejsce, Przyziemny Stworzycielu
Nowego życia! — Odejdź! —

Chór Wyznawców Ducha-Minusa.

Przeczym i niszczym! —
Słuchaj tłumie: Skalałeś BOGA
w Sobie, odtąd — umarł!

— — — — — — —

Niech tak umrze wszystko, co buduje!

Tłum Obłąkany.

Nie rozwłóczcie tej nocy po wszystkich krańcach świata! Jest to oślepły ból nicości!! Jest to okropne przerażenie śmierci, która zmarła!! — — —

Co za jęk?? — (Stalowy syk bezdeni drze ciszę —)

(Po nad brzegami czarnych dachów rozlało się ciemnoszafirowe niebo) —

Miliony osieroconych niemowląt, rzucone w tę noc beznadziejną, kwilą i mrą na błotnych roztopach bez matki — — — i niema! niema kochającego łona, co je utuli!

(Przerżnął otchłań rozpalony płat stali. Przeszył na bezdeń!)

Szara się czeluść w świat wylewa i nie mamy już ołtarzy, nie mamy dziś pamiątek!!

Tylko gwizd oszalałej ziemi rwie się w kir bezkresu i kona, jak skonała ostatnia skra nadziei! —

Bohater do Don Kichota.

Czemu TŁUM tak cierpi?!

Don Kichot.

Niech w cierpieniu zniszczy Siebie,
a stworzy się z Niczego na nowo
BOGA Świętszego *pojmie!*

DUCH-MINUS.

Duch-Minus.

W tej Sferze ja władnę! Na duszach pieczęć kładnę: duszę trzymam w wiecznym rozdźwięku!

Jam ANTY-BÓG; Duch Wszech-za-przeczenia —
Wy-jawiam się w ZŁEM rozlicznem:
i mój Chrystus może być Aniołem!
on ma tęcze uśmiechu nad czołem!
duch, który niweczy, — TĘSKNOTĄ jest krynyczną,
patrzy w przezrocz swoją,
wskroś wieków pyta — tem niszczy!

Elementarne ZŁO w dotknięciu myśli zwielokrotniam!
— tu królowanie moje i tu powszechność moja
bezprzyczynowa i bezprzymiotna aż po NIE-BYT —
Choć zdarzy się prawda, *mówię: odrzućcie! i odrzucacie—*
Ja bywam Samo-wzgardą waszą, bom jest NIE-DO-WIARĄ waszą.

Chór Otchłani.

Gdy poznaliśmy pierwsze NIC-NIE-WIEM: czerpiemy z PEŁNI DUCHA i zagładzone jest ono N.-N.-W. do pierwszego ZWIERCIADŁA — —
Na tem fałszywem słońcu my, dzieci złudnej otchłani, zatknęliśmy powtórne N.-N.-W.
Tak wychodzim nagle z bezprzestrzennej dusznej jaskini— —
Tak wychodzim z nową twarzą, a razem z tąż samą!
Wychodzimy z twarzą smutną, tajemniczą, w nimbie bolesnego uśmiechu — —
Oto jest TAJŃ ZWIERCIADEŁ.
Oto jest nieskończenne (w powtórzeniu) N.-N.-W.
A zawsze, jakby dalsze i pełniejsze — —

Dusze Szukające.

Jest-że możebność błyskawicy, co podruzgocze te ZWIERCIADŁA? — Cudu!!

Chór Otchłani.

Liczba ich: nieskończoność!
Migotliwe, czarne i srebrne,
bezprzestrzenne, a wszechobejmujące,
trupi kanał, księżyce migotliwe,
wydłużają szlaki niebne,
wrogi BÓSTWA tem, że zwiększające,
przez nich MAŁE jest często ISTNIEJĄCEM.

Migotliwe, czarne i srebrne
Zwierciadła-księżyce migotliwe,
PAN na nich dłoń położył:
oto milion twarzy i proroków
— ZŁO się zwielokrotnia. —

Budda.

Wszystko — Ułuda! *Z nią walczcie!*
Ale niech nawet o to *wam nie idzie:*
pogarda wszelkiemu chceniu.

Chór Buddystów.

Gdy wypalą się wszelkie ogniska,
gdy Słońce się w sobie spopieli —
MY, którzy istniejem z NAZWISKA:
po za NIEM — nie będziem istnieli — —

Bohater.

Zkąd znacie — PRZYCZYNY BOŻE?

Chór.

Nie o to! nie o to nam idzie!
Spopielim się, spalim w milczeniu:

pogarda wszelkiemu chceniu.

Do Tłumu:

Ostatnie iskry stygną... ostatnie milkną szumy...
pójdźcie ofiary czynić!

Tłum się dzieli.

Jedna część.

Ze wszystkiego — tak!
lecz nie z DUMY!

Buddysci oddalają się z tłumem Wyznawców.

Głos Archanioła Abbadona.

Do mnie, bracia tęskniący w gniewnem niepojęciu!

Oddalony Chór Buddystów.

(Mgłę BEZCZYNU w siebie chłonę,
owładnięty w snach — N.RWANĄ — —
Swym marzeniom, jak kurhanom,
z kwiatów śmierci dam koronę...)

Silny Głos Archanioła Abbadona.

Bracia, w gniewnem zniszczeniu!

Daleka Pieśń Ludu.

W dal milczącą się roztacza
szklana tafla śniących wód,
nad nią wisi lodów chłód:
stygmat śmierci: sen tułacza — —

obłąkana w marzeń cud,
dziś po Wiośnie nie rozpacza —
w dal milcząca się roztacza
szklana tafla śniących wód.

Bardzo daleka, cicha zwrotka.

(Obłąkana w marzeń cud,
szklana tafla śniących wód
w dal milczącą się roztacza — —)

Milknie.

Axel.

„Nie raczymy przecież dopowiadać Amen
do litanii niewolników — —"

Oddalony Głos Zaratustry.

„A komu życie się nie udaje, temu śmierć się uda..."

Abbadon.

Jam jest Duch Wszelkiej Śmierci!!

Chór Dumnych.

Marne to życie, męki marne — —
Nie wiemy, nie pojmujem dlaczego?
...a może na Wieczny Żart nas stworzono?
Czarne tęsknoty, kruki czarne
obsiadły nas. — Idziem z NICZEGO
ślepi, głusi i niemi — z męczeńską koroną — —

Abbadon.

Krzyczcie: „Chwała złemu! chwała naszej rozpaczy
[i niechęci!"

Bohater z przerażeniem.

Dokąd? dokąd?

Nieuchwytne Echo Buddy.

(— Nieskończone dale BEZPAMIĘCI — —)

Tłum.

Chwała naszej rozpaczy! Dręczmy się nią, gniewem i zemstą na wieczność — —

Abbadon.

Kto się gnie, ten podły! — —

Tłum Wyznawców.

Podły, ludzki — — — —
A my za matkę obierzem sobie ŚLEPĄ KONIECZNOŚĆ!

Abbadon.

Chwała! chwała!

Bohater.

Dokąd?!

Abbadon.

— ODWIECZNY i WIECZNY BUNT —

Ludzkość.

Pewności! pewności!

Abbadon do Bohatera.

i ona do mnie należy — —

Bohater.

Wielu odpadnie! — —

Abbadon śmiejąc się.

— — i ty za mną pójdziesz — — tyś mnie już w snach pieścił! Pamiętasz?

Bohater.

Niestety, gnije jeszcze, ale wyrwę ten szmat z duszy!

Abbadon.

Tam... na dnie masz jeszcze, taisz w sobie palący śmiech gniewnego Słońca — —

Daleki głos Bohatera.

(Sam na sam byłem z troską zaklętego koła!
Myślałem, że rozniosą ją fale jeziorne —
śpi przestwór, w moje myśli cierpkie i upiorne
uderzył śmiech ironii — straszny! — Archanioła!)

Abbadon.

Słyszysz?!

Bohater głowę spuszcza.

Don Kichot do Bohatera.

— — — — po Nowe Słońce!

Bohater.

Idę — — dalej — — —

Abbadon.

Dokąd? Znalazłeś Boga?!

Bohater twardo.

Nie. Ale GO znajdę!

Idą: On i Don Kichot, a za nimi Śmieszność i Ironia.

Błazen.

Don Kichoty niechaj idą,
niech ich potem swinie zdepcą!
Ja do ciebie z moją biedą
Abbadonie! —

Abbadon.

— ? —

Błazen.

Krew mi chlepcą!
bo widzisz:

śpiewa: *człowieka błazen zabił w sobie,*
gdy policzkował ułud maskę:
z bioder cyrkówka drze przepaskę

i śmiechem straszy zmartych w grobie!
— oto cały skarb mojej duszy —

Tłum huczy.

Abbadon.

Cóż tam?

Błazen.

To moi widzowie. Poczciwy ziemski ludek.
Nowego Boga instalują —

Abbadon.

— ? —

Błazen.

Jeżeli instalują, — to znaczy: stalowego,
nazywa się „pan Rewolwer."

Tłum huczy.

Abbadon.

Dość Samo-ironii! Chciejcie, a będę
straszniejszym od Śmierci! Za mną!

Rezoner.

— Odchodzą.
Odeszli jak ci, co długiemi sploty
wiążą zostałych ciężkiemi okowy — —
bo ten, co w imię złego *zerwał piętno z głowy,*
duszę wyrwał — z odwieczną pieczątką Heloty —
Bez dusz, choć nie w kajdanach,
chwili niewolnicy!
zatęsknią znów po panach:
dzieci Nierządnicy!

Głos Abbadona.

Chwała tym, którym rozpacz wystarczy!

Człowiek.

Dusza moja! dusza kona w podłości, w szarym zaduchu MIASTA, naucz mnie rozpaczy, naucz mnie zemsty, naucz mnie zbrodni!

Głos Abbadona.

Co-ś ty za człowiek???

Człowiek.

Mieszczanin. Człowiek marnego gniewu i marnej cnoty. Ojcowie moi od dawien dawna służyli Duchowi *U-*Życia: *poza kresy ciała u nas się nie wychodzi.*

Bohater do Abbadona.

On twoim będzie, chowała go RODZINA! Imię ICH jest Legion. Nawet poetów swoich mają. — —

Poeta.

Niemoc mnie pęta — myśli moje krwawe!

Abbadon.

Nie będzie tak wielkiego Sądu,
by mógł osądzić myśli krwawe!

Poeta.

Szukałem prawdy, chociaż błędu!
— — i darmo-m trudził swoją nawę —

Abbadon.

Nie pojmowałeś prawdy, błędu!
A teraz dokąd?

Poeta.

Skieruję ją na twoje skały —

— ni rzecz to dobra, ani zdrożna,
bom zepsuł sobie żywot cały — —
— — — a jeśli zepsuć go nie można?

Bohater do Abbadona.

Słyszysz, jak wzniośle gadają!
— Własna teologia ich broni.

Teolog do Abbadona.

Oto szukamy się dziś w własnej próżni —
Gwiazdy nam zgasły, oniemiały dźwięki —
I z tylu blasków, które niegdyś lśniły
promienne, żywe — hen! na widnokręgu:
ostała się nam zdawkowa moneta,
ostały się nam tlejące popioły!! —
— — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — —
Nie odszukamy się w swej własnej jaźni — —
pojdziem, gdzie zechcesz — wszystko nam jednakie —
wyblakły barwy — nowych farb nie staje:
— Niech blakną, nikną w szarość — —
— — w nieskończoność — —

Abbadon.

Toście nie moi.

Oddalony głos Buddy.

— — Nieskończone dale BEZPAMIĘCI — —

Abbadon do Człowieka.

Czego wam potrzeba? Czego chcesz, duszo mieszczańska?

Echo Tłumu.

Pewności! pewności!

Człowiek.

Bo cóż szczęśniejszego nad to, co jest pewne?

Abbadon.

A więc cierpienie wasze jest pewnością!
A więc zawody wieczne — wasze szlaki!
Temi pójdźcie! — Tego nie odbiorą
wiecznie zazdrosne Sfinksy Przeznaczenia!
Któż się pokusi na cmentarne darnie?
Któż się pokusi na grobowców głazy?
— Grobowe będą waszych Szczęść *ołtarze,*
niech was upaja, co jesienią wionie —
Modlitwa wasza — samo-biczowanie —
Gromnicę palę na świętej biesiadzie —

Z tlejącą iskrą idźcie na otchłanie!!

Człowiek.

A gdy zagaśnie?

Archanioł Abbadon.

— — w niedalekich kresach
czekają jasne żary obłąkańcze —

SPOWIEDŹ.

Bohater.

Pustka naokół — — pustka we mnie — — —

Don Kichot.

— ? —

Bohater.

Wstyd?? wstyd?—Ale ty jesteś RYCERZ z DUCHA, ty, co na srebrnym koniu przez Wieczność nas prowadzisz, ty zrozum, że mi wśród piwnic i studzien — skrzydła zgniły!!

Na zwiędłym liściu moich pragnień rumieniec wstydu się pali —

Nie wstydź się, duszo moja! zerwij płaszcz i pokaż SFINKSOWI lśniące próchno — — obnaż ohydę twoją, niech promienne oko TAJNI spojrzy na ten grzyb MIERNEJ CNOTY i MIERNEGO GRZECHU, na ten grzyb, co ślimaczem ciałem,cuchnącą szmatą wżarł się w najskrytsze twe głębie i ciągnie, i pije, i chłepce ostatnie siły, ostatnie żary, ostatnie sny twoje!!

Oto już sił nie mam do konania — — —

Palącą ruiną wali się na mnie wszystko, com dotąd stworzył, lub stworzyć zamierzył — —

Walą się na mnie groby ZMARŁYCH i cmentarzyska współczesnych — —

Aż nagle rozpełzły się myśli moje szeroko, jak ból świata — i niemasz jednego zniszczenia, gdzieby nerwy moje nie dygotały w konaniu —

Kamienny, uśmiechniony Sfinks w siebie patrzy i nie czuje, jak mu wszechświat drży pod szponami — —

A potem — — spokój, bezmierny spokój ohydy —

— — — — — — — — — — — — —

Wybaw mię, NICOŚCI, wybacz mojemu NIEPOJĘCIU — — oto modlę się — —

Daleki Chór Schopenhauerystów.

Módl się — — i my się modlimy
do ciebie — o, Wszechnirwano!

— — A najpierw człowiek ŻYŁ:
daleki, daleki od Boga — — —
— — A potem człowiek SZUKAŁ:
słaby, słaby w pojęcie *— — —*
— — A potem człowiek CIERPIAŁ:
on chciał ŻYĆ, a nie był już DZIECKIEM —
— — I znowu człowiek CIERPIAŁ:
on SZUKAĆ zaczął w niepojęciu *— —*
— — — — — — — — — —
Wyłonieni na radość MAJI:
umrzemy, gardząc JEJ wdziękiem — —
Wyłonieni na pastwę MAJI:
umrzemy, gardząc JEJ męką —
On — Bóg Wiecznego Powrotu,
On — Bóg Wiecznego Wypływu,
z Nim się łączymy w Nirwanie — —

Chór Buddystów.

Nirwano! nirwano! nirwano!

Bohater.

— — — Nirwano — — — —

Don Kichot.

— — — —
— — — po Nowe Słońce?!!
Chyłasz głowę? przed Sobą umknąć chcesz w NIEBYCIE?
Przeklęci tacy — MALI gońce!
— Masz NOWE SŁOWO przynieść w ŻYCIE!
— — a czem nakarmisz tłum zgłodniały?
— — a czem podniesiesz krzew skarlały?
po Nowe Słońce!!

Bohater.

Ciężko mi — — —

Don Kichot.

Stwarzaj
przez NOWE HASŁO.

Bohater.

— ? —

Don Kichot.

Szczęście Golgoty!

Bohater.

Widzę — — Krwawa droga — i ON też? — też?
— — —

Chór Duchów.

— i ON też, bracie!

Chór Smutnych Duchów.

Na topieliskach jezior czarnych,
na obłąkanych życia szlakach —
cuchnące kwiaty śnią o ptakach,
co płyną z niebios w mgłach pożarnych —
— — — — — — — — — —

Nad ziemią biedną, nad splamioną,
wpośród oparów, mgieł roztoczy,
niepokalane dobre oczy
dla smutnych duchów zawsze płoną — —
— — — — — — — — — —



IV SFERA.

(W DUCHU.)

PRZYJŚCIE.

Pieśń Bohatera.

Czy nie widzisz, jak miecz mój stalowy
krwawą plamą na słońcu połyska?
Oto strój mój wojenny, godowy,
oto marzeń mych złota kołyska!
— — — — — — — —

W niej chowałem dzieciątko niedoli,
wychowałem na żale, rozpacze,
na me życie bojowe, tułacze,
na nienawiść do szczęścia - niewoli!
— — — — — — — — —

Bo nieszczęście jest moją swobodą —
Wieczna droga — herb mego nazwiska —

niech mnie losy w kraj Śmierci zawiodą:
oto marzeń mych złota kołyska.

Głos Daleki.

Synu mój! synu zbłąkany!
czemu lękasz się wiru otchłani?
czemu Nocy otwierasz ramiona?

Bohater.

Łódź ma tonie, o, Mistrzu kochany!
dusza z lęku, z niedoli już kona:
szczytne duchy *mrą — w prochu zdeptani!*

Głos Daleki.

O! człeku małej wiary, i czemu się boisz?!

Bohater.

Oto płynie z Ciebie MOC CUDU!
Oto lęk łasi mi się u stóp i kona —
Przypomnieniem mi jesteś — —
O! GWIAZDO przeczuwana z Wież Chaldejskich.
Przyjście JEJ nastąpiło we mnie, gdym CIĘ zgadł!
Dziś przyjmuję Cię pragnieniem pustej świątyni. —

Historya.

Jak się kołysze srebrna toń
i trupie niebo błyska!
Zginęła ludzkość — blada skroń
krwawiące płomię ciska:
tam się piętnował wieczny żal,
tam oddech siał zgryzoty — — —
Dziś ginie ludzkość wpośród fal,

a nad nią Niebios trupia dal!
Gdzie promyk Słońca złoty?

(Dekoracya.)

Przez chwiejne szyby wzburzonych wód,
przez grzbiety fal potworne,
przez niezmierzony życia brud,
przez rzeki łez upiorne,
przez trupich niebios siną dal,
przez nasz odwieczny głuchy żal
ON idzie —
— jak przerażeń wid
ON idzie, dziwny, niepojęty
w miłości swojej świętej!

Nieznany duszy ludzkiej ton!
Niesie życie *i* skon —

Mędrzec się zbudził ze sprośnych snów!
mózg ludzki krwią oblany
i skamieniały już — bez słów
spoglądał martwo, jak kurhany,
na NOWE ŻYCIE, nowy Cud i Wielkie Zmartwych-
spoglądał przerażony [Wstanie — —
tam, *gdzie MISTRZ* spodziewany
drogą Słońc przez kiru konanie
szedł — z Niebiańskiej strony —

Chór Wszechświata.

Chwała! chwała! chwała!

Głos.

„Ludzie małej wiary, i czemuż się boicie?!“

AVE CHRISTE!

Modlitwa.

— — — *Tysiącem ramion nie wesprą Go na tej drodze wstydu i łez, a On pod ciężkim krzyżem chyla się ku ziemi.*

Nie ciężki on krzyż dla drzewca swego, ale ciężki przez tę zdradę siną, co wylęgła się na piersi tłumu.

— *A od tych oczu idą kapłani smutku! gdzieżeśmy znali ich?* (szepce tłum.)

Kapłani smutku od pustych wydm dalekiego morza — —

kapłani smutku od biesiadnych sal, purpurą, złotem krytych — —

kapłani smutku od rybaczych chat, od opuszczonych siatek i więcierzy — — —

kapłani smutku od tych zimnych dusz, świątyń Stoickich bez życia i śmierci —

— *Kapłani smutku całują Jego Krzyż — i teraz idą od Jego oczu na* Tłum, *na ciała, chciwe widowisk i okrucieństwa — — ale tłum zląkł się tych drobnych cichych skrzydeł i zionął śmiechem rozpusty* —

— *A ON czytał serca ludzkie przed wiekami* —

— *a ON jest, aby spełniło się prawo* —

— ON jest dla ukojenia rozkoszy noża —
— ON jest Zwycięzcą Śmierci! —
— ON czary od ust Swych nie odtrąci!!

Pod ciężkim krzyżem chyla się ku ziemi.

Ave Christe!

Anioł.
Dyabeł stąpa za Nim i szepce —

Chór Aniołów.
Słuchajcie! Słuchajcie odpowiedzi Pana!!

Chrystus.
„Nie samym chlebem żyć będzie człowiek —“

Chór Ludu.
Duszę naszą, dzieciątko zmarłe, przynosim Tobie!
Pomóż naszemu niedowiarstwu!

Jezus.
— „TALITA KUMI!“

Uczeń.
Jakże mi Panie iść za Tobą?
Wyrzekłem się ojca i matki, wyrzekłem chwały świata —
Okryty wzgardą, okryty żałobą
Tobie ufam! zbyłem się przyjaciela i brata!
A jednak coś zostało! jedna myśl skrzydlata,
jeden szept cichy, łzy milczące — — —
pozwolisz, Panie? na dzień świąteczny skowam,
strunę tę w duszy pochowam

i w dzień świąteczny trącę — — —

Panie, grzech mój na mnie:
chciwy, chciwy jesteś!

Dam Ci tę piosnkę, dam Ci! Słyszałżeś ją kiedy?
tak śpiewa Ziemia:
O szafirowe moich nieb sklepienia!
o pozłociste siatki mojej drgania!
pelo rozwiewna z poblasków spojrzenia!
o szafirowe moich nieb sklepienia!
niewinnych natchnień i złego kochania!

Dam Ci ją! dam, bom jest twarde serce pokutnika, co nie przebaczy najmniejszej ułudzie!

Chrystus.

„Zaprawdę powiadam wam, żem przyniósł miecz, a nie pokój — ale kto wytrwa do końca — zbawion będzie."

(Introdukcya.)

Oto tłumione skargi ludzkie...

Bohater.

Panie! wybaw mnie od pająka *i od żądzy mojej,*
co jest krwawa i lubieżna,
niecierpliwa w chuci — czekająca,
błoto duszy dzikim żarem trąca,
gdy w przemocy drży gołąbka śnieżna!

Miereżkowskij.

Afrodyte!! Chrystus i Antychryst jedna osoba! dwa jak jeden — Tajemnica Androginy!

Niebo na dole — niebo na górze!
Zbaw mnie Panie od dwoistości myśli!!

Bohater.

Amen.

Dostojewskij.

Chryste! może wszystko będzie sprawiedliwie,
ale ja — міра Твоего не принимаю!

Bohater.

Wybacz jemu i mnie, Panie! —
Wybacz duszom bunt: czuł on wiele i miłował wielce —

Mickiewicz.

Bunt duszom ludzkim wybacz, Panie,
jeśli kochały za Miliony!

Głos Słowackiego.

Lucyferze! jam Go kochał swej duszy otchłanią!
Jam GO kochał aż do zniszczenia!!
Nie opuszczę Cię jednak w konaniu,
Nie opuszczę w przepaści MILCZENIA!

Chór Archaniołów.

„Pan nasz dobry“ — Zórz jasną oplotę
na te oczy zarzucił cierpiące —
Chorej duszy bezkresną tęsknotę
do SIĘ tuli! — Promienny, jak Słońce!! —

Chór Aniołów.

Słumione łkanie niedoli
wstrząsa dumne wargi słów mocarza.

Chrystus.

Dobrze jest u Mnie być w niewoli —

Słowacki.

Jedna myśl mnie, o Boże, przeraża!
Serce moje przy Tobie, a Dusza na otchłaniach Milczenia.
Długo jeszcze nie podasz dłoni Szatanowi — — —

Głos.

Raczej niech przeklnie i weźmie całowanie!
Ja zostanę do czasu. Ja Bóg Zachodowi!
I iam Cię kochał, ale jest COŚ nad nami…

SEN PRZED GOLGOTĄ.

Sen.

Bóg patrzy w jasne dale Swojego Istnienia —
człowiek zasnął. Sen ciężki Jego myśl przygniata:
„Ciężko, Ojcze! — Pić będę według Twojej Woli —
a może mnie ominie? —
— Bóg patrzy z Milczenia —
a kocham świat! ja umrę dla Zbawienia świata! —
— a może mnie ominie? — ta myśl dręczy, boli…

— Kto-ś?“ — „Judasz, Panie — jam z innego państwa.
pseudo-uczeń — stworzony dla męki i zdrady,
choć może równie dobry — czas nam, Synu Człeczy! —
— obaj wolni — i obaj — w otchłani poddaństwa —
Bóg kazał przed wiekami — *wstawaj, człeku blady!“*

„Jam przyszedł dla stępienia śmiercionośnych mieczy!“

Chór Aniołów do szatana.

Lęk twych oczu wielki, ostateczny,
a na ustach twoich śmiech niezmienny!
Przerażliwy — bólem nieskończenny
los twój, Władco piekieł wieczny! —
— — — — — — — — —
Na otchłanie śnieżnej Drogi Mlecznej
od JEJ płaszcza idzie blask promienny —

Lęk twój w oczach — wielki, ostateczny!
— a na wargach twoich śmiech niezmienny!
— — — — — — — — — — —
Na oplutych skałach twej Gehenny
drga zbłąkany ludzki wir serdeczny —
— — — — — — — — —
Wzrok — Archanioł — wbija obosieczny
w mózg twój, w uśmiech twój niezmienny,
w lęk twych oczu — wielki, ostateczny!

Judasz.

— Nie mogę być nad Mię! —

Sen.

„Dusza moja smęci śmiertelnie, i czemuż nie czuwacie? — Cóż to! krew u mych stóp i krople jej na mej szacie?“
„Panie, toć łzy Twoje...“
„Jak te drzewa smutno szumią — niegdyś tak fale Czerwonego Morza.......
— Ojcze! miłosierdzie Twoje jest bez granic, ale jak Ty chcesz! — Miecze weźcie ze sobą —
— Oto idą. Idą zbrojni gniewem, a strachem, ciekawość zwisa u ich oka, a wszelka broń na ramieniu — — —
Wszakże-m jest bezbronny i nie uciekam —
Oni idą. Kagańce drżą w ich ręku, jak błędne ogniki... i takie gwiezdne niebo — —
— szarańcza w krzach cyka jednotonnie — —
i takie gwiezdne niebo. —
Nie wiedzą oni, nie wiedzą....

Nie czyń tego, miecz schowaj! Nie jestem-ż Syn Boży? ale — aby spełniło się prawo — otom ja —“

Krasiński.

— — — „kocham Cię, Panie! za śmierć Twą więcej, niż za Zmartwychwstanie“ — — —

Szatan.

— — i cóż z tego — Galilee vicisti!?
Dwie tu siły; nie pójdziesz po przekątnej?

SEN PO GOLGOCIE.

Bohater.

Chrystus umiera. Całe oceany, hen z sennych dali
niewidzianych nigdy, wznoszą się we mnie — —
Oto wezbrana dusza moja czeka —
ocean wzniósł się w spieniony słup fali —
tchu we mnie niema!!
na Twym jęku zwisł, o Umęczony!
Jam — myślą *Twoją! — a gdy runie w ciemnie? —*

JEGO dłoń czułeś na mózgu Człowieka
i nie wiedziałeś, żem ja umęczony?
i nie wiedziałeś, żem wiele — — wiele razy
padał w pluszowe ramiona szatana? —
— Ja, wróg Twój wielki, bo pełen urazy,
żeś mnie plugawił, że tam u „trzech krzyży“
padałem zimny, jak głazy, wciąż niżej — —
i nie wiedziałeś, że dusza — zbrukana
tylekroć w Chwili — już się nie skrysztali? — —

Ostatnia myśl Twoja, o Chryste, mnie pali!
A Twa ostatnia konwulsyjna skarga

to moja dusza znękana, tułacza,
co u stóp Krzyża *bezsilnie się targa,*
która, że nie wie, *więc już nie rozpacza — — —*
— — — — — — — — — — — —

Aż oto nagle wiem, że-ś w Zmartwychwstaniu,
ale nie jesteś dalszym ciągiem Siebie:
dla mnie na zawsze zginąłeś w konaniu
i dziś mi obcym jesteś w Twojem Niebie!

Gdzie dusza moja?!

Oto szlak daleki — — —
Ot dzwon bez serca — — Ty, duchu bezładu,
pluszowem skrzydłem zapalasz tęsknoty — —
Tajnemi znaki okryty łeb gadu
wyjrzał na słońce, uśmiechnion na wieki — —

Gdzie dusza moja?!
Oto są dwie zbroje, niegdyś śnieżno-białe —
to nasze zbroje są, o Don-Kichocie!
Któż ci tak skalał twą lodową chwałę?!
— — — Nie rzucaj pereł przed świńskie kopyta —
Oto się Głupstwo przejeżdża we złocie,
w pysznej karocy, a tłum — jego świta — —
Leżałem z tobą, gdy cię tratowano,
i byłem mały, jako strach zajęczy —
przed Głupstwem gotów uchylić kolano
i gotów byłem zrzec się lotów z tęczy!

Znam tego ducha, co ciebie tratował!
Jak on nas deptał, jak on nas w gnój miotał!

jak potem ślinił rozłechtaną wargą!
i drwiąco patrzał, gdy w nas gniew dygotał,
i stał — bezmyślny przed gromową skargą! —

To głos tłumu — vox populi — duch tłumu —
wróg on Bogu i wróg on Szatanowi!

on to splugawił narodów ołtarze!
on w kłamstwo wierzy, on spodlenie sieje!
a gdy masz duszę, to zaprzeć się każe!
a gdy masz serce, toć pewno ośmieje!

duch tłumu!

Będziesz błaznował, wieszczu (!) z jego woli, —
dla jego chwalby pokalasz swą wiarę
i będziesz potem dumny ze swej doli —,
lecz trupa duszy poniesiesz za karę!!
i nie wytrzymasz żadnej samotności,
i nie wytrzymasz żadnego milczenia —:
Syzyfowego impetem kamienia
stoczysz się w otchłań grzechu i nicości — —
— — — — — — — — — —

Lecz czemuż płaczem, o Don-Kichocie?
Pan Nasz — Chrystus — zwyciężył tego ducha:
wzgardził cesarskich wrót darem!
Oto spełnił Ofiarę.
A w pluszowych lotach śpi ziemia głucha:
zasnęła w jęku,
a kto jej da wiary moc
na taką Noc?

w czyich zbudzi się ręku?

Na taką NOC, Chryste, czemuś nas opuścił!

Uczeń.

Pasterz zginął — — — —
Jak ja się wstydzę, wstydzę! żem z Nim chodził!
On słaby, zabit będzie, cześć im, silnym!
Cześć kapłanom!

Jaka to rozkosz być nikczemnym! Chodź, wszeteczna dziewko i rzymski żołdaku, przy kielichu będziemy śmiać się z mazgajstwa. Chodź, rozkoszna-bezwstydna, niech na twojem łonie zginie ta moja biała plamka — — ta biała plamka, co rodzi we mnie lęk i ku sobie nienawiść!

Kasprowicz.

A ty, bratku, graj wesoło! gach u twojej żony —
— ponoć przyjaciel twój?

Astarot.

A ON z krzyża da wam ślub! ha! — ha!

Uczeń.

Milcz, głupie sumienie — któż płacze? — ja
płaczę?! — — —
Mistrzu! rozproszyliśmy się jako owce!
O Chryste! strzeż mnie od niego!!

Szatan.

Nie lękaj się, marny, prawdziwy człowieku zwykłej miary! przez noc granatową, gwiezdną idę: Szatan-Człowiek, Syn Przeznaczenia, idę zdradą, ale drogi nasze różne są — — — —

Ablu! Musiałem Śmierć wprowadzić, bo tak się spodobało PANU, a kochałem ono niewinne jagnię!

— Pocałował mnie!! — —
— czy szmat ziemi się urwał? widziałem palący się bór
i zwierz tam wszystek ryczał —
— i jedna gałąź wystarczy — — —
— ach! złuda, złuda marna —

Bohater.

— i ja — z wami —

Szatan.

— Na duszy krzyż masz czerwony!

Ahaswer.

— Na duszy krzyż masz czerwony!

Bohater.

— Ale i ja z wami — słyszałem krzyk jeden.....

Chór Aniołów do Bohatera.

Biednyś, opętany! ON już Bóg w Zmartwychwstaniu!

Bohater.

Więc On, Swój Bóg śmiał się, gdy oglądał
Się w mrącym Człowieku?!

Po nocach słyszę ten krzyk — w niebiosa bije —
Widziałem warkocz gwiazd, potężną dłonią rwany — —
na każdej z gwiazd był świat — ginących jęk potężny — —
Widziałem bezkres oceanów krwi —
i w tej purpurze drży dziecko-człowiek,
białe jak śnieg — rączyny drobne kurczy,
na oczach czarne łzy — bolesne, ołowiane —
a nad niem ogromna szczęka — zębów wian —
i w szyjkę dziecka wpięte — wokół tylko krew —
— — — — — — — — — — —

Ahaswer.

— po nocach — Jego krzyk — —

Bohater.

— po nocach słyszę —

szeptem: *Bóg GO opuścił!*

Szatan.

A może... może — to ja!!! krzyczałem wtedy —

Bohater.

Co? Co!?

Szatan.

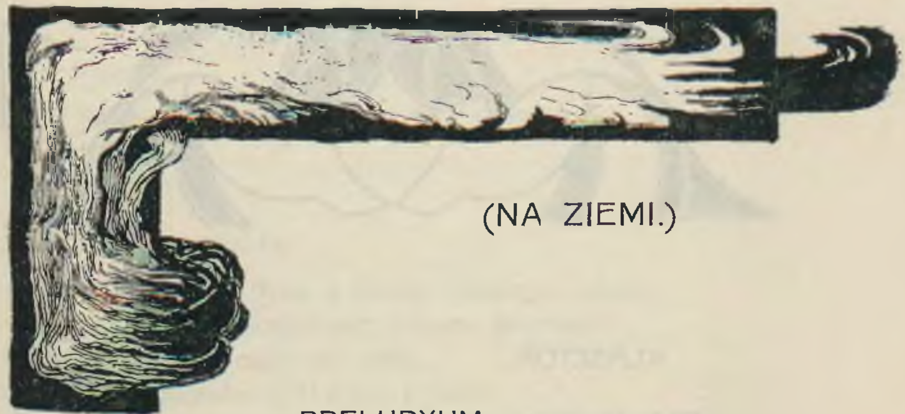
Nie! — łżę, bom jest ojciec wszelkiego kłamstwa — hahhaha!!

Bohater.

— Czegóż się śmiejesz!

Szatan.

— Bo to przyjęte — dla Szatana! hahhaha!



(NA ZIEMI.)

PRELUDYUM,

Głos.

Wierzajcie mi: otom ja zwyciężył świat!
Niech ZIEMIA świadczy!

Don Kichot do Bohatera.

Ziemia lilie rodzi: bądź kwiatem i ziemią!
Ostatni krzyk szatana pada ci na duszę,
ale światło, światło zwycięża! Dziś rówien
jesteś mi, synu, i dalej nie powiedzie cię
mój rumak! Nie pożądaj pychy „jedynie —
kwiatu,“ nie wypieraj się ziemi! — Jesteś
kwiatem i ziemią!
Ale i samą ziemią nie jesteś!

Bohater do siebie.

Słucham głosów PIEŚNI CHRZEŚCIAŃSKIEJ,
a każdy ton pali się we mnie i kona —
Słucham duszy swej w CHRYSTUSIE.

KLASZTOR.

Chór Mnichów.

Przytulone zbolałemi skrońmi
do żelaznej furtki rdzą okrytej,
próżno szemrzą zdeptanemi dłońmi,
gniewy ślą ku myśli w cisz owitej — —

Już rozpaczny dzwonek nie ogłusza,
już się furtka dawno nie otwiera — —
przed klasztornym murem coś umiera — —
skronie tuli — dzwonek dłońmi rusza — —

Nowicyant.

Ja z modlitwą wszedłem tu nieszporną,
aby czekać na jutrzejsze świty!
Trup pozostał z twarzą złą, upiorną —
skonał pewno — czaszką wniebowbity — —
Już nie wyjdę za klasztorne ściany!
Gdybym chciał? — Nie pojmą słów kryształu!
Noc za murem — — chichot ich pijany
kształt lubieżny wzniósł do ideału — —

Chór Mnichów.

— — już rozpaczny dzwonek nie ogłusza,
już się furtka dawno nie otwiera — —
przed klasztornym murem coś umiera — —
— — — — —

Przeor.

— — na niebiańskie szczyty — idzie dusza — —

Spowiedź Mnicha.

...W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.
— — — Aż dotąd krzyżowe, żelazne krawędzie
tuliły jedynie przeczące me usta,
choć nieraz padała myśl lotna i pusta,
choć nieraz na wargach śnię skrzydła łabędzie — —

— W szalonych poszeptów Djonyza zapędzie
modlitwa mnie trzyma, jak łoże Prokrusta,

lecz dotąd — krzyżowe żelazne krawędzie
tuliły jedynie przeczące me usta — —
— — — — — — — — —

Zdradziecka ma lutnia! Znam ton, który gędzie
północną godziną, gdy chata *ma pusta —*
— bez Boga — śni chciwie o nocnym obrzędzie,
lecz gwałtem ja wtedy przytulam swe usta,
gdzie ranią mnie ostre żelazne krawędzie — —
— — — — — — — — — — —

W nagrodę za męki, promienni anieli
na ścianach mi święte malują obrazy —
i dusza ma czysta, jak kryształ bez skazy,
śni w tajni o Nieba wieczystej Niedzieli — —
— — — — — — — — — —

— — — Dziś kryształ spękany — W barw krwawych kąpieli
ma dusza się pławi, oślizgła jak płazy — —
Już ognie zagasły — śpią martwo, jak głazy —
— — gdy biała dyablica spoczęła w mej celi!!

Gdy ona się spojrzy, w proch duszę spopieli!!
a jam jest bez woli, bez siły — — jak głazy —
upadam, gdzie z włosów jej złotej kądzieli
skry lecą — — a wokół kuszące obrazy — — —
— — — — — — — — — —
i już nie przychodzą promienni anieli — —
— — — — — — — — — —

Przeor Savonarola, a za nim Chór Mnichów.

Marzenie twoje? — niech Męka Golgoty!!
— — — — — — — — — —

Całusy tobie? — samobiczowanie!!

— — — — — — — —

Przekleństwo wdziękom piekielnej martwoty!!

— — — — — — — — — —

Tu wiara i żywot! — tam śmierć i konanie!!

— — — — — — — — — —

Idź na pokutę — z oblicza słońca!
Modły i posty dadzą hart duszy!
Niechaj-że myśl twa wierna i walcząca
wszelką pokusę gniewną dłonią skruszy!!

— — — — — — — — — —

Savonarola sam.

Zuchwałe ducha wielkie morze
upojeń śmiałych gra tysiące —
— — pożera samo siebie słońce,
ból ziemi płodzi złote zboże — —
Z granatów patrzą gwiazdy drżące
na upór, którym ludzi tworzę!

— — — — — — — —

— upojeń śmiałych gra tysiące
zuchwałe ducha wielkie morze —

— — — — — — — —

I cóż ztąd, że „wam" świecą zorze,
gdy widzę jeno zgliszcza tlące?!

Świat umęczony dam Ci, Boże!

upojeń śmiałych gra tysiące
zuchwałe ducha wielkie morze — —

NIEWIASTA.

Historya.

Gdy kładli BOGA w oną noc do grobu w krwi purpurze,
„Niewiasty“ jeno wielkich serc, kochając Boga w słońcu,
„Niewiasty“ jeno wielkich serc kochały Go i w chmurze,
kochały Jego nędze, ból, kochały Go przy końcu,
a może więcej, niżli w czas, gdy chadzał ON jak w słońcu —
— — i dla miłości ewangeliczny mąż, bogaty w skarby [złota,
nie rzucił ich, gdy zechciał Bóg! — Niewiasta, gdy [kochała:
dla Pana rzuca dawny świat i wnet z czeluści błota
powstaje święta, niegdyś tak kupcząca Pięknem ciała!
Za miłość, za ofiarność tę spłynęła na NIĄ chwała.

O Maryji Matce Bożej.

Dyamentowy czarny krzyż nad morską zwisł otchłanią —
— Szeregi płyną wiecznych fal i śliskie grzbiety ranią —
Dwie ręce tylko pną się wzwyż ze sinych wód otchłani!
Nieprzebolały ciężki żal i czarny dyament rani!
Dwie białe ręce wyszły z wód — żal płonie i wyrasta —
W ponurą ciemną, morską noc: krzyż tylko i niewiasta —
lecz oto Wniebowzięcia cud!!

Bohater.

A dziś w duszącem mieście:
zginęła bólu szczera moc! zginęła już w niewieście!

Dusza Młodzieńca.

Musi coś być, gdy wciąż się śni — —
musi coś być —
— śpiewa mi dusza moja młodzieńcza —
— — — już tyle wieków znikło w toni,
już przeszłość trupim mchem porasta,
gdy „nam“ się śniła siatka pajęcza,
gdy złudny obraz serce goni:
„słoneczna i czysta niewiasta“ — —
Próżno się serce broni — —
niepokonana siła tych złud,
niepokonana świetlna baśń — —
czy to kara, czy cud?
czy to mrok, czy jaśń?

Faun.

Prędka zgoda — krótka waśń —

Duch.

Precz!!
— krzyż będzie jako miecz! —

Dusza Młodzieńca.

Jest „szara przędza“ — tęskni w mroku —
Rwie się ta szmata
snem wniebowziętym,
jak mgła ulata:
brzeg lśni dyamentem,
a za „nią“ obłok: sen *mój w obłoku!*

Dalekie Głosy.

Sen *twój w obłoku* — —

Dusza Młodzieńca.

— — cicho się pali turkus nieba,
w błękitnych smugach drżą szafiry — —

Głosy Dziewic.

O, Panie! Słowa Twego, jak CHLEBA!
O, Panie! zdejm nam z duszy kiry!

Dusza Młodzieńca.

— — na tle błękitnych nieba pożarów
alabastrowe wschody się wiją,
śnieżne — a poręcz spiralna złota — —

Głosy Dziewic.

Maryjo! królowo „anielskich DARÓW“!

Dusza Młodzieńca.

A na poręczy wsparte — nić złota —
siostry zakonne w liliach się kryją,
lutnie trzymają — i PIEŚŃ-TĘSKNOTA,
i PIEŚŃ „TAJŃ DZIWU“ — w strop niebios biją —
pieśni się plotą w girlandy kwietne,
pieśni się plotą w żmije — czernieją,
nikną, a drugie znowu jaśnieją,
palą się, gasną, promienne, świetne — —

Głosy Dziewic.

Żądza się wzmaga, pierś nam rozszerza,
a przeciw czarom niemasz pancerza:
ginęłyśmy już siostry białe,
gdy Bóg wezwał nas w Swą chwałę — —
Lilie nam kryją piersi pancerzem,
krzyżowi dusze smutne zawierzym — —

— A królowa nasza — bez oręża —
Maryja Dziewica zgnębiła węża — —
Dziś, kiedy zdrowa znów — dusza chora,
siostry zakonne: czystość! pokora!

Maryja Królowa.

Pokora losom i litość światu — —
Tak dusza moja wielbi Pana — —

Chór Dziewic.

Zajaśniała Maryja Ukochana,
podobna do kwiatu!

Dusza Młodzieńca.

Jam takie kochał w marzeniu:
słoneczne, błękitne, dziewczęce!
i wasze lilie-ręce
śniłem na mem czole,
gdy pożarne niedole
płomieniem mnie żarły!!
Dziś czekam nędzarz w pragnieniu,
wyciągam ku wam ręce,
wpijam w was oczy sokole —
— Zgniotły mnie niedole:
kwiaty powiedły i zmarły — —

Chór Dziewic.

Gasisz w nas boskie tęsknoty,
Skalałeś nas jadem pragnienia!
Znikamy, jak promyk snu złoty,
znikamy — gra twego marzenia —

Bohater.

Zniknęły!!

Duch.

W wieczności się zejdziesz z marzeniem,
dziś zbrojny bądź krzyżem, cierpieniem —

Chór Daleki.

„A kto nie wyrzecze się Matki i Ojca
dla MNIE, ten niewart MNIE“ —
Zerwij twych marzeń oplotę!

Bohater.

Zdeptałem słoneczną tęsknotę!

Chór Daleki.

„We MNIE nasycisz tęsknotę,
bo Jam *jest DROGA i ŻYWOT i WIECZNY“ —*

Bohater.

Klękam, Panie, ale Gwiazda jakaś
zerwała się z Drogi Mlecznej?

Chrystus.

— — to bratnia twoja dusza, Synu! *módl się słonecznie:*
znajdziesz JĄ w SŁOŃCU!

Oddalony Głos Mierezkowskij'ego.

Dwa, jak jeden!

Głos Abbadony.

Błyskawica krwawa słońce *przecina —*
patrz, bohaterze — dymy i krew:
czy zupełnie dobrą była Nowina?
Błyskawica krwawa — Jego gniew!
A były tam i rozpacze — —

Bohater.

Chryste, modlę się, ale co to?

Abbadona.

Błyskawicy pytaj!

Błyskawica.

Eloi! Eloi! lama sabahtani!

Bohater.

Boże? Boże?

Abbadona.

Jehowy gniew święty:
zetrze ON pokoleń pokolenia!

Bohater.

Chryste, ty stoisz wśród milczenia!!

(Dekoracya.)

Na tle jodowej wschodu barwy,
odziany w lśniące kiru larwy,
z krążkiem ognistym na czole,
z lilią w sercu, z krzyżem jak ziemskie niedole,
spływa on, „ciemny,“ chociaż święty,
kochany uczeń Chrystusa, litością ziemską nietknięty!

Głos.

„Dzwon mój huczy, jak niedola,
na szczęście ludzkie spada:
małym *hańba!* ziemskim *biada!“*

Chór Duchów.

— on, Savonarola!

Bohater z lękiem.

Na jego czole jasne zorze —

Savonarola.

Świat umęczony dam Ci, Boże!

MIĘDZY-AKT PRZEJŚCIA W SFERĘ SŁOWA.

Bohater.

Gdym tak odszedł od SIEBIE, stwarzając: byłem tylko artystą!

Przez tysiączne kotary mroku przeszedłem, żadnej nie mając w sobie, bo oczy moje obłąkały się plamą światła, które biło z cierniowej korony.

A gdy Ciebie tracę, o Chryste: twarz Sfinksa chychocze w pożarnej ironii!!

Oto wśród ciemnej chwili twarz krwawa, myśląca, i twój ciepły, wilgny uścisk dłoni — — — Judaszu!!

Wyrzekłem się dziś *UCZUĆ-Tęczy*, w *MYŚL* białą się wykrysztalę!

Oto—jak ludzkość—niegdyś snem wybiegłem w chrystyanizm! — Dziś do sceptycznie-wesołych ołtarzy się kurczę — —

Przez UCZCIWOŚĆ MYŚLI, przez WDZIĘCZNOŚĆ *SŁOWU*, smutny — potrzaskałem światy naokół i znużony ku ŹRÓDŁU kroczę — — A może udaję znużonego, aby kryształny MYT ŹRÓDŁA złapać na gorącym uczynku *cudowności?!*

Zbladła mi Golgota, zmętniała i łzą z dali na mnie spoziera —

Niepojęty Bóg MÓJ gorzko śmieje się, patrząc, jak SIEBIE chwytam i schwytać nie mogę!

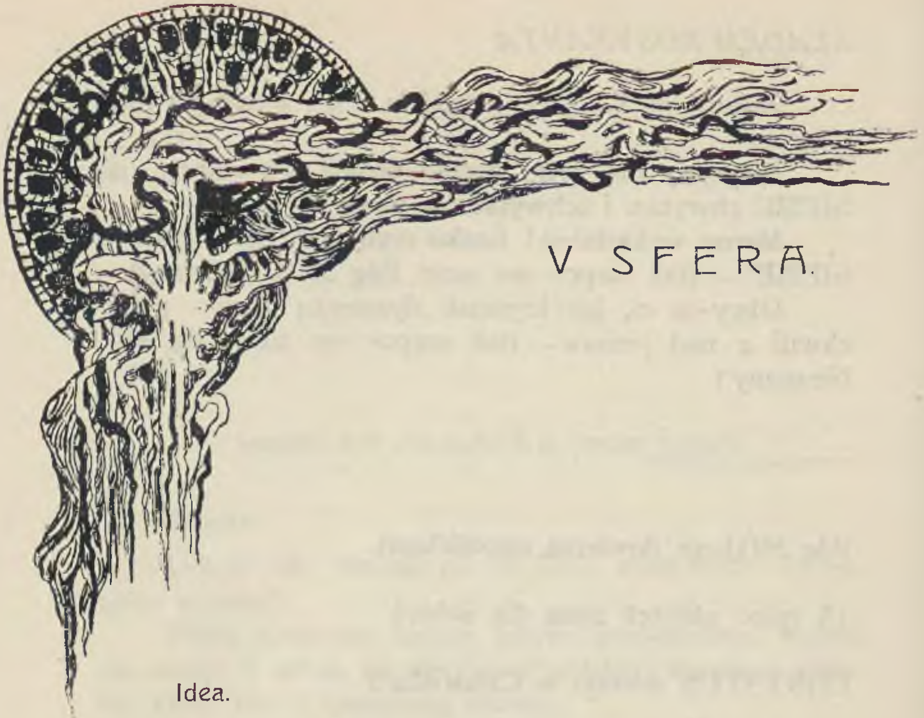
Marny wykształcie! bańko mydlana! bądź godnym SIEBIE! — (tak szepce we mnie Bóg MÓJ Nieznany) —

Obcy-m ci, jak kryształ dyamentu obcy — pyłom chwili z nad jeziora — (tak szepce we mnie Bóg MÓJ Nieznany.)

Bóg MÓJ nie dowierza człowiekowi.

JA tylko uśmiech mam dla siebie!

CHRYSTUS wierzył w Człowieka!!



V SFERA.

Idea.

Ewangelia ludzkości — KSIĘGA —
SŁOWO — potęga!
SŁOWO — pierwszą przyczyną; SŁOWEM jest ta Sfera!
TWORZENIE—POJĘCIEM!— Pojęcie nigdy nie umiera!
Największa wiara — WIECZNOŚĆ!
Największa idea — BOSKA KONIECZNOŚĆ —

Bohater.

Zkąd we mnie ta KSIĘGA? —
Bóg pisał przed wiekami!
Wszechświat, jak tron — Bóg współkróluje z Twórcami!
panują oni i w otchłani, lecz błogosławieni, którzy w lśnieniu!
—BOSKA KONIECZNOŚĆ króluje w MILCZENIU —
ONA jest Prawdą, szukaną przez Piłata,
ONA jest Zwycięstwem Krzyża i upadkiem świata,

ONA uświęca szczytne zbrodnie,
W ręce Szatana daje pochodnie,
krzewi się w Nocy, krzewi w Lazurze — —

„Niebo na dole, niebo na górze“ — —

Ale JEJ „sprawiedliwość“ jest snem o NIEPOJĘTEM —

— Milczcie, ciasne mózgi!
Wy! co sądzić chcecie WIEKI i CZŁOWIEKA,
wy! co bogów przez epoki zmieniacie! —
kto was w płaszcze sędziowskie obleka?
kto wam szeptał? i KOGO wy znacie?
Jam czytał pierwsze strony tej KSIĘGI,
znam dłoń bezlitosną tej POTĘGI!
(która jest dla mnie SNEM o NIEPOJĘTEM —)

Głos Don Kichota.
„Jako wierzysz, tak ci się — stanie“ —

Bohater.
Zdawało mi się, że jedno czarne
(przez „zmarłych narzekanie“), a inne znów białe...
Dziś chcę! wierzyć w TO, co ma największą chwałę!
JASNE, WIECZNE — —
Ale gardzę tem, co marne!

Nałogowy Piłat.
A co jest marne?

Strażnicy Księgi do Bohatera.
Zmów modlitwę do światła!

Bohater modli się.
Kocham Cię, Światło — z Ducha i przez Ciało!
gdy, przepojony w mym każdym atomie,
drgam białą przędzą, padam w wir zawrotny,
albo gdy wielkiej myśli ludzkiej chwała

staje przede mną promienna widomie,
jak tajnych linij lśniący wid ulotny — —
— — — — — — — — — —
Kocham Cię, Światło, w majaczenia smudze,
w tęczowym jęku rozpławionej stali,
w bólach porodu przy pierwszym prajonie:
oto bóg-światło ogląda się w strudze — —
oto bóg-światło złotem łany chwali — —
oto bóg-światło — w piorunów koronie!
— — — — — — — — —
Kocham Cię więcej na tle Nocy Tłumu,
o Jasny Duchu! któryś rówien BOGU.
— Pierwsza przyczyna niech będzie pojęta —
Kocham Cię, Chryste, w pomrokach rozumu,
Tyś przy nich — Słońce przy świecy w trójnogu!
W bezmiarze światła Twej nauki świętej
zoczyłem Jasną Obcość mojej jaźni
i kryształnianą pewność — upojon wiary szałem!
W Twej krwi ziemia czerni się wyraźniej:
żegnam ją, choć kocham — JA, który się stałem —
— — — — — — — — — — — —
Dość modłów. Droga moja czeka uśmiechnięta —

Chór Wieków.

Pierwsza Przyczyna niech będzie pojęta!

Strażnicy Księgi.

Oto prze-święty przybytek KSIĘGI,
sam wejdziesz w SEN o NIEPOJĘTEM,
odbieramy ci oręże i symbole. — —

Chór Duchów.

— odebrano mu symbole —

Czytelnik.

Niegdyś (widziałem go) miał ranę na czole,
ranę czarną, krwią zapiekłą,

a jedna ziemska dziewica błagała Pana Boga,
by go minęło piekło,
bo ciężką była jego życia droga — —

Chór Duchów.

Teraz on większy nad siebie,
nad to, co jest w nim ze ziemi —
Rana się w gwiazdę zamienia
— — i stoi tak — głową w niebie!
CZŁOWIEK WSZECH-POJĘCIA
(znaczon chrzestem cierpienia) —

Strażnicy Księgi.

My, KSIĘGI strażnicy, wszelkie tego świata WIESZCZE,
żegnamy cię u tych progów —
przypomnieniem wrogich bogów,
duchów zgrzytem, co trwa jeszcze!
Walcz z rozumu twego odmętem — —

Chór Duchów.

— — zeszedł w SEN O NIEPOJĘTEM —



Jan Rundbaken.



O WIERSZACH. DYALOG.

GABRYEL. Położyłem ci tu na oknie tom poezyj.

KLEMENS. Keats?

GABRYEL. Nie, to niemieckie poezye. Układ taki, że tworzą całość. Zatytułowane „Rok duszy“ [1]). Oto jesień. Zaczyna się jesienią.

Już przy zamkniętych nie roją się kwiatach
Łuszczaste, złoto-szmaragdowe żuki,
Płyniem, wielkiemi okrążając łuki
Kępy w listowia bronzach i szkarłatach.

---

[1]) *Das Jahr der Seele*, Gedichte von Stefan George. (Przyp. tłóm.).

KLEMENS. Tak, to jesień. Lecz czytaj w całości lub nie czytaj wcale.

GABRYEL. Chciałbyś posłuchać?

Park, mówisz, zamarł? Patrz, obłoków cień
Jaśnią błękitnej prześwieca pogody,
Promienny uśmiech oddalonych lśnień
Ubarwia ścieżki i rozwidnia wody.

Z szarych bukszpanów, z złotych brzozy skrzeń
Wić będziem wieniec: ciepły dzisiaj dzień,
Niecałkiem zwiędłe kwiecie późnych róż
Zerwij, ucałuj i pospołu złóż.

Gasnące astry, czerwień, co się tli
Na winnej łozie, ostatek zieleni
Spleć lekko w wieniec, a końca jesieni
Bladawą wizyę razem stworzą ci.

KLEMENS. To piękne. Tchnie jesienią. Acz śmiało brzmi powiedzenie: „obłoków cień jaśnią błękitnej prześwieca pogody,“ gdyż te zatoki budzącego tęsknotę, letniego błękitu ukazują się między obłokami. Co prawda, jaśń prześwieca tylko na skrajach, gdzie obłok staje się już niemal cieniem. Poza tem na zaciągniętych, posępnych rozłogach jesiennego nieba nie widać jej nigdzie. Ten „obłoków cień“ podobałby się Goethemu. A „błękitna pogoda“ jest bez skazy. To piękne. Tak, to jesień.

GABRYEL. Chcesz-li więcej jesieni?

Z wrót, w zardzewiałe dzierzganych lilije,
Pierzchł na trawniki ptactwa rój skrzydlaty,
A inne ziębnie na słupach i pije
Deszczową wodę z pustych waz na kwiaty.

Czy jeszcze?

Szukamy ławek niezakrytych cieniem — —
Potem się długiem, pogodnem jaśnieniem.
Jesteśmy wdzięczni, gdy się w drzewach zerwie
I spłynie na nas promieni ulewa,
Lub zasłuchani patrzym, kiedy w przerwie
Żrzałe owoce opadają z drzewa.

KLEMENS. Proszę cię: czytaj w całości, lub nie czytaj wcale.

GABRYEL. Wolałbyś zimę? A może lato? Błędność tęsknot letnich? Niepokoje letnie? Letnie poranki? Wieczór letni?

Wzgórze, gdzie stoim, już się nurza w mroku,
Zaś tamto jeszcze w świetle dziennem lśni,
Księżyc w rozwiewnym poświaty otoku
Zrazu się jeno białą chmurką mgli.

Bledziej majaczy smuga dróg daleka;
— Powiedz, wędrowcze, co szmer znaczy ten:
Czy to z gór woda niewidzialnie ścieka,
Czy szczebiot ptaka, co zapada w sen?

KLEMENS.

Księżyc w rozwiewnym poświaty otoku
Zrazu się jeno białą chmurką mgli...

Widzę krajobraz mego dzieciństwa. Piękna to musi być książka, ten „Rok." Właściwie dlaczego: „Rok duszy?" Lubię niewyszukane tytuły.

GABRYEL. Ja także, i dlatego ten tak bardzo mi się podoba. Jest tu bowiem jesień i więcej niż jesień. Jest zima i więcej niż zima. Te pory roku, te krajobrazy są jeno wyobrazicielami innych.

Czyż uczucia, półuczucia, wszystkie najtajniejsze i najgłębsze stany naszej wnętrznej istoty nie kojarzą się w szczególniejszy sposób z tym lub owym krajobrazem,

z tą lub ową porą roku, z jakąś właściwością powietrza, z jakiemś tchnieniem? Pewien ruch przy zeskakiwaniu z wysokiego pojazdu; pewna duszna bezgwiezdna noc letnia; wilgotne wyziewy głazów w sieni pewnego domu; lodowate uczucie, jakiem cię przejmuje tryskający na twe dłonie strumień źródlanej wody: od kilku tysięcy takich ziemskich rzeczy zależy całe twe wnętrzne mienie, wszystkie twe wzloty, wszystkie tęsknice, wszystkie upojenia. I nietylko są one w zależności: najżywotniejszemi korzeniami swemi zrosły się z niemi tak mocno, iż — gdybyś je oddzielił od tej podstawy nożem, zbiegłyby się w twych ręku i obróciły w niwecz. Chcąc siebie znaleść, nie należy zstępować w swe wnętrze: poza sobą szukajmy siebie, poza sobą. Gdyby niemateryalna tęcza rozpięta jest dusza nasza nad staczającym się nieustannie bytem. Nie posiadamy swej istności: z zewnątrz zawiewa nas ona, pierzcha od nas na długo i znów powraca w tchnieniu. Nasza-ć to i s t n o ś ć. Słowo jest taką przenośnią. Powracają wzruszenia, które już kiedyś tu się gnieździły. Lecz czy to istotnie one? A może to raczej jeno ich potomstwo, które niejasna nostalgia przywiodła tu z powrotem? Słowem, coś wraca. I coś spotyka się w nas z czemś innem. Jesteśmy tylko gołębnikiem.

KLEMENS. To dziwna, że ten tok myśli naprowadza na takie wnioski. Doszedłem do nich inną, całkiem inną drogą: trudno nie powątpiewać, iż natura ludzka zawiera coś istotnego. Strach zastanawiać się nad potęgą zewnętrzności: musi być rzeczą nieskończenie trudną pisać dramat i nieskończenie bolesną sądzić mordercę.

GABRYEL. Za to jakże przedziwnie ten ustrój naszego bytu sprzyja poezyi: oto, zamiast w cieśni naszego serca, wolno jej przebywać w niezmierzonej, niewyczerpanej wszechprzyrodzie. Wolno jej, jak Arielowi, obrać sobie leże na wzgórzach heroicznych opromienionych pur-

purą obłoków i w drżących wierzchołkach drzew wić sobie gniazda; może zdać się na wolę rozkosznych powiewów nocnych lub rozwiać się w pasmo mgieł, w wilgotny oddech jaskini, w jarzące się światło jakiejś gwiazdy. A ze wszystkich swych przemian i przygód, ze wszystkich ogrójców i bezdeni—li drżące tchnienie ludzkiego uczucia przyniesie ona z powrotem. Wzbij ją, na podobieństwo Ariela nie potrzebującą snu, wysoko nad głuchą snem opiłą ziemię, hen, gdzie na jasnem niebie jedyna gwiazda, świętą straż dzierżąca, czujna i wierna, ognie swe roznieca, zawsze na jednem i tem samem miejscu, ponad drgającą światłem otchłanią na zachodzie, co po przejściu słońca wciąż łuną mży jeszcze: z widziadlanego pobliża, z jakiejś wyżyny, której żaden orzeł kręgami swego nie dosięże lotu, pozwól jej poić się tem widowiskiem — a gdy, słaniając się, znów do ciebie wróci, ogromnem ujrzysz ją obarczoną, ale ludzkiem uczuciem. Gdyż lot jej nie ma kresu, ale ograniczoną jest w swej istocie: jakżeby z którejkolwiek bezdni światów mogła przynieść z powrotem coś innego jak uczucia ludzkie, skoro sama jest mową ludzką!

KLEMENS. Jednakże poezya niezupełnie jest mową. Jest snadź mową wzmożoną. Pełno w niej obrazów i symbolów. Podstawia jedną rzecz za drugą.

GABRYEL. Co za szkaradna myśl! Czy mówisz to poważnie? Poezya nigdy nie podstawia jednej rzeczy za drugą, gdyż właśnie ona dąży gorączkowo do tego, by dawać rzecz samą, z całkiem inną energią aniżeli tępa mowa potoczna, z całkiem inną mocą czarodziejską niż niedołężna terminologia naukowa. Gdy poezya coś czyni, to tak jest: ze wszystkich tworów świata i marzenia wypija ona to, co dla niej najznamienniejsze i najistotniejsze, na podobieństwo owych błędnych ogników z baśni, które zewsząd wyławiają złoto. A czyni to z tego samego po-

wodu: gdyż żywi się rdzeniem rzeczy, gdyż zgasłaby marnie, gdyby tej złotej karmi nie chłonęła ze wszystkich rozpadlin i szczelin.

KLEMENS. Zatem niema porównań? Niema symbolów?

GABRYEL. Owszem, nic niema prócz nich, nic zgoła. Lecz zdaje mi się, że cię nudzę, mówmy o czem innem. Czy nie chciałbyś przejść się? Jak chcesz. Oto jeszcze piękny wiersz z „Lata."

Pomnisz ty jeszcze piękny obraz tego,
Co zrywał róże z nad przepaści wrót
I zapominał, że godziny biegą,
Pijąc w przelocie z kwietnej czary miód?

Gdy zaś daleką znużył się pogonią
Złotych motyli na rozłogach niw,
Siadywał w parku nad sadzawki tonią
W głębokiej tajni zasłuchany dziw.

A od wysepki, gdzie w głazów koronie
Szemrze kaskada, na mchu znacząc ślad,
Nadpływał łabędź i w dziecięce dłonie,
W pieściwe, szyję smukłą kładł.

KLEMENS. Tak, to piękne. Czarodziejskie koło dzieciństwa, w czystem głębokiem zwierciedle nieukojonej tęsknoty odbite. I co za czystość! Wyraża bezgraniczny stan z taką prostotą!

GABRYEL. Czynią to wszystkie wiersze, przynajmniej wszystkie dobre. Wszystkie wyrażają jakiś stan duszy. Na tem polega ich prawo bytu. Wszystko inne muszą pozostawić innym formom: dramatowi, powieści. Jeno te zdolne są tworzyć sytuacye. Jeno te mogą ukazać grę uczuć.

KLEMENS. Miałem na myśli, iż wiersz ten wyraża

pewien stan najzupełniej poprostu. Nie posługuje się wcale symbolem. Przypominam sobie inny, który pierwej lubiłeś. Była w nim mowa o dwóch łabędziach. Nie był-że to wiersz Hebbla?

GABRYEL. Tak jest, Hebbla. Oto on:

Na ciemnej topieli
Lśnią w krasie swej bieli
Dwa błędne łabędzie, krążące śród fal:
Mgła tonie powleka,
Co w wichrze drżą zlekka,
W posępne tumany zasnuwa się dal.

I zrazu się stara
Unikać ta para
Tęskniących łabędzi, lecz próżny ich trud,
Daremna męczarnia,
Już szał je ogarnia:
Niech mgła je spowije, uniesie pęd wód!

Namiętnej pieszczoty
Nie przerwą wód grzmoty;
Złączyły odmęty biel dwojga ich łon.
Acz srozy się fala,
Je miłość zespala
I rozkosz upaja, nie trwoży ich zgon.

Żądz gasną płomienie,
Owłada znużenie — —
Wtem dzika odmętu rozdziela je moc:
Już nigdy ich chyży
Prąd fali nie zbliży,
Przeminął dzień jasny, zamierzcha wkrąg noc.

Mój drogi, ten wiersz wyraża także pewien stan i nic ponadto, głęboki stan duszy, pełny tęsknej błogości, smętnego pełny porywu.

KLEMENS. A te łabędzie? Toć są symbolem? Nie oznaczająż —

GABRYEL. Pozwól, że ci przerwę. Tak jest, oznaczają, lecz nie mów, co: wszystko, cobyś powiedział, byłoby niesłusznem. Nie oznaczają tu nic innego, prócz siebie samych: łabędzi. Łabędzi jednakże, widzianych oczyma poezyi, która każdą rzecz za każdym razem widzi po raz pierwszy — i otacza ją wszystkiemi cudami jej istnienia: zatem te łabędzie majestatem ich królewskich lotów; głuchą samotnością ich promiennych białych ciał, gdy pełne smętku i wzgardy na czarnych unoszą się wodach; przecudną baśnią ich zgonu... Dla jej oczu są te zwierzęta istnemi hieroglifami, żywemi tajemniczemi głoskami, któremi niewysłowione rzeczy wypisała na świecie ręka boża. Zaiste, szczęśliwym jest poeta, że i jemu wolno włączyć te boskie głoski do swego pisma —

KLEMENS. A jednak, jak mi się zdaje, mówiłeś, że poezya nie podstawia nigdy jednej rzeczy za drugą.

GABRYEL. Nie czyni tego nigdy. Gdyby to czyniła, należałoby ją zdeptać jak brzydki ognik błędny. Bo i jakież miałaby wówczas zadanie w stosunku do mowy potocznej? Szerzyć zamęt? Żywe drzewo papierowem obwieszać kwieciem?

KLEMENS. A te łabędzie? a wszystkie inne twe głoski?

GABRYEL. Są głoskami, których mowa rozwiązać nie zdoła. Rozumiesz mnie? Ów park jesienny, owe nocą osnute łabędzie — niema takich słów na wyrażenie myśli czy na wyrażenie uczuć, w których dusza tych, tych właśnie wzruszeń, co ją tutaj swym wyzwalają obrazem, rozpętaćby się mogła. O, jakże chętnie zgodziłbym się z tobą na słowo „symbol,“ lecz spospolitowano je do tego stopnia, że przejmuje mnie wstrętem! O takich rzeczach godziłoby się mówić z dziećmi, ludźmi pobożnymi

lub poetami. Dla dziecka wszystko jest symbolem, dla człowieka pobożnego jest on jedyną rzeczywistością, a poeta niezdolen jest widzieć nic innego.

KLEMENS. Odbiegasz od przedmiotu: — symbole wiary? Mówiliśmy o wierszach.

GABRYEL. Mówię o nich wciąż jeszcze. Lecz chciałbym oczyścić z gliny słowo poczęte z najgłębszego ducha mowy. Wiesz ty, co to symbol?.. Czy mógłbyś wyobrazić sobie, jak powstała ofiara? Zdaje mi się, że mówiliśmy już o tem. Mam na myśli ofiarę krwawą, złożone w ofierze życie i krew wołu, barana lub gołębia. Jak mogła zrodzić się myśl, by w ten sposób przebłagiwać zagniewane bogi? By coś podobnego pomyśleć, przedziwnej trzeba zmysłowości, omroczonej, pijanej życiem orficznej zmysłowości. Zda mi się, iż widzę pierwszego człowieka, który czynił ofiarę. Czuł on, że bogowie go nienawidzą: że zalewami siklawic i usypiskami górskiemi pustoszą mu niwę; że przeraźliwą ciszą leśną radziby skruszyć jego serce; lub zdawało mu się, że nocą spływa ku niemu z wichrem dusza nieboszczyka, siada na jego piersi, krwi jego pożąda. Więc, w podwójnej ciemności swej niskiej chaty i swej trwogi serdecznej, ujął krzywy ostry nóż i był gotów wytoczyć krew z własnego gardła, byle ucieszyć straszliwego Niewidzialnego. Wtem dłoń jego, dłoń człowieka dzikiego, pijanego lękiem i bliskością śmierci, wpiła się raz jeszcze nawpół nieświadomie w wełniste ciepłe runo barana. — I to zwierzę, to w mrokach oddychające, tętniące ciepłem krwi, tak mu bliskie, tak pokrewne życie — — naraz zagłębił się nóż w krtani zwierzęcia, a ciepła krew spłynęła po jego runie, zbroczyła piersi i ramiona człowieka: i uwierzył snadź na chwilę, że to jego własna krew; gdy jego okrzyk upojonego tryumfu zlał się z dogorywającem rzężeniem zwierzęcia, rozkosz wzmożonego istnienia musiała mu się wydawać

pierwszą drgawką śmiertelną: musiał umrzeć na chwilę w zwierzęciu, gdyż jeno w ten sposób mogło zginąć zwierzę za niego. I stało się to wielkiem misteryum, wielką tajemniczą prawdą, że zwierzę mogło zginąć za niego. Odtąd ginęło ono symboliczną śmiercią ofiarną. Jednakże wszystko polegało na tem, że i on umarł na chwilę w zwierzęciu. Iż na jedno mgnienie byt jego w cudzym rozpłynął się bycie. — Stanowi to rdzeń wszelkiej poezyi, dziwnie widoczny w rzeczach wielkich: cóż bowiem jaśniejszego, nad to, że czucie me roztapia się w Hamlecie, dopóki Hamlet hypnotyzuje mnie ze sceny? Lecz niemniej widoczny jest on w rzeczach małych: czyliż na jedno błyskawiczne mgnienie myśli nie przyoblekam się równie dobrze w upierzenie owych łabędzi, jak w skórę Hamleta? Ale trzeba w to istotnie wierzyć, wierzyć, że istotnie tak jest! Ta magia jest tak straszliwie blisko: jeno dlatego tak trudno ją poznać. Prócz tego oczarowania nie ma przyroda żadnego innego środka, by nas ująć, pociągnąć ku sobie. Jest ona wszechpojęciem ujarzmiających nas symbolów. Jest tem, czem jest ciało nasze, zaś nasze ciało jest tem, czem ona jest. Dlatego to symbol stanowi żywioł poezyi, i dla tego poezya nie podstawia nigdy jednej rzeczy za drugą: wygłasza słowa dla nich samych, na tem polega jej czarodziejstwo. Czyni to gwoli magicznej sile, utajonej w słowach, a zdolnej wzruszać ciało nasze i nieustannie nas przemieniać.

KLEMENS. Nie zdaję sobie jasno sprawy, do czego zmierzał ów szczegół o człowieku, co przelał krew zwierzęcia zamiast swojej.

GABRYEL. Spełnił czyn symboliczny. Umarł w zwierzęciu, mój drogi, gdyż na jedną chwilę rozpłynął się w cudzem istnieniu i przez jedno mgnienie krew j e g o tryskała istotnie z gardzieli owego zwierzęcia.

KLEMENS. Powiadasz *istotnie*, Gabryelu?

PAUZA.

KLEMENS. Umarł w zwierzęciu. My zaś roztapiamy się w symbolach. Czy nie to masz na myśli?

GABRYEL. Tak jest, to. O ile posiadają moc, by nas oczarować.

KLEMENS. Zkąd czerpią tę siłę? W jaki sposób mógł on umrzeć w zwierzęciu?

GABRYEL. Ztąd, że między nami a światem niema żadnej różnicy.

KLEMENS. Coś dziwnego jest w tej myśli, coś niepokojącego.

GABRYEL. Przeciwnie, coś nieskończenie spokojnego. Jakże to słodko czuć, że odjęto nam cząstkę naszego ciężaru, chociażby jeno na mistyczny przeciąg jednego tchu! W ciele naszem drzemie głucho stłoczony wszechświat; i błogo jest jak najczęściej otrząsać się z tego straszliwego brzemienia.

KLEMENS. A jednak sądzę, iż istnieją snadź wiersze, których piękno nie dyszy tym rozpajającym czarem. Są wiersze Goethego, lekkie jak tchnienie i proste gdyby melodya Mozartowska. Bywają wiersze antyczne ni to ciemny liść winny pod błękit wieczornego nieba. Pełno ich w antologii. Znasz je lepiej ode mnie.

GABRYEL. Znam je. Ogrodnik Lamon ofiaruje Pryapowi najpiękniejsze owoce: w koszyk z łyka, wysłany pięknem ząbkowanem liściem, kładzie rozpęknięte jabłka granatu, których miąsz wilgotna, drżąca, purpurowa tysiące słodkich ziaren osłania; a na nie pomarszczone figi, i woniejące poziomkami winogrona o czerwonawym nalocie, i puszyste pigwy, i dojrzewające orzechy, co już swą zieloną rozsadzają łupinę, i soczyste ogórki; to wszyst-

ko składa na ołtarzu boga zamiast modlitwy za swe własne życie i za pomyślność drzew swoich. A czarodziejka Niko ofiaruje Kiprydzie ametystowe wrzeciono, osnute nićmi purpurowej wełny, zaklęte wrzeciono, którem mężczyzn niewoli z za morza i wywabia z komnat dziewczęta. Jakieś dziewczę stawia pomnik martwemu świerszczykowi, co przez dwa lata gościł w jej sypialni. Rybacy wyciągają ciężką sieć i znajdują w niej człowieka, którego pochłonęło morze, nawpół już zjedzonego przez ryby. I grzebią go wraz z rybami w miałkim piasku skalistego wybrzeża; iżby całkiem powrócił do ziemi, grzebią z nim ryby, co go nadgryzły, co żywiły się ciałem jego. Na ołtarzu Afrodyty złożono bujne grono winne w dziękczynieniu za słodycz łaskawie użyczonej nocy; i leży tam, nagie, samotne, zdane na wolę bożą, już nie rozpościera nad niem macierz swych miłosnych ramion, nie osłania już jego nagiego młodego ciała słodko woniejącem listowiem, pełnem miękkiego, tajemniczego cienia.

KLEMENS. A ci, co tłoczą wino! a ci, co kochają! Nie przytoczyłbyś czego doslownie?

GABRYEL. Ci, co tłoczą wino, są jako bogowie. Zda się im, jak gdyby sam Bachus brał udział w ich nocnej robocie. Jak gdyby, podwinąwszy długą szatę po za kolana, deptał wraz z nimi, nurzając stopy w czerwonym soku, co już wyziewy swemi upaja. Kąpią się i pląsają zarazem: a upojenie ich pląsu jest przyczyną, że kąpiel sięga im coraz wyżej i wyżej. Strumieniami leje się moszcz z kadzi; gdyby łódki unoszą się drewniane czerpaki na purpurowej cieczy. Wtem pochyla się piękna Rodanta nisko nad kadzią, i już ubroczył się len jej białej szaty, już lśnią jej piersi i biodra, i ociekają winem:

I wyżej wzdęła się pierś, nie było nikogo śród nas,
Coby nie uległ wam, Bachu i Afrodyto.

W mroku oparów, przy niepewnem świetle pochodni, śród krzyków, śród rozprysku posoki winogradowej, z purpurowej piany zrodziła się naraz Afrodyte: dźwignął się z kadzi Bachus, dziki gdyby miotająca się fala, zwilżył szatę, iż spłynęła ni to promienna nagość, i uczynił z dziewczyny boginię, której ciało spowija zachwyt i pożądanie.

KLEMENS. A ów słodki, bezwstydny? Ów, w którym zamieniają się na szaty i znowu silniejszym wiążą się uściskiem? A ów, w którym objęli się wzajemnie i wyzywają bogów, w którym wyciągają ku sobie z tęsknotą ramiona i daliby się ogarnąć siecią Hefaistosa, by ich tak zastali i pozazdrościli im bogowie i ludzie? Czyliż nie piękne są te wiersze, piękne i proste gdyby muszle o różowej wardze? Nie piękneż gdyby płytkie czary z onyksu i karneolu? Gdyby naczynie z wytłaczanej miedzi, napełnione po wręby czystą wodą? Gdyby most kamienny, co przez potok górski przerzuca się łukiem? Gdyby wygięte jarzmo orzących wołów? I czy nie lubił ich Goethe nade wszystko w świecie? A kiedy je znajdował, nie był-że szczęśliwy szczęściem wędrowca, co, schodząc po stromem zboczu górskiem, śród mchów i usypisk, w przybytku jaszczurek znajduje cudowny twór marmurowy, jasny szczęt posągu boga, kształtną rozkazującą rękę, lub promienny bark z węzłem szaty na ramieniu? Nie wzgardził-że odtąd tonami swej młodości i nie tchnął wszystkiego w tę fletnię Pana? Czyż okręt Odyseusza i zatoka kształtu liry, czyż kosz na owoce, wieniec, marmurowy brzeg studni, łoże, na którem wzdychał Tybull do ukochanej, zagrody i spichrze Wergilego i sielankowe wierzby Biona: czyliż wszystkie te wykończone twory, wszystkie te rzeczy, ukształtowane ręką bogów, gdyby wypukłorzeźba z pod młota Hefaistosa zdobiące kolistą, lśniącą tarcz ziemi, nie stały się odtąd ojczyzną

jego duszy? Azali nie czuł się bliżej spokrewnionym z plastykiem niż z mówcą? Nie sławił-że nade wszystko tego, co swą mistrzowską ręką wykonał naszyjnik Dyany efeskiej? Sięgnąć śmiało w Eufrat, ująć toń w garście: oto czem była dla niego twórczość. Nie szydził-że z rozwichrzonych? Wiecznie tęskniących? Tych, którym nic nie płuży, co nieustannie pragną pragnienia? Nie byłaż dlań przyroda wiekuistą kształcicielką? Powiedz, Gabryelu, wykończona myśl nie jest-że piękną? Czyż nie zdziesięciokrotnia w sobie blasku życia na podobieństwo pereł, co chłoną wilgotny połysk nagiej ręki i po dziesięćkroć go wypromieniają?

GABRYEL. Tak jest, myśl jest rzeczą piękną i masz najzupełniejszą słuszność, porównywając ją z klejnotem i perłą. Podobna jest klejnotowi i perle, co piękniejsze są od wszelkiego życia i rozkwitu, gdyż znajdują się już po nad życiem, śmiercią i rozkwitem. Dla dotkniętego ślepotą, młodego świata stanowi ona cud nad cudami. Czem jest ptak w przestworach dla żeglarza, co samotnie stoi na straży, wsparł się i w płaszcz otulił—a dokoła śmiertelna cisza zalega ciemne ołowiane morze i niewiadomo, czy to dzień czy noc; a nad szaremi, nagiemi ostrowami wiszą nieruchomo ławice obłoków, gdyby przed tysiącem lat utworzone wyspy napowietrzne; a reje i pokład powlekają się sinem, dymnem światłem, co spływa po nich i wsiąka w atmosferę; i nieznośnem jest nieme oczekiwanie w tym świecie głuchym, pozbawionym światła i cienia—otóż czem bywa wówczas lot cudownego morskiego ptaka, co zbliża się od wschodu, na swych rozwiniętych królewskich skrzydłach niosąc pierwsze łuny płomienistego dnia: tem jest myśl dla pierwotnego sennego świata. My wszakże bogatsi jesteśmy w myśli, niż nieskończone wybrzeże morskie w muszle. Nie potrzebujem nic więcej prócz tchnienia.

Karm' duszy naszej stanowi wiersz, od którego, ni to od powiewu, co wieczorem letnim muska świeżo skoszone sianożęcie, zalatuje nas równocześnie tchnienie życia i śmierci, przeczucie rozkwitu i groza rozkładu, jakieś *Dziś,* jakieś *Tu,* i razem zaświat, nieogarniony zaświat. Każdy doskonały wiersz jest przeczuciem i teraźniejszością, tęsknotą i wypełnieniem. Jest to ciało elfa przejrzyste jak powietrze; bezsenny goniec, nawskróś przeniknięty czarodziejskiem słowem, tajemniczym rozkazem gnany przez przestworza: w przełocie wypija on z obłoków, gwiazd, powiewów i szczytów najgłębsze ich istoty tchnienie, i czarodziejskie zaklęcie brzmi z ust jego wiernie a jednak bezładnie, gdyż przetkane jest tajemnicami obłoków, gwiazd, powiewów i szczytów. A Goethe? Czyny jego są różnorodne, jak czyny wędrownego boga. Podobny jest Heraklesowi, którego przygody obce są wzajem sobie, bowiem każda innym upowita jest nimbem i śród innego przebywa krajobrazu. Jego wiersze młodziencze są jeno tchnieniem. Każdy jest rozpętanym duchem okamgnienia, co wzbił się do zenitu, zawisł tam promienisty, chłonie całą niezamąconą błogość chwili i roztapiając się zanika w przezroczu. A poezye jego starości bywają niekiedy gdyby ciemne głębokie studnie, po których zwierciedle przesuwają się widziadła: nie spostrzega ich wzwyż zwrócone oko, nie dojrzy ich nikt prócz tego, co się pochylił nad głęboką ciemną wodą długiego żywota. Czy sądzisz istotnie, iż zawsze jeno wykończoną myślą pod jasne błyskał słońce, gdyby czarą z trzonkiem, toczoną w sardonyksie i chryzoprazie? Posłuchaj:

Jeno mędrcom mówcie o tem,
Gdyż szyderstwem tłum was zbywa.
Sławię w żywych tę tęsknotę,
Co ogniowej śmierci chciwa.

W noc miłosną, w której cieniu
Życie wziąłeś, życie-ś dawał,
Przy spokojnem świec jaśnieniu
Dziwnych uczuć wzbiera nawał.

Już cię ciemność nie okrywa,
Swoim mrokiem nie osłania,
Nowa żądza cię porywa
Szczytniejszego zapładniania.

Żadna oddal cię nie trwoży,
Czar cię wabi, żenie czar,
Szukasz światła coraz skorzej
I ćmą lecisz w jego żar.

Umrzej i się odródź znów!
Smętnym gościem będziesz
Tu na ziemi, gdy tych słów
Treści nie posiędziesz.

Czy słyszysz ten dźwięk, przez zaklętego nocnego ptaka gdyby wśpiewany do pokoju, w którym ktoś kona? Powiadają, iż napisał go w noc zgonu Krystyny Vulpius. Rzeczywiste zdarzenie duszy, jakież słowa zdołałyby je wyrazić, jak nie zaczarowane! Przychodzi chwila i z tysiąca podobnych sobie wyciska soki, wdziera się do jaskini przeszłości, i z tysięcy ciemnych odrętwiałych chwil, co się na jej powstanie złożyły, wytryska całe ich światło: czego nie było tu nigdy, co się nie działo nigdy, oto jest teraz, oto dzieje się teraz, jest teraźniejszością, więcej niż teraźniejszością; co nigdy nie znajdowało się razem, jest teraz razem, jest teraz pospołu, stapia w jedną całość żar, blask i życie. Krajobrazy duszy są przedziwniejsze od krajobrazów ugwiażdżonego nieba: nietylko jej drogi mleczne usiane są tysiącami gwiazd, lecz także otchłanne jej cienie, mroki jej są tysiąckrotnem życiem, życiem o takiej zwartości, iż postradało swe światło, stłu-

miło je własną swą pełnią. Te bezdnie, w których życie pochłania samo siebie, może jedno mgnienie rozświetlić, rozpętać, drogi mleczne z nich uczynić. Zaś mgnienia te są narodzinami wierszy-arcydzieł, a możliwość tych arcydzieł jest równie bezgraniczną, jak możliwość chwil takich. Jak mało ich jednak, mój drogi, jak bardzo mało. Lecz, iż w ogóle powstają, nie jest-że to omal cudem? Iż istnieją zestawienia słów, z których, gdyby skry ze skrzesanego ciemnego kamienia, tryskają krajobrazy duszy, niezmierzone jak gwiaździste niebo, krajobrazy rozpostarte w przestrzeni i czasie, co rozbudzają w nas zmysł nad zmysły, abyśmy mogli poić się ich widokiem! A jednak takie wiersze powstają...

PRZEŁOŻYŁ
Stanisław Wyrzykowski. Hugo von Hofmannsthal.



SALOME. Rysunek GUSTAWA MOREAU.

PO DRODZE.

W RUINACH ŚWIĄTYNI.

Czym zbłądził między mojej świątyni kolumny,
Których czołom Czas stary odebrał trud dumny
Dźwigania nad mną pował pod niebo Hellady?
Kto wwiódł mnie tu szyderczo, abym gniewny, blady,
Na gruzach mej świątyni, padłej w chwastów sploty,
Czuł — zbudzony — przedwieczną boskość mej istoty,
A stał tak bez wielkości godnej mieć świątnicę?
Jakie me boskie imię było? Jakie lice?
Nie pomnę już. Zbyt długo musiałem pić z Lety
I nie wiem, jakie gaje i świętych gór grzbiety
Dźwigały me posągi tam, gdzie dziś przeciwne
Losy niepamięć szczepią i gaje oliwne,
Ni wiem, kto z nieśmiertelnych był mi tajnym wrogiem,
Gdym był swych snów pogańskich strąconym dziś bogiem.

MORZE.

W dzień biały morze śpiewa, szepce i szeleści,
Samemu sobie jeno gwarząc opowieści.
Kto się w nie wsłucha, słyszy w jego dziwnym szumie
Tajne dalekie głosy, których nie rozumie.
Ale po nocy ciemnej, wśród pomrocznej głuszy
Morze prawi wybranym o swej wielkiej duszy,
I kto w swej piersi prawdom nieznanym nie przeczy,
Umiejąc słuchać głosów niewidzianych rzeczy,
A samotnością łaskę swej jawie wysłuży,
Temu morze się zwierza, wieści, z duszy wróży,
Iż utopiony sercem w oszołomnej pieśni
W zachwycie najpiękniejszą bezsenną noc prześni.
A gdy upojonemu wiedzą w morskim wietrze
Z oczarowań zawrotnych powieki świt przetrze,
Co złotą obietnicą słońca się uśmiecha:
Ujrzy, jak łowiąc nocy pierzchającej echa
Wypływają z dniejących wód tajnej głębiny
W sen o pieśni Aryona wsłuchane delfiny...

SKARGA PASTERZA.

I.

Nie mając, pasterz owiec, tobie, kóz pasterce,
Dać nic, prócz róż gorących, jako moje serce,
Siedząc z trzodą nad stawem, w cieniu mszystej skały,
Splotłem ci z zielonego sitowia sandały,
Byś biegnąc do mnie skrycie przez wieczorne rosy,
O żwir nie uraziła białej stopy bosej.
Lecz ledwom kilka razy wśród słodkich oniemień
Drżącą dłonią rozwiązał ci sandału rzemień,

Darmo czekam, że stukniesz w noc do okna mego,
Choć szelest stóp twych słyszę, jak po żwirze biegą
W mroku, i wiem, że z chaty na pole ci droga,
Jako i z pola do dom, obok mego proga.
A że nie mam po tobie pamiątki ni znaku,
Zasiewam co noc ścieżkę drobniejszym od maku
Piaskiem białym — i świtem, kiedy noc przebiedzę
W smutku, wychodzę z chaty i na piasku śledzę
Słodkich twych stóp sandałem tłoczone wyciski.
Co świt mam ślad twój świeży, mej izby tak bliski,
Choć, niestety, trop dalszy oczom mym powiada,
Że obok drzwi mych biegniesz do chaty sąsiada.

II.

Aby uniknąć szyderstw braci mych pasterzy,
Pasam stada na pustej, samotnej rubieży
I puściwszy na ubocz skalną moje kozy
Rogi im stroję w dzikie dzwonki i skabiozy,
By nie pomnieć, jak dawniej, w zmierzch wracając, grono
Winne-m przynosił tobie, a ty podniesioną
W górę dłonią wieszając nad swą wargą młodą
Owoc pełny, jagodę rwałaś za jagodą,
Pijąc z nich usty słodki i ognisty trunek,
Jak śniłem, że pić będę z twych ust pocałunek.
Lecz strzaskałem imieniem twem śpiewne piszczałki
I bez bolu słuchalem już, jak bez przechwałki
Żar pieszczot twych wychwala pasterzy gromada,
Bo dumnym być mi kazał bóg pastwisk i stada.
I pokój serca byłby mi wrócił napewne...
Lecz śmieją się dziś ze mnie wszystkie nimfy drzewne,
Które mnie podglądaly wśród gęstwinnej głuszy,
Gdy wczoraj, choć przysiągłem zapomnieć cię w duszy,

Znalazłszy nocą drzewo najtajniejsze w borze,
Skrycie najsłodsze imię twe rzezałem w korze.

TAŃCZĄCA HORA.

Dzięki za tę godzinę, gdyś, mych ócz tęsknicą
Uproszona, tańczyła dla mnie, Tanecznico,
Rozwiewając wkrąg barwne swe szaty i wstążki.
Piękna! Snadź podpatrzyłaś bronzowe posążki,
Rozpieszczając w przegięciach swoje członki smagłe
W ruchy mdlejąco-żadne, ociągliwie-nagłe.
Lekko tykając ziemi drobną stopą bosą,
Zdawałaś się, że wichry jako mgłę cię niosą;
Szum twych szat, w którym szeptał szmer całunków słodki,
Owiewał cię, jak brzękiem pszczoły brzęczyzłotki,
Ścigające wieśniaczkę biegnącą wśród uli;
Podrzucane trzaskały na białej koszuli
Paciorki naszyjnika, a za każdym zwrotem
Jak kwiat się rozwijała suknia twoja lotem;
Gdyś przechylała głowę, w uszach twych pierścienie
Dzwoniły o naszyte u ramion kamienie
I woniał ciężar włosów twych ujętych w węzły,
Jakby w nim dusze wszystkich ogrodów uwięzły.
Tan giął cię: tak się las gnie wonny, dziki, młody,
Jako twe ciało gibkiej i leśnej urody;
Tańczyły w tobie morza niecierpliwe fale,
Całunki pian na czoło wieszające skale;
Tańczyły w tobie ognie w wichrach rozkochane,
Szały krwi, parne noce w pragnieniach niespane;
Tańczyły niezrodzonych uścisków oploty,
Rozdrgane pożądaniem obłędnej pieszczoty.
Kołys twych biódr, twych członków kręgi nieprzytomne
Łkały prośbą o noce rozkoszą ogromne;

Niósł cię zawrót, przeczucie odurzeń, zachwytów,
A lot pętała rozpacz wszystkich niedosytów
I tan opadał w ruchy gniewne, mściwe, harde...
Piersi twe, krzepkie, jędrne, wyniosłe i twarde,
Wznosiły się w zielonej uwięzi stanika,
Jak bunt nieposkromiony i tęsknota dzika...
Szalało ciało twoje drapieżne i gibkie
W ruchach, co, jak grzech słodki, gorące i szybkie;
Wyciągałaś wabiące, zachłanne ramiona,
Chwytałaś sen i próżnię cisnęłaś do łona;
Nieprzytomna, zdyszana, ogniem rozgorzała,
Stałaś się wirem szat swych i młodego ciała — —
— — I nagle z barw i kręgów wykwitłas, jak z burzy
Cisza, jak perła rosy z serca krwawej róży,
I stanęłaś spokojna, jak piękno, co święci
Zwycięstwo swe! I taka żyjesz w mej pamięci:
Posąg zakrzepły w krasę najwyższą, jedyną,
Trwasz w rozkwicie szat lotnych, tańcząca Godzino,
Co-ś, zachwycona sobą, jak dziełem nad dzieła,
Nie chciała, piękna, minąć i — w locie stanęła!

MORITURUS.

Mający umrzeć wita cię, wielki Cezarze,
Dumnem skinieniem ręki. W szmerze i rozgwarze
Podziwu, wśród orszaku zasiadłeś i jeno
Okrzyki na twą chwałę wstrząsają areną
Za zgotowane tłumom zapaśne igrzyska.
Oliwą namaszczone ciało me połyska,
Otoczone wkrąg twarzy niecierpliwych murem,
Co pieszczą oczy gibkim mych członków marmurem
I w młodzieńczem mem ciele bez skaz i przepaski
Zgadują przyszłe rany, co zczerwienią piaski.

Wypuść, władco, z zwierzyńców swe lwy i tygrysy!
Słońce oświeca razem wawrzyn i cyprysy:
Zbrzydło mi już zwyciężać zwierzę, z którem walczę
Krótkim mieczem, i zwierzę w tłumie bałwochwalcze,
Zbyt podłe, by módz krwi twej nędznego szkarłatu
Dodać spełzłej purpurze twego majestatu.
Otwórz zwierzyńce swoje dzikie, bo mi śpieszno
Dać tej zgrai z krwi swojej biesiadę uciesznq:
Bo przez kły i pazury podarty na ćwierci
Wydrę ci, tchórzu śmierci, podziw dla mej śmierci
I w nim pierwszy raz zrównam Cezara i tłumy!
I wszystkie orły twojej cezarycznej dumy,
Co na skrzydłach swych niosły Nike twych legionów,
Wypuszczą twą purpurę ze śpiżowych szponów,
Odlecą precz od ciebie, rozpierzchną się w dali
Ze wstydu, — który niechaj na wieki cię pali! —
Że pod władztwem twem, kędy dni duszom się tracą,
Ten, który umiał konać, skonać nie miał za co!

MASKA KOMICZNA.

Od wieków wmurowana na amfiteatrze
Z uśmiechem na szeregi kamiennych ław patrzę,
Słysząc w ich opuszczeniu, jak szum w starej muszli,
Zamarłe przerażenie widzów, co ztąd uszli
W trwodze przed grozą gestów i krzykiem patosu
Sztuki odsłaniającej tajemną głąb' losu.
Przeszły tu tłumy widzów, ciąg pokoleń długi,
Co duszami, jak łany pod orzące pługi,
Litości poddawały się i przerażeniu,
By w nieodgadłe oczy spojrzeć przeznaczeniu.
Pierzchli w trwodze, ujrzawszy poza pięknolicość
Pogodnych kształtów skryte milczenie i nicość,

Życie, które zrzuciwszy szatę i koturny
Jest biedniejsze, niż popiół wyrzucony z urny.
Lecz ja, choć przewaliły się tu żądz pożogi,
Druzgotane tytany, bolejące bogi,
Skrytobójczych Atrydów purpurowe dzieje:
Ja jedna pozostałam i jedna się śmieję.
I choćbyś zszedł kolejno świata strony cztery,
Wiedz, jedyny mój uśmiech na ziemi jest szczery,
Chociaż pnącze różane czoła mi nie plotą.
Oczy me nieśmiertelną dotknięte ślepotą
Nie mogły nic utracić. Choć wszystko przeminie,
Oczom, co nie widziały nic, nic nie zaginie!
Mnie jednej ukochania czarodziejskie właście
Nie mogły w oczach padać na wieki w przepaście.
Choć wiatry wieść roznoszą, że dawno runęło
Nieopłakane wieków olimpijskich dzieło
I choć laur po niem szumi żalem, że nie wieńczy
Efeba zwycięzkiego w dzielności młodzieńczej,
Jednak mnie, którą także ten świat z swego łona
Wydał w natchnionym szale, mnie jest oszczędzona
Prośba, najokrutniejszej z mąk, nadziei siostra,
Co próżno przebić niebo chce, jak strzała ostra,
A wśród wiecznie daremnej, głuchej kona skargi:
Oczy moje są puste a bez głosu wargi.

O, KALLIPYGOS!

I.

O, Kallipygos biała! Wędrowiec, któremu
Miłość duszę zmąciła mrokami podziemu,
Po długiej drodze z ziemi przybywszy dalekiej,
Nieśmiały, trwożny staję przed tobą, przed wieki
Nauczoną tajemnic miłości! Nieświadom,

Dany na łup obłędom i ciemności zdradom,
Pytam cię, klnąc na słońce, twojej chwały świadka,
Czem jest wieczna istoty kobiecej zagadka.
O, łaskawa! Marzyłem, że cię zasłonioną
Ujrzę, zazdrośnie śnieżne swe kryjącą łono,
A oto piękno widzą me oczy śmiertelne,
Członki twe niezakryte i nieskazitelne.
Przed źrenicami memi podniosłaś swą szatę
Ukazując mi ciało nagie, w cud bogate.
I upadłbym dziękczynny pod twe boskie nogi,
Żeś szczodra proszącemu, jako żadne bogi,
Lecz czuję, że mi nagość twa ślepi źrenice!
Piękność twa jest, by kryła twoją tajemnicę!
Odsłaniając swą nagość, którą wzrok obdarzasz,
Jeno mi swoją skrytość kobiecą obnażasz!

II.

Wędrowiec.

Śpisz, Kallipygos? Zbudź się! Od długich stuleci
W bezruchu marmurowym piękność twoja świeci.
Szukający miłości, najsmutniejszy z ludzi
Szeptem tęsknoty ze snu twardego cię budzi.
Ożyj! Śniłem o tobie tak długo! Dziś bliski
Jestem ciebie. O, zbudź się na pieszczot uściski,
Na rozkosz w nieprzytomnych dni i nocy ciągu.
Chłodną twą pierś ogrzeję piersią swą, posągu
Biały! Oczy ci zamgli zachwytu opiłość...,
O, zbudź się, śnie kamienny, na ogień i miłość!

Posąg.

Jakże śmiałeś, śmiertelny, rzec słowo szalone,
Dreszczem grozy przejmując me członki uspione,

I z głuszy niepamięci budzić mnie bezkarnie,
Która musiałam miłość, najdzikszą męczarnię,
Aż do dna poznać bogów wszechwiedzą straszliwą,
Nim los mi nieśmiertelność głazu dał nieżywą.
Snadź smutnym jest do śmierci beznadziejnie, czyja
Boleść zbawienia szuka w mocy, co zabija;
Chyba rozpacz cię zmusza, zazdrością bezsenna,
Zawidzić mi boskiego szczęścia, żem kamienna...

III.

Tu cię spotykam, boska? Tu, w transtewerańskiej
Ciasnej ulicy! Sama, jako pies bezpański,
Stoisz na chłodzie, nocą! Gdzie twoi kapłani
I orszak twój w pochodzie, nieśmiertelna pani,
Gdzie kapłanki, co szaty nad nagie kolana
Uniósłszy, biegły w pląsach, lejąc wino z dzbana,
Niosąc pochodnie smolne, dłońmi siejąc kwiaty?
Choć w zaułku-m cię spotkał, w obce strojną szaty,
Gdyś mnie śpiewem italskiej zawołała mowy,
Poznałem cię! Zerwałaś bezruchu okowy,
Więc ożyłaś, o biała miłości bogini,
I wyszłaś z obojętnej posągów świątyni,
Gdziem cię uwielbił w zimnym kamieniu zakrzepłą.
Obudziłaś się ze snu! Masz dłoń życiem ciepłą!
O Wenus nieśmiertelna w swej nagości boskiej,
Raczyłaś wyjść z chłodnego marmuru beztroski
Ku mnie, któremu jeno ból tęsknoty karmą!
Dzięki ci, że me modły nie błagały darmo...
Mówisz, że całowałaś już sto ust? Że dreszcze
Rozkoszy w sto serc lałaś, jako letnie deszcze?
Że sto ciał już pieściły twych objęć powoje,
Stu ulom niosły słodycz twoje pszczelne roje?
Mówisz, że co noc schodzisz w ulice? W ciemności

Opuszczasz tajnie cokół w pałacu piękności,
Gdzie cię w posągów białych ustawiono rzędzie,
I schodzisz między ludzi, jak we śnie, w obłędzie?
Co nocy schodzisz w miasto? Ty, któraś posągiem?
Miłość niesiesz, a bierzesz obelgę z urągiem
W zapłacie? Jakie dziwne twoich szat gałganki!
Musisz się kryć? Więc padł ci srogi łos wygnanki?
Kędyż są stare bogi piękne tak pogodnie?
Czy Olimp w gruzy runął? Mów, przez czyje zbrodnie!
Ach, ból ciemny zasępił blask twojej źrenicy!
Jesteś, mówisz, boginią zaułku, ulicy?
Zapadłoż w zapomnienie Twoje boskie miano?
Mów, jak zwą ciebie dzisiaj? Grzechem! Kurtyzaną!
O, bóstwo poniżone, pohańbione w prochu!
Jakże się na cię śmiały wznieść dłonie motłochu!
Czyś nie jest piękna nawet w swej boleści bładej?
Nie sąż upojne piersi twe jak winogrady?
Czyż smukłe twoje biodra, kolana i uda
Straciły swą pieściwą krągłość? Czyli cuda
Objęć twych nie są słodsze nad sen w polu w żniwa?
Nie jest-że jak sad duszny twoich włosów grzywa,
W której barwach zaklęte lśnią wszystkie jesienie?
Nie sąż już ust twych miody jako zapomnienie?
Czyż nad skarby w pieczarach nie nęci twe łoże?
Nie lśni-że morze w oczach twych, zielone morze?
O, pójdź, ja który umiem czcić bóstwa strącone,
Na skroń ci miłość moją włożę, jak koronę;
Wrócę ci czystość dumną; ogni swych tęsknotą
Przepalę serce twoje na najszczersze złoto;
Obmyję ciało twoje w słonej morskiej wodzie;
Owinę kwieciem nagą twą pierś, jako łodzie
Stroją. którzy żyć pięknie bogom poprzysięgli;
Urny rozstawię pełne rozżarzonych węgli
I nasypię w nie mirry, drogiego kadzidła,

By sny twe kłaść na dym ich, jak ptakom na skrzydła;
Amfory złote, pełne liści białej róży,
Będą wonieć, jak miłość ma, u twych podnóży;
Stopy twoje ubiorę w plecione sandały,
By jeno po rozsłanej purpurze stąpały;
Szatą ci będzie nagie twego ciała piękno,
Które wonności lasów żywicznych przesiękną!
Pójdź ze mną, wszak mnie sama przywołałaś głosem!
Tyś jest, o której śniłem, zdarzona mi losem!
Czemu milczysz, zmieniona, smutna i pobladła,
Jakby ci ma tęsknota krew wszystką wykradła?
Tyś jest, przez którą dusza z tęsknic ma ozdrowieć!
— I usłyszałem wyrok nad sobą w odpowiedź:
Nie jam jest, której szukasz, która ci się stanie
Jak wino spragnionemu, jak przewiązka ranie.
Nie jam jest, która twoją tęsknotę ukoi
I da ci klucz do złotych miłości podwoi.
Sen twój, pragnieniem twojem z kamienia dobyta,
Wrócę w marmur posągu, w chłód bieli spowita.
Nie mnie kochasz. Niech złuda z oczu ci opadnie.
Nie znalazłeś! I dalej w dzień i w noc bezradnie
Szukać będziesz! Nie jam jest, którą śniłeś w głuszy.
Inny posąg, bez skazy, kochasz w głębi duszy,
Ów zawsze najpiękniejszy, od wieków bez zmiany
Leżący dotąd w ziemi, ów — niewykopany.

RÓŻANY KRZEW...

Różany krzew zielony, co swe krwawe róże
Pod złoto słońca zwiesza w dół po szarym murze,
Dał mi swój kwiat gorący, bym na skroni bladej
Miał wieniec świeży podczas wczorajszej biesiady,
Na którą zaproszony z Kallistosa łaski

Zyskałem przyjaźń jego i nowe oklaski.
Gdyśmy, źródlaną wodę z winem z złotej czary
Pijąc, brzmień wysłuchali attyckiej cytary,
A tancerki nubijskie w tkaninie przeźroczéj
Nagością bronzu nasze upieściły oczy,
Pan mój i muz miłośnik wstał z trójłoża pierwszy,
Prosząc, bym go upoił czarem moich wierszy.
A właśnie podawano skroniom świeże wianki.
I patrzyły obecne Cezara kochanki
Zazdrośnie, gdy wiedzący o mych nocy męce
Kallistos wiódł mi ciebie w darze i podzięce,
Którąś z książęcym ojca rozdzielona trupem
Tryumf wodza zdobiła, z Azyi wzięta łupem.
Szłaś blada, z nienawiścią spoglądałaś ku mnie,
Nie zgadując, że, mogąc cię gniewnie i dumnie
Rózgami, choć oporną, zmusić w moje łoże,
Jutro-ć nietkniętej wolność daruję w pokorze.
A gdym nadając słowom tok dźwięczny i gładki
Miłość jął śpiewać wiersza pieszczonemi spadki,
Każda z miłośnic śniła tęsknie, że to o niej
Spragniona miłość moja miękkim rytmem dzwoni...
I szczęściem śniła koić mej tęsknoty głody,
Gotowa wieść mnie nocą w swe duszne ogrody,
By tam w włosy swe plątać, pętać w dłonie obie —
A tyś przeczuć nie chciała, żem śpiewał o tobie...

KIEDYŚ...

Kiedyś po długich latach ujrzymy się znowu. —
Łódź moja będzie w przystań wracała z połowu
Pereł, po które rozkaz twój na burz szaleństwo
Wyprawił mnie. Żądałaś, by niebezpieczeństwo
Było próbą miłości mej i twej okupem.

W zachód różowy łódź ma wracać będzie z łupem,
Gdy na wód senność zaczną od skał padać cienie,
A morze ciche będzie, jak moje znużenie.
Wiosło złożę i żagiel zwinę, jak tęsknotę,
Którą spełnienie wita. Fale miękkie, złote
Nieść mnie będą spokojnie, jak blade godziny,
Na których szczęście płynie w spomnienia krainy.
Będziesz na brzegu czekać. I gdy dotknę ziemi,
Milczenie będzie naszem przywitaniem. Niemi
Spojrzym na skrzących skarbów morzu wzięty przepych
Zgasłym promieniem oczu od bujnych łez ślepych.
Pojdziem, a ty nie spytasz o moje przygody,
Gdy na twojego domu wchodzić będziem schody.
Aż kiedy w twym ogrodzie pod ciemnemi drzewy
Usiądziem, chłodząc skronie letniemi powiewy,
Choć nie wyrzeknę słowa brzmiącego wyrzutem,
Uczujesz nagle w sercu boleśnie ukłutem
Żal obłędny, szalony lęk, jak zawrót głowy,
Żeś pierwszy lot mych tęsknot na mozół jałowy
Skazała, na bezpłodne nam bogactw szukania,
I przeklniesz dzień, gdym słuchał twego rozkazania,
Choć nie zgadniesz, że jutro opuszczę twe progi:
Bom, błądząc, nad cię błędne swe pokochał drogi...

CZEMU...

Czemu-m cię dawniej nie znał, słodka przyjaciółko,
Która przyjść do mnie pragniesz, z wiosną i jaskółką,
W dom pusty, jak przez długi czas moje źrenice.
Doszła cię wieść, żem swoich komnat okiennice
Zamknął i skrył swój smutek w ciemności głębiny,
Znienawidziwszy mego ogrodu jaśminy,
Bzy i róże, że tchnęły wciąż w woni zawrotnej

Tak jak wówczas, gdym nie był pośród nich samotny.
Czemu-m wpierw nie znał ciebie, która pod mą strzechę
Uśmiech niesiesz a w moją samotność pociechę?..
Kiedy w progi me wstąpisz chwastami zielone
I ujrzysz wszystkie okna szczelnie zasłonione,
Za któremi smutnego mnie śnisz, z bladem czołem:
Znajdziesz otwarte drzwi me, których nie zamknąłem.
Bo patrzę przez nie w zmierzchu szarego zamieszce
Na róże porzucone, więdnące na ścieżce,
Róże, co spadły niegdyś, od mych bolów krwawsze,
Z warkoczy Odchodzącej ode mnie na zawsze.

CZY WIATR WSPOMINA...

Łagodny smutek, słodki jak ogród w jesieni,
Co wspomina żar lata bladem liści złotem,
Zasnuwa nam mgłą duszę, łza w oku się mieni...
Co było nie powtórzy się z wiosny powrotem.
Cichy smutek miłości, blask szczęścia ostatni...,
Wrześniowy uśmiech naszych dusz rozrzewnia błoń —
Widma słońca z fal rybak nie złowi w sieć matni.
Czy wiatr wspomina, jaką z róż zcałował woń?

Było... przeszło... Radosne na polach konicze
Nie wiedzą, jakie duszę ich ukradły pszczoły.
Piliśmy win upojnych zawrotne słodycze
I puhar nie pozostał wypity na poły.
Kwieciły się, kwieciły sady, winogrady,
Kwiat posypał się śniegiem na schyloną skroń...
Wiatr pędzi listki spadłe, — kto znajdzie ich ślady?
Czy wiatr wspomina, jaką z róż zcałował woń?

Najgłębszy ssmutek szczęścia, że wszystko przemija...
Pragnienie uciszone — wspomnieniem ozłaca
I pamięcią, jak bluszczem zielonym, owija
Tęsknotę, co w pierwotnych już szatach nie wraca.
Pielgrzym, co usta zwilżył, precz idzie od źródła,
Choć długo drży wzruszona miękkiej fali toń.
Warga płacze całunków, choć po nich ochłódła...
Czy wiatr wspomina, jaką z róż zcałował woń?..

SMUTEK.

Czemu patrzycie oczy moje z za mgły łez
Na ostatniego słońca zachodnie konanie?
Czemu was tak przykuwa jego krew i kres,
Chociaż w źrenicach boli, jak ostry jad w ranie?
Czy wam niedość, że długi słoneczny był dzień?
Niedość skryć go radośnie wśród pamięci schronu,
Zasłonić dłonią oczy, nim zapadnie cień?
Czy każdą radość płaci się smutkiem jej zgonu?

Nie całujcie, me wargi, na rozstanie ust,
Z których nigdy ostatnich nie piło się miodów.
Dreszcz rozkoszy się stanie dwojgiem cierpkich bruzd,
Co ciepłą pamięć czoła zetnie w smutek chłodów.
Czy tak bez dna i kresu jest tęsknoty głąb',
Aby niedosyt życia pełnić z śmierci plonu?
Iść ścieżką, aż zawiedzie nad przepaści zrąb?
Czy każdą radość płaci się smutkiem jej zgonu?

Między pieśnią przerwaną a zbudzonem echem,
Falą a nagą stopą, co się wnet zanurzy,
Przyjściem listu a zdjęciem pieczęci z pospiechem,

Pomiędzy zaproszeniem a rankiem podróży,
Między wzniesioną dłonią i owocem drzew —
Śpi szczęście, co najsłodsze dreszcze daje łonu,
Między wargą a czarą, gdzie lśni wina krew...
Lecz każdą radość płaci się smutkiem jej zgonu...



Leopold Staff.



ARCHANIOŁ.

Wieczór pod lasem. Płonie ogień z jałowców. Słychać trzask igliwia i suchych gałązek.

Z dymem rozmowę prowadzi Człowiek.

——— Patrz na mnie. Znałeś mię dawniej. Rozrzucam się, przewijam, krążę — krążę, rozwiewam w powietrzu, w zasłonie dymu i blasku. Znałeś mię dawniej, przypomnij. Spójrz tylko mocniej... z uwagą.

~~~~~~ Nie mogę skupić uwagi.

——— Zmęczony jesteś. Ja także. Czy widzisz jak się rozpraszam. Nic mię nie wiąże, nie ciąży mi nic,
~~~~~~

jestem wolny. Z ognia jestem, ale już ogniem nie jestem. Swoją własną jestem tęsknotą.

∿∿∿∿∿∿ Jesteś dymem... niczem.

——— Jestem serc waszych ojczyzną. Ale królestwo moje nie jest z tego świata.

∿∿∿∿∿∿ Jesteś dymem — niczem.

——— Śpiewają w tobie te słowa? Chodź ze mną. Oskrzydlę ciebie dokoła, zasłonię duszę twoją. Nie odwracaj się, nie myśl, nie żałuj. Łańcuchy wleczesz za sobą. Wszystko przemija...

∿∿∿∿∿∿ Słyszałem już gdzieś te słowa.

——— A teraz widzisz je.

∿∿∿∿∿∿ Cóż widzę? Pusty ogrom.

——— Niech go skrzydła twoje zapełnią.

∿∿∿∿∿∿ Skamienieć chciałbym...

——— Ach — tak? Kamienie kochasz? — Słaby jesteś.

∿∿∿∿∿∿ Wiodły mię one tylko ku ciemnym otchłaniom. Skrzydła — bez błękitu? Złowrogi to dar.

——— Słaby jesteś.

∿∿∿∿∿∿ Kto wie, czy słabość moja nie jest większą siłą niż innych moc. Ale już nie kocham swojej mocy.

Czy ty znasz rozum gwiazd powracających do swojego gniazda słonecznego... Chcę już wrócić do domu Ojca mojego. Nie jestem nikomu potrzebny.

——— Nikomu? Spójrz w okół. Serca miękkie, leniwe — bez jutra, bez gwiazdy — wichry jakieś ich pędzą.

∿∿∿∿∿∿ Bo są wichru służebnikami.

——— Każdy odpowiada za zło, o którem wie.

∿∿∿∿∿∿ Nie tak lichwiarz sięga za grabieżą, jak wy za moją samotnością. Cóż ja mam z nimi wspólnego?

Wszystką radość mego serca, wszystko światło moich rąk przyniosłem z sobą na świat; życie z nimi dało mi tylko rabunek mojej młodości — dni niewolnika — lęk. Ilekroć szukałem zbliżenia, zawsze odpokutowałem to jako winę.

Uwiedziono mi serce, obłąkano mi duszę, sam w sobie gubić się począłem. Gdym dobrze czynił, złe wyrastało, — gdym czynił źle, wypadało dobrze. Gdym się poświęcał, zatracałem innych i siebie.

Byłem radosny i pełen dobroci, siebie i innych nakarmić umiałem — więc okradano mię i udręczano — ptakom moim oczy wykłuwano — aż okradziono—i obdarowano ciemnością — że dzisiaj — widzisz sam — karmię się jedynie wspomnieniem — i ogrzewam jak pastuch... przy leśnem ognisku.

——— Skarżysz się.

~~~~ Bronię się. I nietylko siebie bronię. Widziałem w życiu umarłych, chodzących po grobach żywych. Widziałem świętość spodloną — i podłość całowaną w ręce przez aniołów. Widziałem dzieci błądzące po bagnach — świątynie na ziemi kupionej od szatana — i wiele rzeczy potworniejszych niż gady na dnie mórz.

Coś z wszystkiego tego przyczepiło się do mnie — szara przędza piekielnych pająków — dym jakiś Kainowych ołtarzy — odejść chciałbym ztąd jak najdalej — na srebrzyste ogromy gór — w ranne powietrze nad borami — w ciszę.

——— Niema ciszy na ziemi.

~~~~ Cóż ziemia? Ziemia moja, to swoboda duchowi.

——— A niewolnikiem jesteś. Wolnym bądź!

~~~~ Właśnie to czynię. Śmierci .czekam.

——— Niema śmierci!
~~~~

——— ... Nie czuć, nie widzieć nic, samego siebie. Jakiś dzień kończy się we mnie — myśli jak ptaki szukają spoczynku.

Może już odejść czas...

——— Dokąd?

——— Wszystko jedno. Byle od brzegu. Ja nie wiem, ale wichry wiedzą, niech więc niosą. Czuję ich powiew przez włosy, od borów zaśnieżonych, od czarnych jezior w granitach. Owinąć się w ich milczenie — i zasnąć na lat tysiąc. Nie tęsknić, nie wspominać... nie czuć. Nie uniżać się, nie zbierać okruchów. Nie być przekupniem, miast rycerzem z Monsalwatu. Nie odczuwać ukąszeń myśli o szczęściu przy spożywaniu chleba powszedniego.

——— Skamienieć chcesz? Martwo ty mówisz. Już i tak dusza cię odeszła.

——— I ginę z tęsknoty za nią. Jeśli wiesz, gdzie ona, odwołaj ją, albo wskaż drogę. Może wyszła ze mnie w jednym ze snów, na wyspę, gdzie Bóg zwyciężył... Może dumniejsza ode mnie wzgardziła pokornym żywotem, i w jakim małym dniu mego życia odeszła w gniewie — bezpowrotnie?

Ty wiesz — ty wszystko wiesz — przenikasz, odgadujesz mnie. Wróć ją, lub mnie dokonaj. Własny cień napełnia mię lękiem niechęci, — czego się dotknę, w popiół się zamienia — ludzie, słowa, ich i niby moje ukochania. To nie moje życie, nie moje słowa i czyny. Cudze? Tymczasowe? Nie wiem. Ale coś najważniejszego przechodzi mimo — głos tylko czasem słyszę, daleki.

Powróć mi duszę mojej duszy — lub gromem udaruj. —

Reszta jest niczem.

——— Wróci dusza, wróci — z dalekiej wróci wędrówki... Mówię tobie, mieszkanie przygotuj dla niej.

∽∽∽∽ Mów jeszcze...

——— Czystym bądź.

∽∽∽∽ Zamki granitowe, w załomach turni, gdzie śniegi opadają cicho w nocne wigilie — oto dziedzińce moje dla jej stóp. Najbielsze łabędzie na jeziorach snów otoczą ją wokół jak księżyców dwanaście — srebrne perły wyjdą same z dna morza, jak muszki świecące, czepiać się jej włosów i szat. Najrańsze moje, dumne dotąd i żywe tęsknoty — powiedz jej — ...

——— I zbroję włóż.

O, słuchaj... Nadchodzą dni, podobne słońcom ogromnym czerwonym, wypijać rosę łez, zbierać pilnie rubiny krwi po sercach strąconych w przepaście. Drży ziemia pod Xięciem Mroków, dusz waszych zabójcą — purpura jego niespokojnie wije się na wichrze, w oczach zielone pioruny — bór stuleci otacza jego Tron na przepaściach, a każde w nim drzewo to stara zbrodnia, każdy kwiat blady to wyrzut grobu, każda skała to zawalone wejście do podziemi.

Czystym bądź — i zbroję włóż. Na Termopilach świata czekam cię. Bądź gotów.

∽∽∽∽ Radość i rozpacz w słowach twoich...

Teraz, teraz przychodzisz... z płomieniem i mową mocy... gdy mię wiosna odeszła — i orzeł na hełmie sposępniał. Gdzie byłeś, gdym cię wzywał wśród walki — w słonecznej modlitwie bez błędu, bez winy, kiedy mój jasny miecz słowa torował drogę przez tłumy przeciwne?

——— Nie dochodź przeznaczeń. Potrzeba było, abyś był spróbowany w piorunach, — i zasłany w kraj nocy, gdzie się schodzą na wichrach wszystkie niedole

świata. Dziś dusza twoja powraca z wygnania — a gdzie dusza powraca, wiosna powraca, dom się światłem napełnia i pod zorzą staje. Mówię tobie, mieszkanie przygotuj dla niej.

∽∽∽∽∽∽ A jeśli... A jeśli łamiesz mię — ostatnim z zawodów? Lęk czuję. — Jest w tej ciszy, co mię tu do snu kołysze, coś matczynego... Te wody ciemne i złote jak wino — pełne splątanych liści — zdają się wiedzieć wszystko i milczeć.

I milczeć.

Pozostaw mię w spokoju. Nie, ziemia nie jest ojczyzną duchowi.

——— Ojczyzna ducha wszędzie jest.

∽∽∽∽∽∽ Niech mię błękit pokryje skrzydłami, serca gołębie otoczą, niech cień wskazówki kompasu uczy myśli moje powolnego chodu za słońcem.

Pozostaw mię w spokoju.

——— Kto głos mój słyszy, ten nie zazna spokoju; niema go i dla ciebie, ani poprzez ciebie. Skrzydła twoje zbudowane do wichru — a serce nalane ciszą siódmego dnia. Przez stepy spiorunowane, przez domowe progi pożegnań szukać będziesz ostatniego swego milczenia — i innych budzić będziesz, ale do niepokoju, i skrzydła dawać do odlotu w wysoką samotność. To twój los.

∽∽∽∽∽∽ Chcę do domu Ojca mojego...

Zrzucić szatę znoszoną i wszystkie skazy moje z nią — wykąpać się w topieli gwiazd — gdzie szerokie rzeki błękitu leją swe wody z bezmiaru w bezmiar — krążą w zachwyceniu, jak krew Boga — pełne stawań się nowych światów, nowych dziejów, nowych pragnień, nowych słów.

Tam odejść z duchami... które nazbyt obarczono —

a kiedy powrócić na ziemię, powrócić jasnym, niezłomnym, zwiastunem dni Parakleta.

——— Niemęskie to sny. Strzeż się ich. Drzewo twoje jeszcze nie ścięte, drzewo ostatniego domu... oczy moje widzą je... szumi liśćmi i ptaki z pieśniami zaprasza.

Ale sama myśl o spoczynku nakłada garście ziemi na piersi; a czy ty znasz męki ludzi pochowanych w letargu, — gdy dla rąk złożonych sakramentalnie przyjdzie chwila ocknienia pod ziemią?..

~~~ Słowa Twoje ciążą.

——— Ciążą tobie winy własne, a nie słowa moje. Gdy przyjdzie czas, przyjdzie inny — i błyskawicą opasze serce twoje. Dziś łam się.

A złamiesz się? — My kochać umiemy, ale nie znamy litości. Łam się, walcz, idź przez ogień i trud — i oczyszczenia szukaj, szukaj odpuszczenia win.

~~~ Alboż jest w życiu odpuszczenie win? Kto to uczynić zdolny?

——— Tylko własne serce twoje.

~~~ Drogo spłacałem winy moje: krwią i duchem! Napróżno.

——— Zapłacić je musisz cudem!

~~~ Cudem...

Słowo ogromnej wiary.

Czuję jego wicher na twarzy...

Dręczysz mię.

Kto jesteś? Z czem przychodzisz? Dlaczego i tu, w tej głuszy, krążysz dokoła — i szarpiesz mię?

——— Jestem ten, który stoi pomiędzy tobą a twoim błędem. Jestem ten, który rozrywa łańcuchy Nocy i rzuca do nóg rozkutym wygnańcom. Mieczem wirują-

cego płomienia przecinam duszę twoją i wypalam na niej runy płonące; promieniami dłoni moich przenikam serce twoje nawet we śnie — i uwodzę je — i udręczam — i wiodę od jednej śmierci do drugiej.

——— Ukaż się!

——— Zobacz mię!

Milczenie.



Artur Górski.



PEANY MIŁOŚCI.

WENUS CZUWA (PERVIGILIUM VENERIS)
Katulla lub Galla. Przekład K. WROCZYŃSKIEGO.

Kto nie kochal — kochać będzie,
A kto kochał — pójdzie w ślad — —

Wiosna w pieśni — wiosna wszędzie —
Znów odzywa cały świat.
Z wiosną serce gra miłością,
Z wiosną kocha ptaków chór,

Z wiosną — świeżą zielonością
Drży w całunkach deszczu bór.
Jutro — z wiosną rozkochaną —
Wielka miłość w cieniu drzew
Złączy serca pod altaną
Otuloną w mirtu krzew.
Jutro Wenus w tronie siędzie,
Rzuci prawa swoje w świat:
Kto nie kochał — kochać będzie,
A kto kochał — pójdzie w ślad — —

Z wiosną-ż było, gdy spienione
Sine morze, wzdęte w kłąb,
Wyłoniło w fal Dione,
Córę Zeusa, ponad głąb',
W lazurowych hufów rzędzie,
Wśród dwunogich koni stad.
Kto nie kochał — kochać będzie,
A kto kochał — pójdzie w ślad — —

Ona-ż w szkarłat — w tęczę-ż ona
Lśniącym szlakiem haft pól gnie,
Ona-ż z wezbranego łona
Zefirowym wiewem tchnie
W skwarne wzgórza na pustoszy;
A gdy noc nawiesi mgły,
Ona w rosy je rozproszy,
W błyskotliwe rosy — łzy.
Rosa perłą, acz niewielką,
Ciąży, lśni się, waha, drży,
I padając w dół kropelką
Krzew obwiesza — — — niby łzy — —
I ot — z pąków purpurowych
Wstyd odsłania się i żal

Pośród kropel ros perłowych,
Co mżą z gwiazd na nocną dal, —
Z rosą — z pąków brzask dobędzie
Kwiaty, rwąc z nich zwoje szat.
Kto nie kochał — kochać będzie,
A kto kochał — pójdzie w ślad. — —

Wenus każe, aby z brzaskiem
Zaświtała miłość róż — —
Zadrżą róże krwi jej blaskiem
W Amorowych ustek kruż,
W roztęcz pereł — a w promienie,
A w słoneczny krwawy żar.
Jutro — jutro łon płomienie
Róża pod miłosny czar
Na rozświty, na łabędzie,
Z pod zawistnych rzuci szat.
Kto nie kochał — kochać będzie,
A kto kochał — pójdzie w ślad... —

Wenus gibkich nimf czeredzie
Każe w gaj mirtowy biedz.
Piękny chłopiec tam je wiedzie;
Nimfy! trza się jego strzedz! —
Nie prożnowałby on, złoty
Gdyby z sobą kołczan miał.
Lecz dziś złożyć musiał groty,
Dziś z nim idźcie — nie ma strzał!
Bo bez broni iść mu każą,
Iść mu nagim każą k' wam,
Więc was strzały nie porażą,
Ni pochodni płomień sam. —
Lecz się strzeżcie — cudną twarzą
Zwyciężyć was może tam!

Ma — czy nie ma — zła narzędzie,
Nagi, serca będzie kradł.
Kto nie kochał — kochać będzie,
A kto kochał — pójdzie w ślad. — —

Od Wenery k' tobie, Djano,
Dąży dziew wstydliwych kwiat.
Prosić ciebie im kazano:
„Ustąp Delio — sierp twój zbladł:
Daj, by w mchów szmaragdy w borze
Krwią nie bluzgał ranny zwierz;
Wenus prosi cię w pokorze,
Chce cię zmiękczyć — Boska — wierz!
Nawet (jeśli wstyd twój może)
Błaga, byś przybyła też — —
Patrz: w pomroce już trzy noce
Twoje lasy wstrząsa szum,
Rozkochany, rozśpiewany
Ciągnie najad, faunów tłum,
W wieńce czoła swe ubiera,
Wśród mirtowych brodzi chat,
Patrz: tam Bachus, i Cerera,
I Apollo idzie rad.
Gdybyś dała, nocby cała
Brzmiała w śpiew burzący krew.
Wenus z puszcz twych śle orędzie:
Ustąp Delio — sierp twój zbladł.
Kto nie kochał — kochać będzie,
A kto kochał — pójdzie w ślad — —“

Wenus wznosić rozkazała
Na hyblejskich kwiatach tron.
Siędzie na nim przewspaniała —
U nóg Gracye — z obu stron. —

Hyblo! pól twych aromaty
Wszystkie zsyp pod tron tu wkrąg!
Rozpęknięte pąki — kwiaty —
Wszystkie krasy z Enny łąk.
Pod ten tron tu roztęczony
Siędą dzikie dziewy gór,
Gęstw dryady, dziwożony,
Nimf, rusałek śpiewny chór, — —
Wenus zwoła je z około
W czar Amora złotych piór;
Lecz rozkaże: w żadnym względzie
Nic nie słuchać z jego rad!
Kto nie kochał — kochać będzie,
A kto kochał — pójdzie w ślad — —

Jutro kwiaty się rozplemią
Z pod radosnej Krasy stóp, —
Jutro Eter, który z Ziemią
Zawarł pierwszy wieczny ślub,
By przez rzęsne dżdżów strumienie
Płodzić wiosnę, — z gór swych chmur
Strugi ulew żywczych żżenie — —
A w jej łonie — z jego wód,
Z gleby wszczęty, w niebo wzięty,
Wstanie dziwny życia cud.
Boć to Wenus rodzicielka
Przez potężny ducha szał
W sił tych mrokach rządzi — wielka,
Wenus, pani dusz i ciał!
Ona-ż niebem — ona-ż lądem,
Ona-ż mroczną tonią mórz,
Jednym nieprzerwanym prądem,
Płodem ciał, zaczątkiem dusz,
Przenikając — każe wszędzie,

Aby płodzić umiał świat.
Kto nie kochał — kochać będzie,
A kto kochał — pójdzie w ślad. — —

Ona-ż z Troi bogi święte
Do latyńskich zwiozła siół;
Chciała, aby Laurentę
Z Eneaszem hymen skul;
Jej to siła dozwoliła,
Aby Mars Westalkę wziął;
Rzymian naród znamienity
Przez nią się z Sabinek wszczął — —
Owóż Ramny ztąd — Kwiryty —
Rolny lud — rycerzy ród —
Senatory — wielkie sędzie —
Króle — hen — przez setki lat.
Kto nie kochał — kochać będzie,
A kto kochał — pójdzie w ślad. — —

Wsi! — ach ona tchnie rozkoszą!
Wieś zna miłość — wie, co szał!
Pono-ć syn Diony, głoszą,
Być zrodzonym na wsi miał.
Tam go błonie skryło w łonie,
Aby traw aromat ssał.
W latorośli gęstych pędzie
Tam go pieścił każdy kwiat.
Kto nie kochał — kochać będzie,
A kto kochał — pójdzie w ślad.

Miłość rącza wszystkich złącza
W szał a w czar: w kłąb stad, w sen par.
Ot — na łąkach mną janowiec
Woły wśród gromady krów —

Wzdłuż strug skaczą stada owiec,
Przy nich tuż baranów huf. —
Nawet ptakom Wenus każe,
By nie milkły pośród drzew,
Nawet tam — na błót obszarze —
Brzmi łabędzi gromki śpiew.
Wtórzy im Tereja dziewa,
Skryta pod topoli cień — —
Nawet ona — ona śpiewa
Pieśń miłosnych serca drżeń,
Zamiast płakać na swą dolę,
Na swój srom, na wstyd, że zgasł! —
Śpiewa! — ja też śpiewać wolę
A nie milczeć — dziś mój czas!
Moja wiosna! — więc świegocę,
Toż mnie za to lubi Feb.
Zmilknę — zginą we mnie moce
Śpiewać miłość ziem i nieb!
Toż Amyklów gród trwał w błędzie,
Milczał — aż w zagubę wpadł!
Kto nie kochał — kochać będzie —
A kto kochał — pójdzie w ślad!



ALGERNONA KAROLA SWINBURNE'A LAUS VENERIS. PRZEKŁAD JANA KASPROWICZA.

LORS DIT EN PLOURANT: HÉLAS trop malheureux homme et mauldict pescheur, oncques ne verrai-je clémence et miséricorde de Dieu. Ores m'en irai-je d'icy et me cacherai dedans le mont Horsel, en requérant de faveur et d'amoureuse merci ma doulce dame Vénus, car pour son amour serai-je bien à tout jamais damné en enfer. Voici la fin de tous mes faicts d'armes et de toutes mes belles chansons. Hélas trop belle estoyt la face de ma dame et ses yeulx, et en mauvais jour je vis ces chouses-là. Lors s'en alla tout en gémissant et se retourna chez elle, et là vescut tristement en grand amour près de sa dame. Puis après advint que le pape vit un jour esclater sur son baston force belles fleurs rouges et blanches et maints boutons de feuilles, et ainsi vit-il reverdir toute l'escorce. Ce dont il eut grande crainte et moult s'en esmut, et grande pitié lui prit de ce chevalier qui s'en estoyt départi sans espoire comme un homme misérable et damné. Doncques envoya force messaigers devers luy pour le ramener, disant qu'il aurait de Dieu grace et bonne absolution de son grand pesché d'amour. Mais oncques plus ne le virent; car toujours demeura ce pauvre chevalier auprès de Vénus la haulte et forte déesse ès flancs de la montagne amoureuse. LIVRE DES GRANDES MERVEILLS D'AMOUR, ESCRIPT EN LATIN ET EN FRANÇOYS PAR MAISTRE ANTOINE GAGET 1530.





Śpi czy też czuwa? jeszcze kark się pali
Od płomienistej pocałunków fali
W miejscu, gdzie krew się skłębiła wzburzona...
Zbyt piękna, iżby nie całować dalej.

Lecz choć me usta wciąż jeszcze namiętnie
W nią się wpijają, spokój w każdem tętnie,
Nawet powieki nie drgną; śród jej łona
Krew sen głęboki rozpalił doszczętnie.

Oto jest, patrzcie, owa rozkosz świata,
Pod której władztwem dawne były lata,
Która, gdziekolwiek powiedzie ją droga,
Porami czasu, jak plewą, zamiata.

O Panie! wielki jesteś i prześwięty!
Lecz patrz: ten włos jej w jaki pukiel spięty!
Twój pocałunek dał zbawienie ziemi.
Lecz spojrzyj: ust jej wspanialsze ponęty!

Cudna, zaprawdę! Cóż ci, Chryste Boże,
Ona zrobiła? Te jej wargi hoże

Od warg Twej matki czyż nie piękniejszemi?
Nic dziś słodszego dla mnie być nie może.

Tu, na Horselu, cóż za straszna spieka!
Jakiś niepokój ogarnia człowieka,
Ciężkie, dyszące palą się niebiosy,
Krew staje w żylach, jak wstrzymana rzeka.

O Wenus! ciało mej duszy spoczywa
Na niej, jak suknia, — moja miłość żywa, —
Czują mą miłość członki jej i włosy
I ta powieka, co oczy jej skrywa.

Senne me serce w słodkich ręku dzierży,
A zaś w jej głowach, gdy tak błogo leży,
Miłość w cierniowej stanęła koronie,
Blada, jak piana na piaskach wybrzeży;

Wrząca, jak bryzgów fala, co się ściele
Na kotłujące, syczące topiele
Żądzy, przez morskie wyrzucana tonie;
Tu ona stoi, jak tkacz przy swem dziele.

Krosna jej w ruchu; każda nić się mieni,
Skąpana w barwach wyschniętej czerwieni;
Czółenko biega; ona swojej przędzy
Z włosów zniszczonych głów tkać się nie leni.

Miłość ni smutna ni wesoła; przędzie,
Śpiąc, i śpi, przędząc; aż gotowa będzie
Jej tkań; i wtedy, zdjęte z szpul, co prędzej
Włókna się strzępią, w szybkim rwą się pędzie.

Noc spływa w ogniach na ziemię; tułaczą
Swą drogę nisko ciężkie gwiazdy znaczą;
Jak ich płomienie, drży me ciało, pełne
Godzin, co, śpiesząc w dal, ni śpią ni płaczą.

Oby mym członkom stał się Bóg łaskawy!
Oby spoczęły tam, gdzie fale trawy
Wełnią się w kwiatów woniejących wełnę,
Lub gdzie morzami kroczy wiew złotawy.

Oby Bóg sprawił, aby z mego łona
Czerpała pokarm dąbrowa zielona!
Oby pieczęci snu mi nie naruszył!
Obym najlichszy był śród zmarłych grona!

Oby me oczy przemienił w zwierciadła
Ślepe i stępił uszy; nakształt radła
Połamanego, ciało me rozkruszył,
Poraził usta, nim skarga z nich padła!

Ach! gdyby-ż miłość była li jak płomię,
Życie li mianem w swych cierpień ogromie,
Śmierć mniej bolesną od żądzy —: ten cały
Świat gdyby-ż nie był tem, czem jest widomie.

Wszędy jest cząstka śmierci... Na człowieka —
Tak każdy mówi — lat niewiele czeka:
Drobina czasu i — dni uleciały;
Tchu odrobina i — dech już ucieka!

Dzieło rąk naszych przepada pomiędzy
Jutrznią a słońcem; człowiek zginął prędzej,
Niż pomrok pierzchnął przed światłem — a! chwila,
I świat zapomniał o dni naszych przędzy!

Obym jak dusze wszystkie był — mój Boże! —
Jak liść na drzewie jakiemś, jak rogoże,
Jak człek, co w nocnych trudach się wysila,
Jak kości ludzkie, które zjada morze!

Tam między ludźmi pewnie zima: słyszę
Przez złote kraty bram, jak w nocną ciszę

Wichr szumiącemi skrzydłami uderza,
Jak gdzieś po szybach znaki deszczem pisze.

Jeźdźcy ze zimna przyspieszają biegu;
Lasy i drogi pod brzemieniem śniegu;
Gromada dziewcząt, rozśpiewana, świeża,
Przędzie, podobna do lilij szeregu.

W rozlanej cieniów i zapachów fali
Dusza się moja w wszystkich zmysłach żali;
Noc piersi moje swym oddechem parzy,
Na mą bezsenność sen spogląda z dali.

Tam, gdzie wyrasta pasmo wzgórz ponure,
Gdzie morskie drogi pną się popod chmurę —
Wszędy śmierć widać, a sen na jej twarzy
Rozwiał swe włosy. Tam swych ust purpurę

Zlewając wzajem, leżą kochankowie;
Owocu życia słodkie chłoną zdrowie,
A mnie głód trawi i pożera spieka;
Że zna ten owoc, warga ma nie powie.

Słodki-li owoc mego pożądania
Tej, co się wargą na wargę mą słania;
Jak kwiat na kwiacie, tak ci jej powieka
Na jej źrenicach leży, gdy, z kochania,

Moja na moich niby żar na żarze.
I tak leżymy, nie jak z Śmiercią w parze
Sen, śród całunków, oddechów rozkoszy,
Nie jak przy żonie mąż, w słodkim rozgwarze

Miłosnych zaklęć, gdy ona pieszczoty
I swe całunki zamienia w tęsknoty
Nienasyconych ust, gdy żądza płoszy
Żądzę, a w oczach płacze uśmiech złoty —

Nie! jako dusze leżym, w dawnym czasie
Stracone za to, że były w jej krasie
Rozmiłowane; z wargą na jej oku,
Bez trosk, zasnąwszy, usłyszały zasię,

Jak syki wężów w jej włosach szeleszczą!
Korzenie czasu zlewa krew ich, deszczom
Równa; z ich kosci, nerwów, z krwi potoku
Ona ból stwarza, dan rozkosznym dreszczom.

W kwieciu skąpane jej komnaty, w woni
Róż; a ten pas jej, dyadem na skroni,
Naramienniki, pereł rząd olbrzymi!..
Swą stopą wino umarłych na błoni

Śmierci wyciska... W nawach jej kościoła
Żądz się niesytych spopielają zioła,
Słodyczą miodu w jej ustach się dymi
Miłość spalona! Lir tęsknota woła

Głośno w jej uszach; jej łoże to głuchy
Dźwięk; jej portale — muzyka; łańcuchy
Z śmiechów, łez, jęków zamykają bramy —
Z łez, co w swej kaźni silne więżą duchy.

Tu legł Adonis, zabity; w kajdany
Z ciała i krwi go zakuła; krajany
Srogą jej wargą, krzykiem krwawej plamy
Krzyczy w jej uszach ten rycerz wybrany.

Zabija wszystkich, prócz mnie, co ku tobie
Lepić się muszę, miłości, w tej dobie
I aż po koniec wszystkich dni, aż morza
Wstrząsną się źródła, aż świat legnie w grobie —

Mnie, com jest dusza najbardziej upadła
I zapomniana, którą sycą jadła

Wzdyć niesycące, dla której w przestworza
Śmiech ślą płomienny piekielne widziadła!

Ach! twoja piękność!.. Gorzką jest mi dusza
Przez ust twych słodycz; me ciało się wzrusza,
Drży, niby woda, ni płaczących ludzi
Serce, co patrzy, jak ból je rozkrusza.

Gdyby-ż mi zgniotła dłoń snu zróżowiona
Owoce śmierci na uściech, a ona,
Śmierć, gdyby-ż chciała — niech ją Bóg pobudzi! —
W słodki sok dla mnie snu rozdeptać grona!

Dla dni niewiele uciech się odmieni,
Lecz się zmieniają melodye przestrzeni,
Gdy z strun jej drżących wiatr dobywa granie;
Smutki spiewają w dróg rozstajnych cieni.

Dzień tu rozdwaja dzień i noc tu dzieli
Noc; w mych się oczach mrok, by jasność, ścieli;
Dla ciebie, nie wiem, czy jest ciemny, Panie,
Ten strop, czy złotem światłem się weseli.

Tak! jakby na mnie spadła ciężka kula
Grubego piasku, co morze zamula,
Stężały we mnie wszystkie krwi przewody —
Nie zdrój, lecz bagno serce me otula.

Głód mam febryczny w żyłach; przed godziną
Widziałem pierś jej to białą, to siną,
Kiedym jej słodkie wyciskał jagody,
Teraz — me ślady jakżeż prędko giną!

Spali me usta — już się dotknąć boję!
Ty wiesz, o Panie, jakie gorzkie zdroje
Krótkiej rozkoszy grzech nam daje; Boże,
Jaka w tem słodycz, wiedzą moce twoje!

Jest-ci to grzech ten, który dusze wali
W otchłań?.. Jam przecie wierzył, że ocali
Moja się dusza, nim ją stopa zmoże
Obuta w rozkosz, która ogniem pali.

Kiedy ma dusza chwyta dech, przez mury
Śmierci żelazne spoglądam w ponury
Przybytek piekła, gdzie koniec miłości,
Gdzie bolu tylko nie milkną tortury.

Tutaj królewskich widzę nagość twarzy
I śpiewających przy lutni pieśniarzy;
A przyjaciołmi tych nieszczęsnych gości
Grób i robactwo, któremu tu płaży.

Tu są rycerze silnych rąk; tu ninie
Siedzą zielonych, plennych ziem kniahinie,
Zbladłe, zczerniałe, w proch strącone szary,
Bez szat, li pyłem okryte. Tu ginie

Wszystko; tu każdy na wieki przeklęty;
Nadzy i smutni, piją tylko męty
Z winnic rozkoszy, które im do czary
Wygniotły stopy z ognia. Niepojęty

Widzę tu urok warg, srogiego własta,
Który narody poraził i miasta;
Przez nią dziś ogień więzi je piekielny,
Przez nie dziś dla niej żar piekieł wyrasta.

Tu od lotosu słodsza siedzi pani
— Za jej całunek świat rzucono w dani —
Ze złotą żmiją u piersi; tu dzielnej
Semiramidy blade usta rani

Krwawa czerwoność ostatniej pieszczoty —
Usta, rozwarte, jak, z żernej ochoty,

U tygrysicy; włos jej, niby grzywa,
Ciężki, w kosztowne zapłecion klejnoty.

Tak! czerwień grzechu błyszczy na ich twarzy,
Lecz z moim żaden z grzechów się nie zważy —
Z tych, dzięki którym winną się okrywa
Pianą tłokarnia... Z innych jam żniwiarzy,

Wybraniec Chrysta jestem, rycerz Boga,
A nie poganin ślepy, co, gdzie droga,
Nie wie: czas dla mnie już przeminął mgławy,
Boju nastała chwila jasna, błoga.

Czuję dech bitwy, słyszę szczęk oręży,
Trzask dzid i łuków; widzę, jak się tęży,
Jak tańczy w rękach święty miecz; śród wrzawy
Rycernych szyków, śród złotych pawęży

Jak się przeciska dźwięk, jak blask przewija,
Niby ta cudna srebrnogłowa żmija,
Co, tchu łyknąwszy, pręży się i tuli,
Giętka, by warga, gdy się w wargę wpija

Pocałunkami; miecz mój, jak me oczy:
Błyszczy ich ogniem, skry płomienne toczy,
Ciemne, czerwone, blade, jak koszuli
Śmiertelnej połysk; szermierz we krwi broczy,

Oddycha żarem, surowo się śmieje,
W twarzy mu płoną zwycięskie nadzieje,
Puls rozhukany tak, że go ogłusza,
Serce z radości skacze w tę zawieję

Dajcie pomyśleć chwilę!.. Wiem, to sprawy
Błogie — przed laty!.. Dziś ich błogość w łzawy
Zdrój się zmieniła — tak! dziś płacze dusza!..
Lat dziesięć mija, gdy Ren niebieskawy

Szumiał pode mną błękitnemi piany;
Wiatr kołyszący winnice i łany
Traw, do mej krwi się wdzierał z swą rozkoszą,
Przenikał ciało, któremu nieznany

Świeży był powiew; pędziłem po błoni
Sam, precz od ludzi, zakochan w ustroni;
Patrząc, jak cugle kładą się i wznoszą
W rytmicznej pieśni, z dźwiękiem ich harmonii

Pieśń mą zlewałem, aż jej rytmów siła
Przeszła w żelazo; a w tyle pędziła
Trójka mych wrogów między mną a słońcem —
Wilków to białych moc się rozwścieklila.

W barwnych kubrakach leżą, wraże płody;
Jednemu z łotrów włosy ryżej brody
Krwią poczerniłem, uradowan końcem
Jego żywota: już do mej zagrody

Nocą nie wróci!.. Jakaś białogłowa,
Którą on biłby, tonie w łzach... Bądź zdrowa!
Po łotrach pjanych szkoda twej żałoby!
Zresztą — twój żal się długo nie dochowa.

Gorzka ta miłość, w troskę przebogata
We wszystkich krajach; ręce kurczem splata,
Jęk z serc wyciska, łzy z ócz, kopie groby — —
Stygmat na skroniach nieszczęsnego świata,

By trądu znamię na czole człowieka,
Co śladem pyłu i krwi precz ucieka
Do swojej nory; jak truciznę żmija,
Wzdyć jadowitszą, gdy wonnego mleka

Zabójczych ziół się napije, tak wonie
Miłość rozsiewa w swym złowróżbnym gonie;

Miód tych zapachów przeciężkich zabija
Wszelaką duszę, gdy się schyli po nie.

Jako wędrowiec pośród leśnych chaszczy
Wraz się na zapach niezwykły ułaszczy,
Idący z pastwisk pantery, i zasię
W ślad jego śpiesząc, ginie w żarnej paszczy,

Tak i my, śpiesząc miłości tropami,
Która nas wonią jadowitszą mami,
Giniem od razu — by ów na popasie
Słodkiego zwierza: piekło jest przed nami!

Dzisiaj, gdy ciężkie umierają chwile
Jedna po drugiej, kiedy wspomnień tyle
Rośnie i rośnie, — dziś myślę o kresie
Tego wszystkiego, co nęci tak mile:

O końcu wojny, o długim pokoju,
W liście zdobiącym czoła pełne znoju,
O tem, jak szczęk się po turniejach niesie,
O letnich pieśni rozśpiewanym zdroju.

Miłości-m śpiewał nieznane mi moce:
„O, w jej uśmiechu większy wdzięk migoce,
Niż w Magdaleny łzach lub drobnem piórze,
Co padło z skrzydeł gołębich, sieroce.“

Śpiewałem „uśmiech, co całunek kradnie,
Ból krwawych pulsów, rozkosz, która zdradnie
Rozwiera oczy oślepłe, te duże
Oczy, gdzie miłość swemi usty władnie;

„Usta, lepiące się do lic, aż one
Tym samym spłoną ogniem, rozpalone
Od pocałunów, co, zraniwszy, koją,
Zanim twe oczy zasną, uciszone

„Ofiarą“... Oto, com śpiewał... A dalej:
„Tu i tam miłość — wie to Bóg — się pali;
Ten i ów znajdzie w niej nagrodę swoją,
A ja com zyskał? Oto świat mnie chwali!

„Czczy to li powiew, który każdą z twarzy
Ludzkich swem tchnieniem bez wyboru darzy;
Listek wawrzynu-m zyskał — zmiąć go trzeba,
Nim się go wplecie we włosy pieśniarzy...“

I tak niejedną przegoniłem zorzę,
Czując, że spotkać mnie li smutek może;
Mijając zdroje, chłonące blask nieba,
Winnice, wiatrem kołysane zboże,

Docwałowałem na Horsel. Przez liście
Bzu olbrzymiego bujne-m ujrzał kiście
Traw — w trawie Ona! Szła naga, z włosami,
Spływającemi do kolan rzęsiście.

Szła pośród kwiatów i śród traw, wspaniała —
Wszystka jej krasa tuż przede mną stała,
Uroda członków, która grzechem mami,
Grzechem, niestety! panem mego ciała.

O tak! niestety!.. Smutek wszystkiem włada...
Ty, ust posępny pocałunku! Blada
Wyrasta z ciebie żałoba i męka!
Wy, piersi! Troska przy was się układa,

Od pocałunków czerwieni czerwona!
Ślepą jam wargą szukał twego łona
I wraz mnie dusić poczęła twa ręka,
Kark mi ścisnęła kosa rozpleciona!

Tak! wielką rozkosz zrodziła mi tłusta,
Przeżyzna gleba grzechu! Wstań! me usta

Zamknij całunkiem, by zmilkły! Postradał
Zmysły, kto słyszał, jak słodką rozpusta!

Lecz wnet zwątliły mnie płone komnaty
I szept leniwych godzin, i skrzydlaty
Gołąb daremnie dziób mi w usta wkładał —
Miłość bezpłodne rzucała mi kwiaty...

I spojrzał na mnie Bóg, gdy w ciepłe ręce
Brałaś mą szyję; ulżył strasznej męce,
Z duszy zdjął więzy... I ruszyłem dalej,
Jak nagi ślepiec, którego dziecięce,

Stargane zmysły łowią płacz i śmiechy,
Lecz, zkąd i czemu, nie wiedzą; pociechy
Spragniony, tłumnej dopędziłem fali —
Śpieszą do Rzymu, by zmyć z siebie grzechy...

Jechałem razem, milcząc; snadź mnie wiodły
Czary po drogach krzyżowych — tak bodły
Blaski słoneczne me oczy; zdumiony
Słyszałem śpiewy pielgrzymów i modły.

Przed nami białych wzgórz przeklęte łęgi
To opadały, to rosły, jak kręgi
Piekieł, widzialne temu, co opony
Mroku dostrzega wśród świetlnej potęgi

Dnia; — szatan wydął te szczyty tchem burzy
Swojego gniewu; mimo to, w podróży
Przez śmierć i piekło, dotarliśmy wreszcie
Aż tam, gdzie grzesznym litość Boga płuży —

Do Rzymu... Wszyscy padli na kolana
Przed tym, któremu, ni Bogu, jest dana
Moc świętych kluczy; na wszystkich w tem mieście
Spłynęła przezeń łaska ze krwie Pana.

I ja ukląkłem, mówiąc: „Chrystusowa
Krew wielce słodka, lecz mocy nie chowa,
By zmienić skórę pantery, murzyna
Wybielić ciało... Chyli się ma głowa,

„Bom wielce zgrzeszył! Plułem w lice Boga,
Więc dla mnie rózga Jego bardziej sroga,
Dłoń Jego cięższa, w oczach mych zaczyna
Krwawiej się mienić Jego płaszcz... Przemnoga

„Liczba przewinień moich, więc i piekła
Żary siedemkroć gorętsze“... Tak rzekła
Ma warga przed nim. Zapowiedź mi łaski
Dał, lecz otucha z niej mi nie pociekła.

Ha! prawie nie wiem, żem to rzekł... Gdy zwarły
Usta się moje, słyszałem — tak zmarły
Przed chwilą człowiek słyszy piekieł wrzaski —
Jak mi się w duszę straszne słowa wżarły:

„Póki pastorał ten, pozbawion liści,
W kwiat nie porośnie wonny — bez zawiści
Mówię-ć — nie szukaj ty litości bożej!
Prędzej zbawienie twoje się nie ziści.“

Tak! jeśli nagie pnie zakwitną wiosną,
Ma coś być tem, czem nie jest? W przeradosną
Gałąź gdy suchy ten się kij przetworzy,
Dobre-ż owoce z grzechów mych wyrosną?

Nie! choćby owoc zeschłe dały kłody,
A morze w słodkie zmieniło się wody,
Na pniu tym martwym, na mej grzesznej duszy
I na mem ciele, liść nie wzrośnie młody.

Oddźwięku tutaj Bóg się nie dosłucha,
Na Jego dźwięki dusza moja głucha;

Niechaj On wszystkie we mnie żyły wzruszy,
Miłość li znajdzie, której obcą skrucha...

Smutny wróciłem do dom, niezbyt wiele
Niosąc pociechy, a oto wesele
Miłość mi daje, piękniejsza od Boga,
Serce mej duszy, przed duszą na czele!

Piękna — li dla mnie, piękna, jak w godzinę,
Gdy, naga, morską rzucała głębinę;
Ogniem płonęła rozpieniona droga,
Gdy ten kwiat ognia brnął przez fale sine.

Wzięła mnie w uścisk; tak się z wargą moją,
Jak dusza z ciałem, te jej wargi spoją,
Lubieżnym pełne uśmiechem; gorący
Letnich południ zapach dan jest zwojom

Sypkich jej włosów — ziem dalekich wonie,
Które królowie czarni, kiedy spłonie
Żądzą rozkoszy duch ich kochający,
Depcą na kwietnym miłości zagonie...

Trwóg zapomniałem i zgryzot; daleki
Od wszelkich modłów i dziękczynień, spieki
Kraśnej jej twarzy czułem, co żądliwie
Przylgnęły do mnie, jak płomienne rzeki

Ognia, chłonące ciało i odzienie —:
W takim się ogniu na wieczny przemienię
Płomień, gdy umrę... Cóż z tego? Nic żywie
Ten, komu obcem jest to żarne tchnienie.

Jakiż się żywot zrówna z twym żywotem?
Poznać, miłości, gorycz twą i potem
Być odepchniętym przez Boga! Ach! komu
Jest to nieznanem, czyż się z szczęściem złotem

W pustych niebiesiech, przed bożem obliczem,
Spotka? Największa rozkosz będzie niczem
Wobec rozkoszy, którąśmy w tym domu
Ciężkiego serca mieli, świętym zniczem

Umarłych godzin żyjący!.. Po granie
Trąby, choć ciało z duszą się rozstanie,
My nierozdzielni! Trzymam ciebie dłonią,
W mych oczach woli twojej panowanie.

Ni pieczęć, z wszystkiej przylepiam się mocy
Do ciebie, skryty przed ludźmi, aż z procy
Boskiej świat legnie, gdy nad morza tonią
I ponad lądem zagrzmią trąby nocy...



EXPLICIT LAUS VENERIS.





Edward Okuń. PORTRET.



Z LEGEND POLSKICH.

POKÓJ

LUDZIOM DOBREJ WOLI...

Sioło drzemie cicho w skwarze południa, w jasnych łanach ozimin, śmigających ku słońcu świetlistemi źdźbłami.

Przypadli na miedzach strudzeni oracze, na pastwiskach uśpione pasterze, nad wiślanym brzegiem w łozach wikliny posnęli rybołowy.

Spoczęły poważnie zbożne woły, uśpiły się jagnięta, bociek na łące ukrył głowę pod skrzydło i drzemie stojąc, nawet wysoko w pobladłym od skwaru błękicie, przycichł skowronek.

Ustały radła i sochy, nie ciągnie pług, nie skrzypi zamknięty kołowrót osady, ni żóraw studzienny, ni kijan-

ki nie biją na rzece, ni zastukota warsztat tkacki.—Upalna cisza nad wsią i nad łany — jakby siwy sieje mak...

Jeno z zapadłej chałupy za wsią, o poszarzałej strzesze, tonącej w różowym woni obłoku,— z wonnego mroku, z rozkwitłego sadu — dochodzi furkot jaworowego kołowrotka i pieśń dziewczęca, a jakby słowicza:

— ... Zapomniała wiosna — czem to zima miecie... gdy rzuciła krosna — na zielonym świecie...

Przez polne rozłogi szarak w skok pomyka, spłoszony własnym cieniem, co mu od długich uszu padł na ziemię, — w zielonej ukryć się dąbrowie — —

Same tam dęby, witezie i woje sławne żyją i władną, — kłoni się przed nimi, za lada powiewem, poszycie ziół wiotkich, traw upojonych słońcem — szczęściem, — co z pośród liściastych konarów, jak z hojnych sypie się dłoni.

Groźnie, poszumnie, hardo zatoczyły dęby pląs bojowy, pląs miłosny, przed bławatkowemi oczyma pokornych, białych pól, szarych nizin i rozłogów.

Przyjdzie lato miłościwe, w mszystych wyrwach rozpłoną jagody jak pocałunki — dziki, jasny chmiel opląta wojów kolana, maliny pieścić będą różowemi usty —

Teraz jest wiosna, dziecięctwa ledwie sny, kwietniowe przebudzenia...

We wnętrzu dąbrowy mała polana, chramiszcze dziewczęcej czystości. Dęby wokół czołami nad nią się kłonią, ze czcią patrząc w głąb':

Na podłożu czarnego torfowiska, ścielą się mchy wytworne, niewysłowionego rysunku, głębokiej, cudnej zieleni. Z wiecznego cienia poczęte źródło sączy bez przerwy przeczyste krople — nieutulonej tęsknoty łzy wzbierają w czarnej mchów żałobie...

Brzegami ścielą się szeroko subtelne dzierzgania konwaliowe. — —

Nad źródłem słup drewniany w ziemię wbity, zmurszały, omszony, — na nim półboga wizerunek żywy, pięknie wyrzezany z drzewa: Jarz, goniec wiosny. Wokół łagodnej, pociemniałej od jesiennych słot twarzy płyną rozdzielone i umuskane świeżo kędziory lnianej przęślicy, równo nad czołem przycięte, a między nie plączą się bicze cudnych bursztynów i ciemnych widłaków wieńce długie...

U stóp drzewca, jak spryśnięte na obiatę krople mleczne, bielą się konwalie, nieziemskie, jak baśń, mleko duszy.

Dalej mży gaj młodych brzózek. Rozpuściły do kolan majowe warkocze, słońcem złocone, słowianki rzewne, — kryją strumieniami najświeższej zieleni ciała gibkie, drżące w mlecznej nagości swej, — a może tylko sine i czarne przepaski, znamiona niewoli...

Drzewa te chadzały ongi po świecie szerokim, kędy zachciały, — tańczyły na lotnych, drobnych piaskach dróg i na słonecznych polanach w majowe święto,—a z ludźmi żyły jak z bracią. Raz, na sioło pogodne spadli niemce chmurą gradową, siną, — i kosbę zrządzili krwawą, i powiązali lud zdradą niby snopy pszenne, dorodne, i jak więzie chrustu powlekli niemocne — na zatracenie! Wtedy brzozy owe z litości wielkiej pobladły gdyby gzła,—a w trwodze, by i ich Niemce nie zagarnęli i nie oderwali od matki-ziemi, wrosły w nią korzeniami żywnemi, a z żałości serdecznej nad śpiewnym ludem bratnim, w niewolę wleczonym, przybrały mleczne te siostry — stygmata sine, kajdan obręcze...

Ku onemu chramowi dziewczęcej czystości, środkiem onego biało-złotego gaju brzóz, — idzie zwolna dziewczyna słowiańska.

Smukła, bosa, w długiej, szarej, przewiązanej z płótna koszuli, — stąpa jak po krawędziach snu...

Dokoła jej ślicznej postaci roznieca się światło — główki brzóz kłonią się przed nią, słodkie służebnice — a wokół milknie wszystko — w oczekiwaniu... ale ona o tem nie wie...

Ramiona ma na piersiach złożone, jak skrzydła wróbla lichego — wzdłuż włos półciemny płynie — półwidne źrenice ślepotą cudu zasnute — —

Na przymkniętych jej powiekach świeżość rosy, ale w łuku jej boleśnie zfalowanych brwi — zestrzelone twórcze, nadludzkie — wieków marzenie!..

Stopa jej bosa stanęła znagła na mchów wilgotnych żywy chłód — i cofa się wraz w obręb gaju, na słońcem wygrzane, różowe macierzanki wzory.

Zarazem podniosła oczy...

Nieziemską głąb', wilgotny blask szarego zmierzchu — straszliwy ból, mieniący się w fiolet tęsknot zaświatowych — — —

A w głębi chramiszcza drgnął wizerunek z drzewa ciosany. Wywikłał się z wieńców bursztynu i widłaków — białosukmanny, młody — mając u pasa zwieszoną gęśl śpiewną, na czole światłość przyciętego włosa, co zaś niestrzyżon płynął na ramiona, na świtę lnianą...

Szedł ku niej, żywy pół-bóg wiosny, Jarz cudny, goniec Pra-boga do ludzkich serc, — szedł stopami bosemi, wyrzezanemi z drzewa — przez mchów żywy chłód — —

Ją zgięła cześć i lęk — a przychyloną pod brzóz szemraniem i gędźbą — owiało białym, świetlistym obłokiem święte ono zachwycenie i ścmił ją słońca złoty siew...

Ponad, w przysłonecznym świecie, szedł wieczny siewca przez role nowizną — i szerokorzutnym gestem błogosławiącym — rzucał ziarna wieczyste w dziewiczą glebę — — —

A on wysłaniec Pra-boga, stanąwszy przy dziewczynie, przemówił głosem nad gęśl łagodniejszym:

— Marzanno...

I dotknąwszy jej ramienia witką rozkwitłej wierzbiny — zwiastował jej...

Sioło drzemie w cichych opłotkach, zakopane w śnieżnej kopanicy.

W łozach wikliny, i aż pod kołowrotem osady, plączą się głodne wilczyska, o zapadłych brzuchach, ze świecącemi jak kaganki ślepiami.

Księżyc ogromny drży nad wsią, — nad przygiętemi śniegową płachtą strzechy chat, — nad skostniałemi widmami drzew, skarżących się nagością swą, — nad jękiem głodnych wilków płaczących krwawą łzą, — nad trwogą jagniąt, straszonych ich wyciem, — i nad błędnemi głowy, straszniejszych nad wilki, trzech krwawych zbójców, pomykających lasem, — i trzech królewiczów, co wyjechali w świat, przed oczy, na poszukiwanie ludów i krain wedle serca swego.

Sędziwy kneź-tkacz, przechadzający się po niebieskiem włodarstwie swem, przyszedł nad las śpiący w śniegu, i wnet jął snuć bisiory od srebra kapiące i plątać w nie las, w białe przędze owity, przenikać w ukryte ścieżki i polany, czyniąc zeń bogów godną gontynę, przebłękitnioną i nieziemską, — jak marzenie jednej słowiańskiej dziewczyny...

A ta dziewczyna — na śniegu padolnym leży, żelaznemi szpony mrozu i nędzy ujęta, w ciemność rzucona, jak ścięta lilia polna — —

Liczko kwietne wsparła na przydrożnym kamieniu lichym, oczy ma zamknięte, jak ptak, co z mrozu ginie, — kiedy przyszedł kneź w lisim kołpaku i umiótł nim mrok z pod jej stóp — i potrząsnął las garścią litych blasków, i rozesłał środkiem srebrnolity gościniec.

Wnet w czystem, mroźnem powietrzu zarysowało się z osobna każde drzewo, osypane kwieciem białego śniegu, i rzuciło długie cienie pni, i misterną plątaninę gałęzi, na ziemię pobieloną, iskrzącą się szronem.

Pod gliniastem urwiskiem, zatrzymanem, ni to szponem orła, trzonem sędziwego dębu, co tu wrósł i władnie śmierci się oparł, — w wyrwie spłukanych korzeni, pastuch jakiś sklecił łepiankę, — którą światło księżyca na jaw wydobyło.

Od strony biednej tej szopy, szedł śpiesznie, raczej wlókł się ostatkiem sił, drepcąc i potykając się, starowina jakiś, cieśla ubogi, który jedyny uwierzył w zwiastuna i w marzenia Niepokalane Poczęcie, — który rozciągnął opiekę nad tułaczą dziewczyną — i towarzyszył wygnance w pole szczere, w świat, za oczy.

Zaskoczyła ich w drodze zamieć śnieżna, błędnica, i stargała łachmany ubogie, i aż do kości zębem lodowym się wpiła — a dziewczynę cisnęła na śniegi, jak ściętą lilię polną — — —

Stary cieśla poszedł w las beznadziejny szukać lada jamy wygrzebanej przez liszki — — Daremnie!

Aż, w świetle miesiąca, objawiła mu się nagle ta szopka uboga, — więc śpieszył, śpieszył... gdzie opuszczona dziewczyna legła czołem na białym kamieniu.

Teraz ujmował ją troskliwie, trzęsącemi się, starczemi rękoma — i przygięty, niemal złamany w pół, przydźwigał bezwładną do zbawczej szopy, gdzie chuda krowina i osioł ustąpiły miejsca sierocie na miękkiej mierzwie i ogrzały ją dobroczynnem ciepłem swych ciał i oddechów.

Na pociemniałem, pogłębionem tle nieba, rozstąpiły się bure obłoki, obnażył lazur przeczysty, i wykwitł pąk dziewiczy, — roztulił kielich, spojrzał szafirów źrenicą, omgloną gdyby gloryą łez, — coraz większą, coraz szerszą, jak kręgi na jeziorze, gdy z wnętrza wód lilia się rodzi.

Poniżej zabieliły się chmurki, białawe, lekkie, jak runo jagniąt, biegnących chyżo, by się skupić w stadko, i znowu rozbiedz po niebieskiej łące.

A najczystszy promień nowonarodzonej gwiazdy padł pod próg szopy, gdzie niedostrzeżony, bo nędzny jak pył, a mierzwą nakryty, legał Maciuś, głupim zwan, a przeto wyzuty z dziedzictwa ojców i z działu ziemi.

Biedota taka, zwyczajnie, pod korzeniami dębu szopę sklecił i tam się chronił z krową żywicielką i osłem — bratem.

A przecie promień niebieskiej gwiazdy prościuteńko przeniknął przez konopiastą Maciusiową czuprynę, aż w głąb' czaszki, do źródła myśli, zasypanego kamieniami i zaniesionego namuliskiem a szutrem.

Zbudzony — podniósł głowę i szparą pod progiem ujrzał wnętrze szopy zalane światłem różowem jak zorza, bijącem od maleńkiego ciałka, które Marzanna składała w jasełkach na sianie, pod straż dwojga bydląt, liżących je litośnie szerokiemi, ciepłemi językami...

Co gdy nie ujrzy głupi Maciuś, uczuł taką radość, że mu aż dech zaparło, a powstawszy, pomyślał najprzód, jako bracia jego — co go się wyparli, a w las wyżeni — nic nie wiedzą. Więc powstawszy, jął pędzić na przełaj ku wsi, nie bacząc ani na strach, ani na zimno i lichą swą katankę, ani na wilki srogie, ani na zbójców krwawych, o których wiedział, że krążą po pustkowiach, — jeno biegł wieścić ludziom — dobrą nowinę!

A tu za światłem, co z wnętrza gwiazdy lało się, jak woń z kielicha przychylonej lilii białej, wprost na szopę, ukrytą pod korzeniami dębu, — czołgali się już w tę stronę wilcy, cicho wyjąc, z zapadniętemi brzuchami — i szli zbójcy krwawi z maczugami w dłoni — i zjeżdżali królewicze owi, którzy się zabłąkali w śnieżycę, a wyjechali byli szukać krain wedle serca swego,—a zwali się: Lech, Czech i Rus. —

Ale kołowali daleko i niemało, zanim naleźli drogę a gdy naleźli, to w progu szopy ujrzeli już zgromadzone sioło całe: starce-siewce, i pasterze, i oracze, i rybołowy ubogie, — w hołdzie kornym przed Marzeniem ludów wcielonem w Słowo. —

A pierwej jeszcze napotkali Maciusia-prostaczka, co pośpiał pierwszy, a teraz stał przed szopą, na rozstaju, z gołą głową, rozjaśniony cały, — i gładził po zjeżonych kudłach wilki srogie, co ze skowytem przypadły do ziemi

i do nóg mu się cisną, — i jagnięta zbłąkane, co tulą się do piersi wilczycom, jak matkom,— i głosił dobrą nowinę trzem krwawym zbójcom, nędznym, ponurym, okręconym w kupę łachmanów zgrzebnych, co poklękali na rozstaju obok swych maczug wbitych w ziemię, krwawemi roszące je łzami, — iżby wyzbyli z serca wszelkiej trwogi, albowiem wypełniła się obietnica między Słowiany — i Marzanna-tęsknota powiła Słowo-marzenie... i będzie odtąd pokój ludziom dobrej woli — i mir stanie między ludźmi i zwierzęty, między krzywdzącym i krzywdzonym, między panem i stworzeniem — — —

Słyszą to i widzą królewicze błędni, co wyjechali szukać krain wedle serca swego, — i pytają w skrytości ducha:

— Jest-li to ta?

Ale już najmłodszy, najbardziej pieszczony królewicz Lech zeskoczył z konia, a potrząsając puklami włosów światłych, ujętemi w pątliczkę złotą, bieży ku szopie, między oracze, międy pasterze a rybołowy, i przed Marzeniem wcielonem i przed dziewiczą ziemią rodzicielką — ugina rycerskie kolano:

— Lud mój i Bóg mój!..

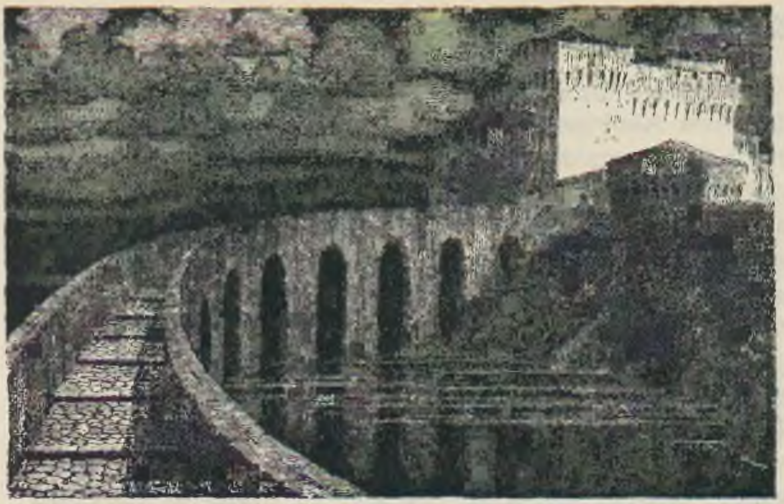
Co widząc, bracia — jako objął sercem tę ziemię — najmłodszego, najukochańszego uściskiem żegnali.

— Dzierż a króluj we sławie!

A Lech spojrzał władnie na krainę miłą i na niebo.

A na niebie — one runa białe — nie runa trzód polnych, jeno anielskie niezliczone ćmy — wzlatują i kreślą gdyby rozpięty jasny kontur orła — a nad nim łzawa gwiazda koroną lśni...

Ewa Łuskina.



ODDALEŃCY.

WOBEC MORZA.

Rybacy, którym połów nie udał się złoty,
Zdala od mórz zdradliwych i brzegów ponętnych,
Wszelkiej głębi naprzekór — z sieci obojętnych
Rozpinają na puszczy błękitne namioty.

— „Marny ten, co, przypływów chłonąc niewyśpiewność,
„Wierzy, iż sieć jest siecią, a połów — połowem!..
„My — zbadawszy istnienia dwuznaczność i zwiewność —
„Z sieci namiot uczynim pod niebem jałowem.

„Namiot — bezużyteczny! Lecz w rozwianej grzywie
„Jego fałd, zbytkowniejszych nad wszelkie istnienie,

„Przepych nudy — wyzłaca swe czary i cienie!“ —
Tak się owi na puszczy chełpią niechełpliwie!..

Oddaleńcy! Raz jeden zbłąkani wśród szlaków,
Już się nigdy nie zbliżą do własnej oddali!
Nikt w nich teraz nie pozna wesołych rybaków,
Zwinnych nurków, rabusiów pereł i korali!

Jak pieszczochy przeznaczeń, których nic nie cieszy,
Drwią z gwiazd morskich purpury, z mew bielszych od mleka,
Żagiel, burzą wydęty, tylko ich rozśmieszy,
A szum fali przypomni, że czas się przewleka.

Przewleka się zabawnie, dziwacznie, misternie
Po najwiotszej gałęzi, po najcieńszym cieniu...
Zbliż się do nich, zawołaj tylko po imieniu,
A, jak ślimak swe rogi, pokażą swe ciernie!

Lecz nocą sen, płonący każdemu ku chwale,
Da im pić z tego źródła, zkąd nie pili zrana...
Wtedy warga ich blada, snem ucałowana,
Wyrzuca szepty-perły i jęki-korale!

Jadowita a szczera tego snu ułuda
Tak im duszę przez usta dobywa boleśnie, —
Roniąc perły, korale — śnią, jak morskie cuda,
Którym dano być sobą na chwilę i we śnie...

ICH OBLICZA.

Ich oblicza — to pisma tajemne, wstydliwą
Treść smutku skrywające w niewidzialnym wsiewie.

Dość je ognia szkarłatną podrażnić pokrzywą,
By — sparzone — zjawiły swych liter zarzewie!

Wtedy, zbrojąc swe oczy miłości rozsądkiem,
Można czytać je w świetle księżyca lub słońca,
A że koniec nadziei — jest zgrozy początkiem,
Więc najlepiej je czytać z uśmiechem — od końca!

Jedni, na dzień zaledwo mając zasób miodu,
Wyszli w podróż na długich lat tysiąc, jak bogi, —
I, wypiwszy miód do dna, w poprzek własnej drogi
Pokładli się, bezsilni od strachu i głodu!

Drudzy na winobrania chwilę umówioną
Spóźnili się o całą niedomówień dobę,
Gdy już ścięto owoce i nie zostawiono
Nic, prócz wiatru, co ziewa na pustki żałobę!

A innym, co się z losem pogodzić nie mogą,
Pieśń na wardze skonała, tak dobrze zaczęta!
Więc nie chcą taką wargą całować nikogo
I — chmurni — omijają zdziwione dziewczęta...

A są jeszcze i tacy, którzy w noc i słotę,
Nie dobrej — lecz najlepszej czekając Nowiny,
Wykrzesali z dusz głębi skry dziwne i złote,
Oprócz owej najzłotszej, naprawdę jedynej!

Tych dusze — to wróżbiarki, co w księżyca pełnię
Z sennika wypatrują zjaw, swemu podobny,
Ten sam prawie z pozoru, tak samo żałobny,
Lecz zawsze tylko — prawie, a nigdy — zupełnie!

POŚPIECH.

Gdy zorza do poddaszy czatowni nadchmurnej
Z poza kraty szyb błyśnie, jakoby z za krzaka,
Ich mieszkaniec, dla nizin podobny do ptaka,
Opuszcza swój gołębnik wyniosły i górny.

Gnany złudnych pośpiechów natrętną ostrogą,
Która dzwoni wesoło, a krwawi boleśnie,
Biegnie w świat, że mu w szybie zapłonął, jak we śnie,
Kłamiąc oku skróconą w szyb ślepocie drogą...

Zda się, iż o tej właśnie, a nie innej porze
Dano mu, badaczowi swej własnej mitręgi,
Stopą, ścieżyn igraszką, wbiedz na widnokręgi
I całym widnokręgiem zawładnąć w przestworze!

Po skałach urojonych, wśród marzeń rozłamów
Zbyt pośpiesznie się skrada, zbyt trwożliwie płoni,
Jak kochanek przed schadzką, lub podpalacz chramów,
Mdły ogień unoszący w półcieniu swej dłoni...

Dokąd spieszy wieczorem on, co nawet w nocy
Nic niema do szepnięcia, nic do podpalenia!
Czy do chłodów ołtarzy? czy do zórz olśnienia?
Czy do zdrojów miłości, wrzących od niemocy?

Nie! on niegdyś, snów pierwszych złudzony jałmużną,
Ujrzał siebie gdzieś — w ledwo stworzonym zaświecie,
I teraz niespokojny, raz jeszcze, napróżno
Sam do siebie się spieszy! Wy mnie rozumiecie?..

KLĘSKA.

Na jeziorze zatańczy niedoblysk miesiąca,
Pół wiatru w las uderzy, drugie pół — w dolinę!
A ten, co nie chciał zemdleć od marzeń gorąca,
Wstąpi nagle pół-duszą w tych marzeń krainę.

On tu królem z wyboru! Czemuż tak niepewny?
Czy rdza berło mu zjadła? Wszak tu — jego trony!
Zapragnie — a na puszczy, piaskami strawionej,
Tryśnie ruczaj — gwiazd łowca — głębinami śpiewny!

Skinie — a żar upojeń, mocniejszych od wina,
Rozpłonie w srebrze kości i w krwi jego złocie!
Szepnie — a najpiękniejsza z umarłych dziewczyna
Zbudzi się, by go w tajnej kołysać pieszczocie...

Rozkaże — a wzniesiony nad padoły senne
Taniec widm samowzlotnych — serdeczny i hardy —
Zdepcze stopą zuchwałą — wraże, bezimienne,
Wzajem siebie w ciemnościach liczące miliardy!..

Lecz on — nawet w marzeniu — marzenia się wstydzi!
I dumny, że zaniedbał swych bogactw ogromy,
Choć go zdala olśniewa ich połysk widomy,
Udaje, że połysków takich — niedowidzi...

Jego bujne ogrody, szumiące mu chwałę,
Zbyt dawno zapuszczone, a niedość zaklęte,
Tracąc alej zawiłość i szumów ponętę,
Zapadają się w bagna, od westchnień nabrzmiałe!

Dość mu tylko rozkazać, zapragnąć lub skinąć,
By je zbawić! Lecz — drwiący, zimniejszy od głazu,

Choć rozumie, jak ciężko rozszumiałym ginąć,
Milcząc, patrzy na klęskę! — Nie daje rozkazu!

DLA LEGENDY.

Często wróżbiarz, co własnej nie wywróżył doli,
Nagłym skokiem na trwogę i bladością czoła
Skupia widzów, krwi żądnych, i szerzy dokoła
Postrach, niepozbawiony zgrozy i swawoli!

Cały w znakach piorunnych i piętnach zagłady,
Przed oczyma ciekawych obnaża sam siebie, —
I nagi aż do nieba, bezwstydny i blady,
Czuje się bohaterem, jak trup na pogrzebie!

Aktor, godny za widza mieć boga w niebiosach,
Choć sam wpada w wytrawne swoich guseł szpony, —
Marząc skrycie o rajskich zaciszach i rosach,
Z uśmiechem wyczekuje ostatniej zasłony!

Bo wie, że gdy na śmierci niebotycznych szczudłach
Przeskoczy ziemskich źródeł zwierciadła i kwiaty,
Pozostawi legendę, odbitą w tych źródłach,
O straszliwym rycerzu, co niegdyś, przed laty...

I dla niej, dla niepewnej, dla swojej dalekiej,
Że go może przygarnie — wiernego przybłędę —
Nie szczędzi niecnych trudów i dziwnej opieki,
I krew mężnie przelewa — za baśń, za legendę!

Bo ta siostra wieczności, kwiaciarka wspomnienia,
Gdy go w gmachu zaklętym na sen ukołysze,

Obdarzając istnieniem zdala od istnienia,
Da mu w jednym napoju — i tryumf i ciszę...

A zdzierając zeń ziemską powłokę obłudy,
I zdobiąc pierś rycerskiem złotem i żelazem,
Na ów cud go pasuje, ażeby zarazem
I był sobą i nie był! — O, cudzie nad cudy!

I kiedyś czyjeś usta, zbudzone ku wiośnie,
Szepną o nim na pamięć choćby jedno słowo,
Lub przyśpiew nieodparty, lub gwiezdną przenośnię,
Która duszę z wszechświatem spokrewnia na nowo!..

SCHADZKA.

Czy nie słyszysz, jak obłok porusza się senny?
Jak noc ciszą pogłębia dna ciekawy strumień?
A w alejach szeleści niepokój płomienny
Księżycowych powikłań i nieporozumień...

Śpiesz się, dziewczę, spragnione pieszczoty bezkresnej!
Śmierć i miłość zna tryumf umówionych godzin!..
Twój kochanek cię czeka od dnia swych narodzin,
Wierny tobie współtrwogą, tęsknotą — rówieśny!

Niech twe lico dla niego zakwitnie różowiej,
Niech osłabną ramiona, białych piersi stróże!
Burzą włosów upojnych marzenia mu owiej,
By miał w życiu tę jedną, niewrogą mu burzę!

Lecz nic nie mów o sobie — czemu tak nieznana?
Zkąd przybywasz i dokąd odejdziesz za chwilę?

I dlaczego twe nogi tak we krwi i w pyle,
Że całować je mało od nocy do rana?

Ani jego nie pytaj, dlaczego spotkanie
Tak opóźnił? Dlaczego oczyma nie śledzi
Twych oczu? I czy kocha? Bo wszelkie pytanie
Jest wrogiem mimowolnym własnej odpowiedzi!..

Milcz i całuj! — Milczeniem pieszczota się krzepi,
I niezgorsze wesele tkwi w dobrej żałobie!
Wszak nie można się kochać żarliwiej i ślepiej,
Jak tak właśnie: nic wzajem nie wiedząc o sobie!

UCZTA.

Nieco drwin i objawień i nieco bezczasu
W mroku czujnych podziemi — a uczta gotowa!
Tak się schodzi samotnych ciżba pogrobowa
Na obrzęd wspólnej ciszy, wspólnego hałasu.

Tu — w tem gnieździe, zbyt twardem dla piskląt porodu,
Każdy resztę swych braci wzrokiem niepokoi,
Aby zbadać, czy giną, jak mężom przystoi:
Nie bez szczęku zbroicy i nie bez powodu...

Ci, co wpośród ginących z wytrwałości słyną,
Lubią skrzydłem zaszumieć, jak czarty lub ptaki, —
I, ssąc wargą królewską bylejakie wino,
Zezem duszy pochwycić sen nie bylejaki!

Gdyż oto zachowali przebiegle za stołem
Puste miejsce w nieznacznem na pozór uboczu

Dla gościa, co przybiegnie z wieńcami nad czołem
I rozwidni podziemie błyskawicą oczu!

Znany w gronach aniołów z upojeń i śmiechu,
Tępiciel żmij na słońcu, wesela podczaszy, —
Szmer pokątny skinieniem swej fletni wystraszy
I przywróci dźwięk czysty wszelakiemu echu.

Znawca uczt doskonałych, przodownik marzenia,
Nie mogąc ucztujących odróżnić od chmury, —
Każe dzwonić kielichom godzinę zbawienia
I napełni je winem, starem jak lazury!

Lecz próżno, gdy ich wabi mgła widzeń słoneczna,
Nasłuchują, azali podwojów ościeże
Ze snów rdzawych zbudzone — skrzypną swoje: „wierzę!“
Gość nie przyjdzie — a uczta dla smutnych zbyteczna...

ICH SZATAN.

Ich szatan, utraciwszy święty zapał grzechu,
Lekceważy swe ognie trawiące i czary.
Niespodziane wybuchy nadziei lub wiary
Psują mu doskonałość sztatańskiego śmiechu.

Marząc nowe kuszenia i nowe chichoty,
Włóczy się, jak bez celu, ten łotr zadumany, —
I, jakoby księżyca niezmienne odmiany,
Trapi go myśl, krążąca dokoła tęsknoty...

Próżno szuka płomienia dla swojej pochodni
I barwy dość piekielnej dla świetnych sztandarów!

Chwiejność grzechu samego, trudny wybór zbrodni
Igra mieczem, wiszącym u boku zamiarów!

Więc wybrednie bezczynny, a pełen olśnienia,
Jak wniebowstępujący na wieczną weselność, —
Okiem, chciwie zmrużonem, z rozkoszą ocenia
Swych odświętnych wywczasów ochoczość i dzielność!

Bo w pazurach swobody, pozornie pastuszej,
W usilnem niewkraczaniu we własne bezedno, —
Tkwi niejedna tortura i piekło niejedno,
Godne nawet najbardziej nieśmiertelnej duszy!..

On wie o tem — ów śmiały wróg samego siebie!
I tem właśnie, iż wszelkich poniechał zabiegów,
Gotuje nowe męki dla nowych szeregów
Czcicieli kół zaklętych i pląsów po niebie!..

Na wzór mężnych serafów haftując swe szaty
Dzwonnem złotem tryumfów, — ten truteń obloczny,
Wsłuchany w swych upadków zwycięskie wiwaty,
Resztki nieba rad wyssać z kałuży pomrocznej!

Bo, w zmierzch piekieł zużytych wzierając niechętnie,
Śni idylle niebiańskie, a chytrze swe lice
Odmładzając w błękitach, — pradawną różnicę
Między sobą a bogiem niweczy doszczętnie! —

NIEZNANEMU BOGU.

Jednym — jarzmo kochania, drugim — nędzy brzemię,
A im — tylko modlitwa dumne zgina karki!

Szept, z piersi wyzwolony, ulata nad ziemię,
Jak motyl, co pamięta, że wyszedł z poczwarki.

Lecz, by z tłumem we wspólnem nie spotkać się niebie
I modlitwie samotnej ująć tego sromu, —
Wyciągają rąk sploty daleko przed siebie,
Do boga, nieznanego — zaiste! — nikomu.

Najwyższy, a pozornie najuboższy z bogów
Wzgardził tem, co widzialne, dostępne dla czusów, —
I nie stworzył pól szumnych, ni jezior, ni lasów,
I nie spoczął na złocie ołtarznych barłogów!

Hufy konnych aniołów snu jego nie strzegą,
Ni go poją kadzideł wonności i żary!
Nikt się nigdy — zaprawdę! — nie modlił do niego,
Nikt mu za nic dziękczynnej nie składał ofiary, —

Tylko oni, w modlitwie od wieków najpierwszej
Wzywają, aby zwolił w prześladowań święto
Zginąć śmiercią, co gałąź żywota zwichniętą
Krwawem kwieciem męczeństwa dostojnie zawierszy!

Trwożni nasłuchiwacze szmerów i półgłosów
Darmo się pochylają nad brzegiem otchłani!
Męczennicy, nadzieją ostatnią chłostani,
Nie mogą się doczekać należnych im stosów!..

Ale ów bóg, przed którym niewszyscy są równi,
Widząc ich w całej bólów brzydocie i pięknie,
Pamięta, jak mu tęczą bywali wysnówni, —
I jeżeli ma serce, — ono dla nich pęknie!

METAFIZYKA.

Kraina, gdzie żyć łatwiej i konać mniej trudno, —
Gdzie wieczność już nietajnie wystawa na straży
Trosk doczesnych, — gdzie bardziej jest bosko, niż ludno, —
I gdzie każdy za wszystkich nie cierpi — lecz marzy!

Są tu sady bez wyjścia, i groble, nad szybą
Owej rzeki wyśnione, co kiedyś wytryśnie, —
I niejeden tu pałac w zagąszczu ci błyśnie,
Godny tego, by nie był niczyją siedzibą!

Są tu w lasach mrowiska, wzniesione nad drogą,
Gdzie wre praca snów rojnych — odwieczna i bratnia, —
I jest tu owa cisza błękitna, ostatnia
Z tych, co jeszcze na uśmiech zdobywać się mogą!..

Tylko czasem na polu jakiś krzyż skrzydlaty
Wiatraka, mielącego mgły marzeń i ciernie,
Brakiem boga na sobie zlękniony niezmiernie, —
Szaleje i skrzydłami uderza w zaświaty!

Bywalec tych uroczysk, powabnych swym tronem,
Umie błysków najmniejszą wyśledzić nieznaczność, —
I w szczelinie pomiędzy istnieniem a zgonem
Dojrzeć gwiazdę niezgorszą, lub niezłą opatrzność...

Lecz się nigdy nie strwoży, rozumnie zbłąkany,
Bezkrólewiem w niebiosach, lub własnego cienia
Zgubą w jarach, — lub zbytnią łatwością zamiany
Jednych cudów na drugie. Niech cud się też zmienia!..

Jego tylko tu nęci niezwiedzona grota,
Lub kwiat jeszcze nieznany, lub muszla co rzadsza, —

I na wszelki przypadek wtórego żywota
Duszę swoją w te dziwy chętnie zaopatrza...

On tu przyszedł sam przez się, by własne szaleństwo
Karmić strawą najlepszą na ziemi i niebie, —
I nad brzegiem przepaści wytańczyć dla siebie
Jeden lek drogocenny lub niebezpieczeństwo!..

TA OTO GODZINA...

Zamarły róż okrzyki ku słońcu w wyżynie,
I lasów rozechwianych śpiew — o samym śpiewie, —
Szmer przykazań miłosnych w płomienistym krzewie, —
Wszystko nagle zamarło w tej oto godzinie!

A życie wśród zamarłych tak łatwo się płoszy,
Że samochcąc przelana domyślnym strumieniem
Krew własna — purpurowem jest tylko stwierdzeniem
Tego, co już się stało!.., O, stwierdzeń rozkoszy!

Twój wybraniec, dbający o cześć swej korony,
Na miecz ją w swoich ogniach przetopił samotnie,
I miecz, ostrzem ku światu tak długo zwrócony,
Zwróci teraz ku sobie — natychmiast, bezzwrotnie!

Lecz jarzma wyczekiwań nie wdzieje na szyję,
Nikomu nie zawdzięczy przepychu swej męki!
Choć życie przyjął z ręki jakiegoś: „Niech żyje!“ —
Śmierć — ów pokarm ostatni — przyjmie z własnej ręki!

Śmiało w ślepie zaziera szalonej ochocie,
On, co więcej zdobywa, aniżeli traci!

Niech mu dusza nie będzie leniwą w odlocie!
Niech się serce o jeden miecz jeszcze wzbogaci!

Bo może w tej godzinie, w tej najmniej zwodniczej,
Znajdzie w sobie godnego swej napaści wroga,
I, rażąc siebie mieczem, spragnionym zdobyczy,
W piersi własnej — własnego dorąbie się boga!..

TOAST ŚWIĘTOKRADZKI.

Żem nieraz wchodził z wami w złośliwość zażyłą,
Mistrze zgrzytów i chrzęstów, z których pieśń się czyni, —
Więc mi dano się o was zadumać w świątyni,
Gdzie już nic się nie staje prócz tego, co było...

Tu — wybucha z witrażów tak tęczowy płomień,
Że ty — bogu, a tobie — bóg wyda się tęczą,
I obydwaj, zarówno pełni oszołomień,
Posłyszycie, jak wasze westchnienia współdźwięczą...

Lecz ja dłoń świętokradzką wyciągam w rozblaski
Aż po kielich, drzwi złotą dwutarczą strzeżony!
Na dnie jego krwi Pańskiej koral zaczajony
Ustom, skorym do wina, nie poskąpi łaski!

Więc, gdy mi takie wino uderza do głowy
Mocą nieba całego aż do nieboskłonu,
Czyż nie jestem — o, bracia, nieufni do zgonu, —
Opojem z nad lazurów i sam — lazurowy?

Czyliż teraz mój okręt, szalony beztroską,
Dość się hardo na zdradnej nie załamie rafie?

I czyż — bóstwem pijany — do was nie potrafię,
Znawcy znawstwa samego, przemówić dość bosko?

Za wszystkich, których słońca promienista rózga
Chłoszcze za żądz natręctwo i skrzydeł bezbożność,
Aż ich kiedyś — złocących swej kary wielmożność —
Grom, zawistny o złoto, w proch cenny rozdruzga!

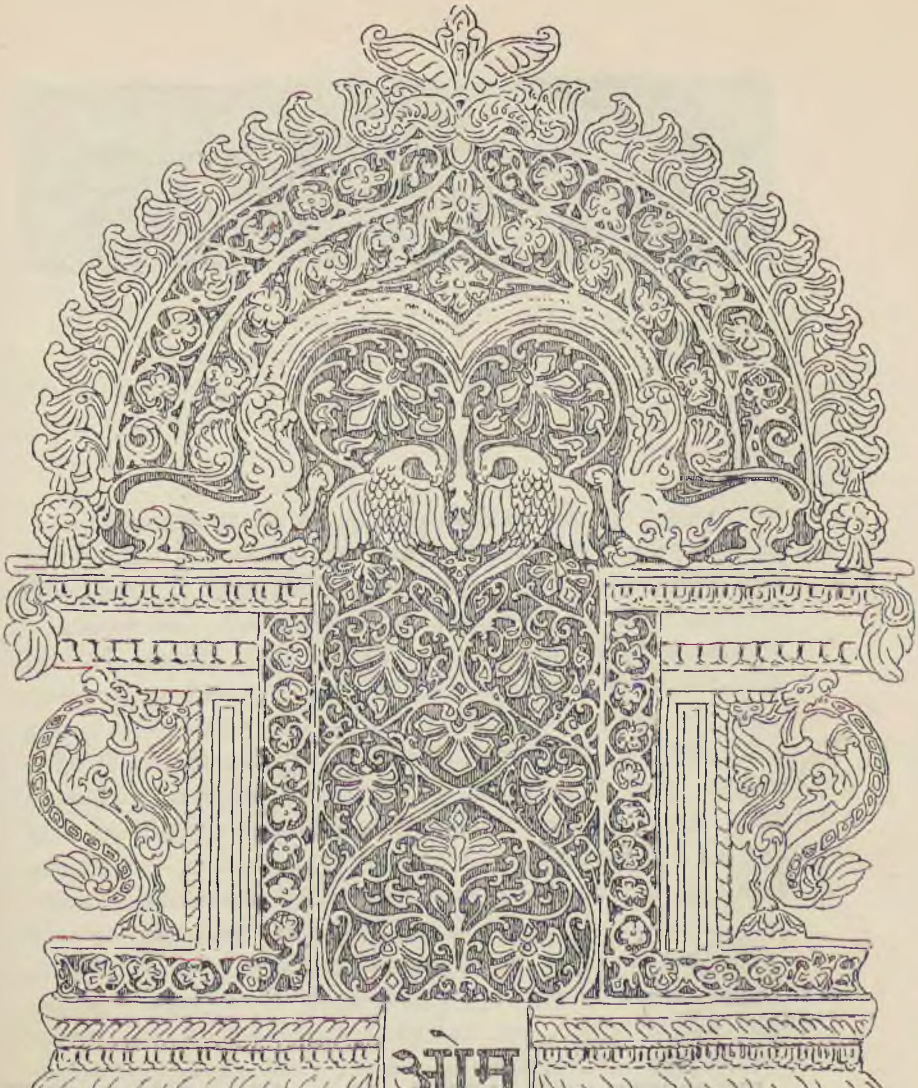
Za skazanych na znoje czatów i wywiadów —
Gdziekolwiek się wałęsa ich płonna tęsknota!
Za tych, co, mając żądła, poszukują jadów, —
Gdziekolwiek ich przydybie ta żądeł zgryzota!

I za tych, którym nagle, na wiosnę czy jesień,
By pogardzić kwiatami, — nie dostało chwastu!
I za tamtych, co z wszelkich uniesień lub wzniesień
Warci jeszcze takiego wzniesienia toastu!

Za tę całą drużynę zgiełkliwą i rojną,
Co otuchę donośnym wezwałaby rogiem, —
Za ich żywot pokrętny i śmierć niespokojną
Wznoszę kielich, po brzegi pieniący się bogiem!..



Bolesław Leśmian.



UPANISZADY · KENA · ISA · KATHA
FRAGMENT Z WIELKIEJ ARANYAKI:

UPANISZADY KENA, ISA, ORAZ FRAGMENT Z WIELKIEJ ARANYAKI. NA WIERSZ I PROZĘ POLSKĄ PRZEŁOŻYŁ, NAJKONIECZNIEJSZEMI OBJAŚNIENIAMI OPATRZYŁ I WSTĘPEM POPRZEDZIŁ WACŁAW BERENT.

Gdy prażródło aryjskiego ducha zamulali kapłani na wieki całe jałową i zawrotnie monotonną dogmatyzacyą spiętrzonego do potworności rytuału, gdy, skute przez nich w kastowość, kostniało życie indyjskie, — cały niepokój żywych jeszcze dusz: wiedza i wiara sama znalazły schronisko w wybranych kołach stanu rycerskiego. Gdy kapłani, ogłupiwszy naród swój k'woli panowania nad nim, z kolei rzeczy nikczemnieli sami, gdy z Wed nawet poczynała przezierać nieokiełznana chciwość i nagi cynizm tych handlarzy doczesnych nadziei i zagrobowych przeznaczeń, — w kołach kshatriyów zastanawiano się nad celem i wartością życia, nad przeznaczeniem duszy, nad życiem zagrobowem, nad istotą wiary i bóstwa. Zachłanne Wedy wsiąkały w siebie, jak każda zresztą zwycięzka religia, wszelkiego ducha, nawet zawiązki wręcz ateistycznych systemów, czyniąc to, oczywiście, póki z nowego ducha nie wyłoniło się społeczne niebezpieczeństwo dla kasty i hierarchii, — nie wyłoniła się „herezya.“ — Dla braminów nastało to niebezpieczeństwo znacznie później — w buddyzmie.

Tymczasem te filozoficzne rozważania kshatriyów znalazły się jako dopiskowe dyalogi do rytualnych „Bramana“ wedyckich. Przeznaczone początkowo dla pustel-

ników leśnych *(aranyam)*, miały służyć jako przewodnik do uproszczonego w takich warunkach rytuału ofiarnego. Grubo materyalne i marudne czynności ceremoniału ofiary zastąpiła medytacya nad obiatą i kosmiczne jej symbolizowanie, ponoszące myśl na nieścigłe nieraz wyżyny. Tego potrójnego źródła (dysputacyj filozoficznych w kołach rycerskich, rozmyślań pustelniczych i niedającego się wykluczyć współudziału głębszych kapłanów, podtrzymujących najczystsze tradycye Rigwedy)—tego potrójnego źródła są prawdopodobnie owe *„Aranyaka,“* których ważniejsze ustępy oddzieliły się z czasem od Wed i przesiąknięte jednym duchem wytworzyły całość odrębną: ostatni najbardziej dostały owoc Wed, zwany: *Wedanta* (koniec Wed), lub *Upaniszady* (posiedzenia tajemne; słuszniej, wiedza tajemna).

Czas powstania Upaniszad określić trudno: najstarsze między niemi fragmenty noszą prastare piętno czasów Rigwedy; snuje się zaś twórczość upaniszadowa nieomal po dnie dzisiejsze. Przechowywane były Upaniszady przez stulecia całe jedynie w pamięci mistrzów. Na kanwie upaniszadowych idei osnuł *Badarayana* teologiczno-filozoficzny *system* Wedanty: *Sariraka-Mimansa* lub *Uttara-Mimansa,* zwany również niekiedy wprost *Wedantą,* w komentarowem przeinaczeniu znaczenia tego słowa na: „ostateczny cel Wed.“ *Pismo* Badarayany p. t. *„Sariraka-Mimansa-Sutra“* wraz z przechowanym komentarzem *Sri Sankary* stanowią dziś najstarsze źródła poznania Upaniszad [1]).

---

[1]) O Badarayanie nie wiadomo nic. Sri Sankara żył prawdopodobnie w 8 w. po Chr. i założył sławną szkołę w Sringagiri. Jako pielgrzym i asceta wędrował do Kaszmiru. Jego pisma, a niemniej i pouczania na wędrówkach wywołały po czasie zastoju nowe odżycie Wedanty, oraz mnóstwo wątpliwych dziś i apokryficznych pism przypisywanych Sri Sankarze.

Wedantą— końcem Wed—zwie się ta wiedza dlatego, że udzielano jej uczniom bramińskim pod koniec studyów;

Upaniszadami — posiedzeniami tajemnemi, lub, słuszniej, wiedzą tajemną — gdyż powierzano je jako ostatnią prawdę wszelkiej wiedzy, jako głęboką i groźną tajń wiary, jako objawienie ostatniej tajemnicy bytu.

Po za tą zasłoną czekało na ofiarników - życia dla wiedzy i wiary, nie jak w Sais śmiertelne wejrzenie Tajemnicy, lecz próba ich ducha: oni to swoim bogom w twarz spojrzeć mieli. — Po kilkudziesięcioletniem wgłębianiu się w dogmat zawiły, kręty, przepaścisty; po dożywotnim kieracie służby bożej przy ołtarzach ofiary, po złożeniu na ten ołtarz młodości, woli i ducha nieomal; po dewocyi i nabożeństwie, doprowadzającem do otumanienia przez powtarzanie jakiś glossolalicznych niby symboli, głosek pozbawionych zgoła jakiegokolwiek znaczenia, a grających rolę żarn, w których prawda z łuszczyny wątpliwości wycisnąć się wreszcie miała; — po całego życia mozołach i ofierze stawał się uczeń braminów niemym zamyśleńcem, ponurym wątpicielem.

I wówczas dopiero mógł bogom swoim w oblicze spojrzeć, wówczas godnym się stawał wiedzy przechowywanej w medytacyach pustelników leśnych: owych słów ostatnich a wyzwalających, słów, które sam *Aditya*, pramistrz i objawiciel powierzył *Ambini*, ten zaś *Vak*'owi, i tak—w szeregu mistrzów a uczniów—aż do samego *Dżajnawalkyi*. Sam *Dżajnawalkya* pouczył króla *Janaka*, mądrą swą żonę *Maitreyi*, a z uczniów swoich przedewszystkiem Asuri. Asuri pouczył Asuryanę,

Asuryana — syna Sanjivi,
Syn Sanjivi — syna Pracinayogi,
Syn Pracinayogi — syna Karsakeyi...

. . . .

I tak bez końca: od stuleci wstecz, przez stulecia zamierzchłe, aż po mknienie dni dzisiejszych, — litania nazwisk nieskończona [1]).

Owe to słowa tajemne, słowa wiedzy ostatniej uczniowi teraz objawione będą; jemu tylko pośród tysiąca towarzyszy. W jego ducha i serce tajemnicę odwieczną złoży teraz *Guru,* mistrz, — w odwiecznym szeregu posiadaczy tajemnic, żyjący i ostatni. Oto *Hotar* ofiarę już złożył, ducha dźwignął, oddech zwolnił, w oczy mak ekstazy rzucił i wewnątrz je skierował. Oto wystąpił Guru, biały starzec nadmogilny w aureoli posiadania odwiecznej tajemnicy, i rzuca ostatnie zaklęcie, ostatnią pobudkę skupienia: „Pokój! Pokój! Pokój!!“

I wtedy dopiero rozchylała się zasłona Mayi. Z takiem to skupieniem, w takiem oczekiwaniu przejmowano ową wiedzę.

I temu zwie się ona *tajemną* [2]).

I oto dogmatów swej wiary uczeń a męczennik, świętych Wed poznawca, nieznalezionej prawdy całopalna ofiara, niższy od robaka, nikczemniejszy od pyłu w obliczu nieogarnionej potęgi swych bogów: Indry, Agni, Vayu, Sziwy, Wisznu, — dowiaduje się, że...

bogowie są zaledwie symbolami dla wiary pospolitej; — że...

---

[1]) Według tej „listy mistrzów,“ której szczątek tu podajemy, oblicza ktoś czas między Adityą a Dżajnawalkyą (przyjmując średnio lat 20 na generacyę uczniów) — na lat 800. Od Dżajnawalkyi do ostatniego na liście Guru upływa czas trzy—jeśli nie cztery razy większy.

[2]) Odnosi się to, oczywiście, do czasów dawniejszych, gdy w całej sile obowiązywał zakaz spisywania ksiąg świętych, gdy Wedy, sześć razy większe od Biblii, przechowywane były jedynie w pamięci duchowych skarbników. Jak wielką przywiązywano wówczas wagę do nich, świadczą listy mistrzów, podawane przy końcu większych Upaniszad.

Wedy, święte Wedy, którym on swe życie, a jego naród kilkadziesiąt wieków swego istnienia oddał, Wedy objawione, które istnieć wszak miały i po końcu świata! — że i one są dziełem niepokonanej Mayi, majakiem zmysłów.

Są niemi wraz z ułudą naszego poznania, ukazującego nam świat zjawisk „w mnogości i przestrzenności, w imionach i kształtach.“ Wszakże i Wedy znają tylko mnogość dusz indywidualnych i ich bezkresową wędrówkę *(Samsarę),* każąc duszom po śmierci w takie wstępować ciała, jakie zakreśla im niechybnie jedyna pozostałość indywidualnych egzystencyj: niezniszczalna moc popełnionych za życia czynów, dzieło życia: *Karma.* — Jest więc kanon wedycki, wraz ze swą mnogością bogów i dusz, z przykazaniami, zakazami, obietnicą i groźbą, takimże owocem mylności naszego poznania jak i wszystkie nasze pojęcia o „wielościowym świecie imion i kształtów,“ owocem mylności wiedzy, a raczej „Niewiedzy,“ jak ją zwie Wedanta, — *Avidyi,* opartej na doświadczeniu. — Poznająca dusza nie jest w stanie pozbyć się swych „przeznaczeń,“ swych *Upadhi:* właściwości swego ciała, właściwości fizycznych i psychicznych organów poznania, oraz brzemienia dzieł, bądź już popełnionych, bądź musowo popełnić się mających. Nie jest więc ona zdolną przeniknąć do prawdy: życie, świat i bogowie, — świata i bogów poznanie są majakiem (m a y a) jej *Upadhi,* jej nieuniknionym omamem [1]).

---

[1]) Nie przeczy Wedanta wręcz istnieniu bogów indyjskich, jak „nie przeczy Platon i Epikur istnieniu greckich bogów.“ Dla Wedanty są bogowie bądź symbolami, bądź personifikacyą sił przyrody i władz życiowych (Agni — mowy, Vayu — oddechu), bądź wreszcie tradycyjnym wedyckim sposobem obrazowania. Patrz zresztą poniżej: o egzoterycznej i ezoterycznej Wedancie.

Przyczyna tego nieuniknionego omamu, powiada dosłownie Sri Sankara: „polega na wrodzonem nam fałszywem przenoszeniu istotności i jakości Subjektu na Objekt..." Bądź co bądź: granice naszemu poznaniu zakreślają przyrodzone właściwości poznającego subjektu; — było to sformułowane w 8 wieku naszej ery, a zawarte w symbolach i przenośniach wedyckich Upaniszad, o lat tysiąc co najmniej starszych... Potęguje się ten omam i tem jeszcze, że — wciąż według Sri Sankary — „nasze poznanie odróżnia się od zwierzęcego tylko stopniem rozwoju; w istocie swej stoi, jak i tamto, całkowicie w usługach egoizmu, zniewalającego nas do wyszukiwania rzeczy pożądanych, a unikania niepożądanych." I tyleż w życiu, co i w wiedzy, tyleż w doczesności, ile w pozagrobowych obietnicach Wed, przemawiających bądź co bądź do naszych pożądań i obaw, choć by one według wierzeń osiągalne były dopiero po za grobem. — „Tem jest, — kończy Sri Sankara, — owa, bez początku i końca przyrodzona przenośnia (przenoszenie Subj. na Obj.), która w istocie swej jest założeniem fałszywem, a jednak znamionuje wszystkie stany naszych postępków i zażywań i rodzi naturalny sposób pojmowania wszystkich ludzi..." (Nie jest-że to odpowiednik tego, co dziś nazywamy: naiwnie realnym poglądem na świat!?).

Dotąd zaznaczaliśmy analogie Avidyi Wedanty z dzisiejszą wiedzą doświadczalną. Określa wszakże Sri Sankara Vidyę (metafizykę?), w przeciwstawieniu do Avidyi, jako „zmierzającą do określenia właściwej natury rzeczy." (Rzecz sama w sobie!?).

Wystarczy tu chyba najogólniejsze napomknienie o kantowskiej analizie poznania, o tem, że świat jedynie w przyrodzonych nam *formach* poznania: w formach czasu, przestrzeni i przyczynowości dostępny jest naszym władzom poznawczym, dającym w rezultacie tylko obraz zjawisk, a nie wnikającym w istotę rzeczy samej w sobie.

Oczywiście Wedanta tej analizy poznania jeszcze nie dokonała, ale jak bliską jej była, świadczą powyższe słowa Sri Sankary. Jak bliską wogóle współczesnego ducha — mówi Schopenhauer we wstępie do swego głównego dzieła:

„Gdyby to nie wyglądało na chełpliwość, mógłbym utrzymywać, że każde twierdzenie Upaniszad dałoby się wyprowadzić jako wniosek konieczny z moich myśli zasadniczych." — To blizkie pokrewieństwo Upaniszad z dzisiejszą dyalektyką filozoficzną odbija się nawet na niemieckiem ich tłómaczeniu Deussena, mimowiednie

nakłanianem w tekście i komentarzach do pojęć metafizyki niemieckiej.

Nie od rzeczy będzie jeszcze jedno zastrzeżenie. Nie idzie tu o genealogię dzisiejszych myśli. Odrębna ich geneza wyklucza z góry wszystko inne ponad najbliższą bodaj analogię *odpowiedzi*. Odrębnymi rodzicami będzie tu odrębna jakość i wartość *pytań*, bo nosząca w sobie zawsze in nuce każdoczasową historyę ludzkiej myśli. Zbyt daleko idące powinowactwa, zbytnia zbieżność, nawet w szczegółach, będą więc rzeczą filozofa podporządkowującego każdego ducha pod swój system, bądź też rzeczą tłómacza zbyt opanowanego pojęciami metafizyki współczesnej. Z tego względu niezmiernie pożądanym i ciekawym korektywem takich przekładów będą tłómaczenia dogmatyczne, dokonywane przez braminów współczesnych, jak większość tłómaczeń angielskich.

Idzie więc tu, aby rzec najogólniej, o te struny współczesnego ducha, jakie najsilniej zatrąca duch Upaniszad.

W tem zrozumieniu wspomnijmy raz jeszcze słowa Sri Sankary o *drugiej* przyczynie mylności naszego poznania: o nieuniknionym jego egoizmie, o woli zwróconej ku wartościom życiowym nawet wówczas, gdy się je transponuje po za groby lub w kosmiczność. Czytamy wszak dziś o egoizmie świątobliwości i ascezy, szukających na tej drodze wywyższenia się nad innych, a w niszczeniu swego ciała — obietnicy lepszego życia w życiu innem; o egoizmie życiowego pesymizmu, narzucającym naturze i światu swoje wartości negatywne; o potędze temperamentu i nawyku, wyciskających swe piętno na wiedzy, wierze; o systematach filozoficznych tak zależnych od—Upadhi ich twórców.—Czy ta druga przyczyna mylnosci naszego poznania nie wiedzie już w czasy pokantowskie, w czasy wprost dzisiejsze?

„Zniszczyć przyczynę tej niewiedzy i niedoli życia, — kończy Sri Sankara, — oto cel Wedanty!“

Mniejsza na razie, czy ze stanowiska dzisiejszej teoryi poznania zdoła ona wyjść poza nieuniknione formy naszego myślenia, pozostawić za sobą całą sferę woli, czy jej objawienia nie będą tkwiły korzeniami swemi w niepokonanej Mayi. Pierwotna ducha ludzkiego świeżyzna, z jaką przed lat tysiącami przystępował do tych ostatnich zagadnień bytu; potęga i bezpośrednia sugestywność symbolu, jakiemi wówczas rozporządzał; moc i wnękliwość w docieraniu na dno duszy ludzkiej; twórczy rozmach, z jakim porywał ją na najwyższe szczyty: oto płomień Wedanty, „niszczący ziarna niewiedzy.“

Pisze tenże Schopenhauer w „Parergach“...: — „Każdego, kto wniknął w tę nieporównaną księgę, musi duch jej wstrząsnąć do głębi. Z każdej stronicy bije głąb' twórczych i najszczytniejszych myśli, gdy nad całością unosi się wyżynny duch świętej powagi... O jakże tu dusza oczyszczoną się czuje po wszelkim w zaraniu życia wszczepianym nam zabobonie żydowskim i całej tej pańszczyźnianej filozofii“...

Dowiaduje się tedy uczeń braminów, że „wielościowy świat imion i kształtów“ wraz z ich poznaniem i wiarą kanonów: całe to dzieło Mayi trwa jak zwidzenie senne, póki nie nastąpi ocknienie. Nie ocknie nas przecie Avidya; nawet dla Vidyi, która również ulega Upadhi swego twórcy, ostatecznem źródłem poznania może być tylko objawienie.

Tak więc nie dobre uczynki, nie wiara i pobożność, nie święta bezgrzeszność ascezy darzy wyzwoleniem. Skupienie, kontemplacya, wnikanie i wreszcie poznanie dzięki objawieniu przezwycięża Samsarę, przecina odwieczną wędrówkę duszy i wiedzie w nieśmiertelność.

Warunkiem koniecznym objawienia, podłożem prawdy są— dzieła i medytacya. Dzieła wprawdzie nie w ich merytorycznej wartości, lecz i nie w ascetycznej (jak nieoczekiwanie wnioskuje Deussen), a chyba przez ich moc skupiania, krystalizowania zwykle rozpierzchłej, amorfnej, lub mało kształtnej psyche. — Co w potocznem życiu nazywamy indywidualnością, jest zwykle niedorzecznym zlepkiem przypadkowości, któremu pozorną jednolitość i konsekwencyę w postępkach nadaje chyba tylko fizyczny temperament. Indywidualność nie „jest,“ ona się tylko za każdym razem z niesłychaną konsekwencyą „staje“ w wytężonej czynności i pracy. Linia indywidualności idzie po szczytach, dołem idzie chyba tylko linia zdrowia, temperamentu i przypadku; — tam roszczą sobie pretensye

do indywidualności chyba tylko charmeur'y towarzyskie i kukiełki sceniczne. — Tak więc podłożem prawdy są dzieła i medytacya przez swą moc wywyższania duszy ponad stan zwykły, przez strunową czujność uwagi, przez burzowe napięcie wszystkich władz ducha ku błyskawicowym chwilom intuicyi.

Bo wiedza Wedanty polega na bezpośredniej intuicyi (a n u b h a v a) identyczności własnej duszy z bóstwem.

I oto rdzeń Upaniszad:

Niema bogów, jest tylko odwieczny pierwiastek wszelkiego bytu, siła, która wszystkie światy stwarza, dźwiga i utrzymuje, wszystkie istoty przenika — jest *Braman,* „ani widoczne, ani dotykalne, ani ukształtowane, ani przemijające"... „Nie jest ani takiem, ani też innem"... „Odmienne od tego, co znamy i czego nie znamy"... „Słowa i myśli odeń nawracają nie znalazłszy go..." Jest nawskroś duchowością, dalekie od wszelkiej personifikacyi i symbolu; nie Bóg, nie stwórca, nie istota; — nie On, lecz „to." — Jest, jak sól nieuchwytna w oceanie, nawskroś wszystko przenikające... „Ono nie *nie* jest," bo, jeśli się byt w empirycznym sensie Avidyi pojmie, jest Braman raczej niebytującem. Jest bez atrybutów.

Owa zaś siła, światy stwarzająca i przenikająca, jest identyczną z tem, co, po odpadnięciu wszelkiej ułudy, wszelkich pozorów rozpierzchłości, odkrywamy jako swe wnętrze najprawdziwsze, jako istotne dno naszego „ja," jako naszą s a m o ś ć [1]), nasze *Atman.*

Ta samość każdego z nas nie jest częścią, tchnieniem, czy łaską Bramana, lecz całkowicie i niepodzielnie odwiecznem i niepodzielnem Bramanem.

Ta identyczność naszej samości z boskim pierwiastkiem świata, Atmana z Bramanem, oto objawienie We-

---

[1]) Patrz str. 286 i 287.

danty. Wyrazami tej identyczności są uświęcone formuły: *Tat twam asi:* — to jesteś ty, i *Aham brahma asmi:* — ja jestem bramanem.

Co we wszystkich istotach się znajduje, od wszystkich odmienne, czego żadna istota nie zna, czyjem ciałem są istoty wszelkie, co wszystkiemi istotami wewnętrznie rządzi — tem jest Samość twoja, kierownik ów wnętrzny, kierownik nieśmiertelny.

(Wielka Aranyaka — 3, 7, 15).

Co w poznaniu się znajduje, od poznania odmienne, czego poznanie nie zna, a co ciałem jest poznania, co poznaniem wewnętrznie rządzi—tem jest Samość twoja, kierownik ów wnętrzny, kierownik nieśmiertelny.

(W. A. — 3, 7, 22).

Widzący a niewidziany, słyszący a niesłyszany, pojmujący a niepojęty, poznający a niepoznany. Niemasz po za nim widzącego, niemasz po za nim słyszącego, niemasz po za nim pojmującego, niemasz po za nim poznającego. Owóż to Samość jest twoja, kierownik ów wnętrzny, kierownik nieśmiertelny. — Co od niej odmienne, boleści to pełne.

Wonczas zamilkł Uddulaka, syn Aruny.

(W. A. — 3, 7, 23).

— Strumienie te, o synu mój, dążą na wschodzie w poranny nieboskłon, na zachodzie w wieczorny; z oceanu w ocean przewalają się one, oceanem stają się nawskroś.

A przecie nie wiedzą nurty owe, jakiemi rzeki były!

Zaprawdę, o synu mój, tak i stworzenia tu wszelkie nie wiedzą, kiedy powstały z bytującego, i że się w bytującem poczęły. I wszystkie one, czy się tygrysem tu zwą, lwem, wil-

kiem, dzikiem, robakiem, ptakiem, bąkiem czy komarem: czemkolwiek są, tem też i będą w nawrocie.

Czem owa nieuchwytność, owo bytowanie, z którego wszechświat się wyłania, — istność jedyna, Samość to twoja, to jesteś ty, o Swetaketu! —

— „O! dalej pouczaj mnie jeszcze, czcigodny mój!“

— Uczynię-ć zadość, — odparł [Uddałaka, ojciec Swetaketu].

(Szandogya — 6, 10).

... Owóż i dni dzisiejszych, gdy tego poznania kto dozna: „Jam jest Bramanem,“ — wszechistnienie ten osiąga; i bogowie nawet niemocni są przeszkodzić, aby go nie posiadł. Albowiem on sam jest ich atmanem.

Aliści kto innego boga [nad własną samość] czci i rzecze: „Innym jest on, innym zasię ja,“ ten nie jest wiedzący, lecz jest jako bydlę bogów swoich. I jako wiele dochowu człowiekowi na pożytek, tak i każdy człowiek bogom ku korzyści. Zasię gdy bydlę ukradną — troska to jest; stokroć większa, gdy zginie ich wiele! — Przeto niemiłe jest bogom, iż ludzie wiedzą o tem.

(W. A. — 1, 4, 10).

Pierwszym warukiem poznania, „podłożem prawdy“ są dzieła życia, — a nieomal każda Upaniszada kończy się wezwaniem do nich, — dzieła, jak się rzekło, nie w ich merytorycznej i nie w ascetycznej wartości, lecz dla ich mocy skupienia zwykle rozpierzchłej duszy. Najwyższem dziełem mędrca jest dotarcie do Atmana, zjednoczenie się za życia z Bramanem. Ta szkoła skupienia, kontemplacyi, wywyższania człowieczego ducha, przebóstwiania jego władz, poprzez dzieł szeregi, aż do dzieła najwyższego, jest szkołą Yogi. W najgórniejszym swym wyrazie:

w Upaniszadach Yogakanda, jest Yoga wyłącznie rzeczą poznania: zna jedynie stan absolutności i, nie troszcząc się o wszystko ludzkie, przecina „mieczem wiedzy drzewo życia u korzeni“ w bezwzględnem wyrzeczeniu się świata i w ascezie. Skarb wiedzy okupuje się ceną życia. W najgłębiej człowieczym swym wyrazie w Bagawad Dżycie, zdaje sobie Yoga dokładnie sprawę z niebezpieczeństwa przeskoczenia zbyt pochopną wolą stanów rzetelnego uświadomienia. Zna tedy Bagawad Dżyta całą hierarchię dzieł życiowych i odpowiadające im stany poznania: im wszystkim pragnie Yoga Bagawad Dżyty wytknąć tylko kierunek ku najwyższemu dziełu i ostatecznej doskonałości, kiedy to ogień wiedzy niszczy ziarna czynów.

„... *Idź i walcz!*“ — nawołuje bóg Kriszna księcia Ardżunę zachwianego w potrzebie bratobójczej walki. — *„I wierz w swoją sprawę!“* — woła doń, gdy wraz z przekonaniem opuściło go i męstwo: — *„nawet mała wiara strzeże przeciw wielkiej trwodze“... „Nikt się działaniu nie umknie, kto działań unika“... „Nic ten nie zdobywa, kto czynów się wyrzeka, — a żadna istota nie wytrwa w bezczynie“... „Czyń, co chcesz, a chciej, coś winien... Niech dzieło tylko troską twoją będzie, nie z dzieła twego dla ciebie korzyści... Nie dbaj o dzieła swojego owoce, lecz nie bądź bezczynny, — działaj!.. Czyń, coś czynić winien, co więc stać się musi... Zaś szczęście i nieszczęście jednakiej niech ci będzie ceny... Statecznością jest Yoga!“... „Mówią niedoświadczeni o poznaniu i czynie, jak o rzeczach odmiennych; wiedzą wszakże świadomi, że kto działaniu się oddaje, ten zbiera i poznania złote owoce... Ciężko i ciernißcie znaleźć prawą ścieżkę między tem trojgiem: czynem, poniechaniem i bezczynnością...* Kto w czynności, jaką sprawuje, pokój widzi, a we wnętrznym spokoju działanie,—ten jest prawym mędrcem... *Co się zwie wyrzeczeniem, jest oddaniem się* najwyż-

szemu dziełu... *Mędrzec w samości szuka schroniska dla siebie, staje się królem wewnętrznego państwa... Nie troska się taki, co Pismo nakazuje i czego nam wzbrania: on prawdę uznaje w samej prawdy sile! Yogę w niej osiąga i pokój zdobywa!*"...[1]).

Oto w jakiem znaczeniu używają Upaniszady słowa: dzieło.

„Wiedzieć, chcieć, ważyć się i milczeć," — to pierwsze wskazania Yogi. A że człowiek ani rzetelnie chcieć nie może, czego dobrze nie wie, ani dobrze wiedzieć, gdy w długim wysiłku rzetelnie nie chce, — jest więc Bagawad Dżyta, w tem godzeniu pierwiastków woli i świadomości, w tej skali czynów odpowiadającej stanom poznania, i w ich wytrwałem dążeniu do ideału wiedzy, najgłębiej człowieczym i najrzetelniejszym wyrazem odwiecznych dążeń ludzkiego ducha do doskonałości, — jak najszczytniejszym tych dążeń wyrazem jest Yogakanda [2]).

Obie te Yogi pragną wywyższać człowieczego ducha siłą jego własnych nurtów najgłębszych, zmagać jego zapory cielesności, zwyciężać jego wrogów wewnętrznych, a wśród nich przedewszystkiem intelektualne okowy Avidyi. Sięga tedy Yoga do najgłębszych warstw duszy, dobywając z nich ratownicze siły subjektywizmu. Niemi zwalcza okowy Avidyi, które, pętając ducha niewolniczą uległością, przykuwają nadomiar do człowieka jego wątłość przyrodzoną, jego cielesne ułomności i cierpienia fizyczne, jako sił rzeczowych splot fatalny a niezwyciężony. Przed spłaszczonym niewolnikiem empiryi wyrastają te zapory na nieprzebytą wyżynę Himalayów. Yoga zmaga

[1]) Podług niemieckiego przekładu Hartmanna. Lipsk 1904.

[2]) Zatrzymujemy się tu na Yodze mającej bezpośredni związek z Upaniszadami. Yoga ujęta w system przez Patandżalego, jej zboczenia późniejsze i zwyrodnienia sekciarskie — nie mogą być tu omawiane.

te przeszkody w szkole wielkiego chcenia: woli o tak długiem i mocnem natężeniu, skupienia tak bezwględnego, że one rodzić wreszcie muszą ekstazę, ponoszącą wzwyż, aż ku ideałowi najwyższego subjektywizmu, aż ku tej granicy, gdzie on sobą wszelki objekt ogarnia, aż ku Atmanowi i poczuciu się w wielkiej jedni bytu z Bramanem. I niezmordowane były Upaniszady w powtarzaniu:

We mnie powstał wszechświat cały,
Tylko we mnie wszystko trwa,
We mnie też i zanik ma,
Jam to Braman niepodzielne.

Kto w szkole Yogi dojdzie wreszcie do najwyższego dzieła, kto „dozna" identyczności swego ducha z bóstwem, samość swą odnajdzie, Boga-Ducha w sobie obudzi, przed tym opada zasłona Mayi. W wszechogarniającej jedni Bramana zatonęła nietylko złuda „świata imion i kształtów," lecz i to, co się jego osobistą duszą zwało: wszystkie powody jakichkolwiek, złych czy dobrych czynów oraz ich nieunikniona Karma. Niema dla niego wędrówki dusz i wyzwolenia nawet niema. On *już* jest wyzwolony; poznanie jest jego niebem. Żyje wprawdzie do swej *ostatniej* już śmierci, „jak się toczy koło garncarza, choć czasza już gotowa;" — żyje wszakże dla tego tylko, że, w chwili gdy nastąpiło „ocknienie," posiew dzieł ostatniego życia wydał już swój owoc fatalny: te resztki jego cielesnej egzystencyi. Świadom iluzyi świata, zna też i wartość jego przykazań i zakazów: stojący po za życiem, stoi po za złem i dobrem świata. Krzywdy przeto ludziom czynić nie będzie, bo każdy czyn taki jest owocem niewiedzy, zmysłów omamem i obłędem; jak omamem niewiedzących jest i to, co oni uważają za swoje od innych ludzi pokrzywdzenie. Wiedzący stoi ponad litością; wyzwolony jest amoralny: „ogień poznania spopielił ziarna

złych i dobrych postępków." — „Stliły się troski w duszy płomieniem wiedzy ogarniętej" —

A gdy się zatrzyma owo koło garncarskie,—dzieło poznania, czasza nieśmiertelności, dusza wyzwolonego nigdzie nie uchodzi, niczem się innem nie czyni. Pozostaje tem, czem się w poznaniu już stała, czem jest i po wieki będzie: „prapierwiastkiem rzeczy wszelkich" — odwiecznym Bramanem.

Upaniszady, powstałe na tradycyjnej kanwie Wed, będą się oczywiście posługiwały wedyckim sposobem obrazowania. Wszystkie swe barwy, całą świeżyznę i plastykę przypowieści, całą moc symbolów, cały przepych wschodniej wyobraźni zawdzięczają Upaniszady temu właśnie podłożu. Co więcej: swe najwyższe tony, swe najbardziej fascynujące piękno osiąga Wedanta właśnie dzięki tym błyskawicom między szczytami nowej nauki o bezatrybutowem Atmanie, a swem wedyckiem podłożem. Wreszcie medytacya poznawców i twórców Upaniszad odbywać się musiała w tych właśnie granicach, bo wszak nauka o samości, Atmanie, posługiwać się musi, jak każda metafizyka, formami empirycznego poznania. A czynić to będą ludzie, którzy dobywają dopiero owe dusze swe ze świata wierzeń i bogów wedyckich. — Tak więc, dzięki podłożu i tłu, kanwie i barwie, dzięki przenośniom, przypowieściom, symbolom, dzięki wreszcie podkreślonemu charakterowi medytacyi oraz czucia tych ludzi, przemyci się w Wedantę wiele, bardzo wiele z dawnej wiary i, wśród mniej lub więcej jawnych sprzeczności, tak się powikła z nową nauką, że wytworzy swoistą i dominującą część Wedanty, część *egzoteryczną*.

Lecz poprzez tę dominującą część przebija raz po raz nauka, która, idąc drogą ścisłego przedstawiania swych myśli, będzie zmuszona pojęcia mające gdzieindziej grubo materyalne znaczenie naginać do swych celów, nadawać im znaczenie abstrakcyjne. Wśród wielu omówień i zastrzeżeń mówiąc, „raczej zrezygnuje z dobitności przedstawienia, niżby miała obniżyć same pojęcia." Wytworzy sobie wreszcie własną niejako mowę, wymagającą pewnego wyćwiczenia w abstrakcyjnem ujmowaniu danego pojęcia, gdy to wynika z ca-

łego toku, — pojęcia, które tuż obok może mieć znaczenie realne lub mitologiczne. Wyzbywszy się przenośni, mytogonii, przypowieści, — da głębszy i czystszy wyraz nauce o Bramanie i Atmanie, które są przecież bez atrybutów. Jest to *ezoteryczna* część Wedanty [1]).

O tym mozajkowym splocie egzoterycznych i ezoterycznych pierwiastków należy stale pamiętać odczytując Upaniszady.

Wspomnijmy dla przykładu tylko. Wobec Bramana bez atrybutów, Bramana jedynie bytującego, po za którym niemasz nic, kosmologia ezoteryczna musi być prawie żadna... „Zaprawdę świat ten Bramanem był w prapoczątku. I uznało się ono: jam jest Braman. I przez to światem się stało" (W. A. 1, 4, 10). — Lecz gdzieindziej dowiadujemy się, że „świat imion i kształtów" stworzył Braman (uosobiony), jako czarodziej. Następuje nauka o niższem Bramanie, o *Bramie* jako stwórcy, jako duszy pojedynczej, jako Bogu uosobionym — rozsnuwa się jednem słowem cała teologia egzoteryczna. W orszaku *Bramy - Boga* jawi się nawrotem cały Olimp indyjski z groźbą siedmiu piekieł, obietnicą nieb siedmiu.

A pośród tego wszystkiego raz po raz olśniewające rozbłyski tych myśli, których zgłębianie jest podług Schopenhauera „najgodniejszem i najszczytniejszem zajęciem, jakie wogóle na świecie jest możebne!" — przebija ten duch Upaniszad, z którym zapoznanie się jest według tegoż Schopenhauera „największym przywilejem jakim wiek nasz .... imponować może wszystkim poprzednim," gdyż wpływ tego ducha winien być „niemniej głębokim niż zapoznanie się z kulturą grecką w wieku XIV-tym..."

Inny przodujący umysł zeszłego wieku — ze skłonności i owoców życia biegunowo chyba przeciwny Schopenhauerowi—W. Humboldt prześcignął go jeszcze w uwielbieniu dla ducha upaniszadowego, z którym zapoznać się mógł wówczas tylko poprzez Bagawad Dżytę. Dziękował on Bogu, że mu chwili dożyć dozwolił, w której poemat ów mógł przeczytać.

---

[1]) Po książkach teozoficznych przytrafia się inne określenie egzoteryzmu: jako wulgaty religijnego systemu, k'woli wierze i dewocyi; ezoteryzmu — jako wiedzy religijnej wtajemniczonych, jako wyłącznie poznaniowej części religijnego systemu. — Oba wszakże te pierwiastki występują w nierozdzielnym splocie, a splot ten jest wynikiem tysiacoletniej ewolucyi i pojęć samych — Wiedzy Tajemnej.

Wśród Upaniszad Yogakandy powraca kilkakrotnie na synonimach oparta, przedziwna symbolika duszy indywidualnej *(hansa)* jako przelotnego ptaka i bezdomnego pielgrzyma. *Paramahansa* (najwyższy subjektywizm, — najwyższy ptak przelotny) zwie się wędrowiec, który poniechał dzieci, przyjaciół, żonę, ognisko ofiarne, Wedy nawet, — chustą lędźwie przepasał, skórę na noclegi przez ramię przerzucił, posoch w dłoń ujął i rusza w świat, dla niego teraz dopiero szeroki i wolny: ciągnie w dalekie, zagwiezdne krainy, niby te klucze dzikich gęsi *(hansa)*, których górny po niebie lot tembardziej oczy ku ich ciemnym przeznaczeniom pociąga, im bardziej te niewidzialne chmary drażnią wyobraźnię tylko gromadnym poszumem skrzydeł i tajemniczemi wygłosy podgwiezdnych po nocy wędrowców.

Ten indyjski *łabędź*, — bo tak niewątpliwie należałoby wbrew wszelkiej werbalności i oczywistemu źródłosłowowi tłómaczyć słowo *hansa* [1], — ten łabędź pozostał nam po dziś dzień jako symbol duszy indywidualnej w jej podgwiezdnych wędrówkach ku nieznanym przeznaczeniom.

W bardziej północne zabłąkany sfery, w krainy powściągliwszej wyobraźni i trzeźwiejszego wnikania w przeznaczeń przyziemne koleje, łabędź naszej baśni i legendy gubi się w bagnach tej trzeźwości i dobywa z niemej za życia piersi głos w przedzgonie pełny a rozdźwięczny, jak dzwony w mroźną ciszę. W tej pieśni łabędziej dźwięczy dla uszu północnych nuta tęsknoty za pełnią słonecznego życia.

---

[1] W całem potomstwie baśni indyjskiej, od zagadkowego ich odbicia w legendzie celtyckiej, aż po nasze klechdy i legendy, indyjska gęś przechodzi stale w łabędzia. Porównaj: Gaston Paris, Légendes du moyen âge. Tom II.

Nieznająca kresu wyobraźnia wschodu, wnikanie jej płomienne w ludzkiego ducha koleje wieczne i ku wieczności zmierzające, uświęciły w życiu doczesnem tylko swobodę, samotność, wędrówkę i medytacyę, jako prawe ognisko ducha, dla którego ognisko rodziny i ofiary porzuca dusza wiecznością niespokojna, pielgrzymia i tułacza. — Takie wnikanie przypina łabędziom skrzydła stokroć potężniejsze nad skrzydła tęsknoty...

A gdy nasz łabędź na bagnach północnych żałośnie zamarza, tamten „najwyższy ptak przelotny," wolności najwolniejszy ptak: — *Paramahansa* bieguna chyba sięgnął, ponad nim się wzbił i ziemię skrzydłami otoczył. A pieśń jego to głos najwyższego subjektu, pieśń wprost za wysoka na nasze uszy, prawie nie objęta naszą wyobraźnią, pieśń o stanie absolutności (Upaniszada *Kaivalya):*

Nikłości lichy pył, nikczemna ja drobina,
Jam cały przepych barw, co światy wskroś przenika,
Jam jest Bóg-Duch, prastary dusz władyka,
W olśnieniu widny im, — jam ducha zjaw jest czysty!

Moja bez ramion zachłanna potęga
Bez oczu widzi i słyszy bez ucha.
Jam jest wiedzący, za mną oćma głucha:
Nie będzie wiedzącego aż po wieczne czasy.

Przez Wedy wszystkie moja twarz przeziera,
Bom całe poznał Wed świętych ogromy.
Złu-dobru obcy, jam już nieznikomy,
Bez ciała, narodzin i zmysłów mamidła.

I zczezła dla mnie ziemia, przepadły jej morza,
Zgasł ogień, zmilkł wicher i znikły przestworza.

Tak w serca głębiach jednię kiedy górną
W sobie kto odkryje, czystą a bezwtórną,
Wolen od bytu i niebytu treści,
Wszechwidztwo ducha samością obwieści!

W SPRAWIE PRZEKŁADU.

Przy odczytywaniu Upaniszad należy przedewszystkiem pamiętać o ciągłem przeplataniu się obu pierwiastków: egzoterycznego i ezoterycznego. Jest w tem największa trudność dla tłómacza, zwłaszcza że Sri Sankara w swych komentarzach nie zdaje sobie jeszcze dokładnie sprawy z tych dwóch prądów Wedanty: podwójnej kosmologii, teologii, psychologii i eschatologii. Nie zmniejsza się ta trudność bynajmniej, gdy ma się do czynienia z kilku przekładami w europejskich językach.

Ezoteryczną ewolucyę odbywały i bogi i pojęcia Wedanty, mające dziś po kilka znaczeń, często nawet „przechodzących niejako jedne w drugie.“ — Dla przykładu: A t m a n znaczy: tchnienie, oddech, zbiorowe pojęcie sił życiowych, dusza indywidualna, dusza świata, zasada świata, s a m o ś ć. — P u r u s z a znaczy: człowiek, osoba, postać w sercu człowieka (wielkości cala), duch, człowiek w słońcu, istota, wreszcie: s u b j e k t p o z n a n i a.

Więc każdorazowe komentowanie tych pojęć, przy bezwiednem pochylaniu się tłómacza ku egzoteryzmowi, czy ezoteryzmowi, będzie wyciskało swe piętno na przekładzie. Tłómacz niemiecki będzie miał przytem tendencyę do pochylania wszystkiego ku dyalektyce metafizycznej niemieckiej; uczony kapłan bramiński, tłómaczący na język angielski, będzie się skłaniał niewolnie ku dogmatyce bramińskiej, lub oddawał każde np. Atman czy Purusza—nago, jako Atman i Purusza, odsyłając po każdej słoce do kilkustronicowych

labiryntów komentarza Sri Sankary, lub, co gorsza, do współczesnych komentatorów Sruti („Pisma“).

Jak, zrodzone ztąd, duże rozbieżności między przekładami dają się jednak w większości wypadków odcyfrować przy głębszem wniknięciu,—patrz uwagę do sloki 4-tej *Isy*.

Z jednego więc przekładu korzystać nie można. Wielokrotnie, dla najściślejszego oddania treści, a zarazem najintensywniejszego uwydatnienia ducha, należało się dobrze zoryentować w komentarzach. Ku temu służyły:

S. S.) — Wstępy do każdej Upaniszady i komentarze do każdej sloki Sri Sankary w wydaniu Upaniszad Seshacharri;

T. T.) — takież komentarze Tookaram Tatya;

wreszcie dwa źródłowe analityczne dzieła Deussena:

D. W.) — „*Das Sistem der Wedanta nach dem Bramasutra des Badarayana,*“ — oraz

D.) — „Die Philosophie der Upanischad's“—(jako II część niedokończonej „Geschichte der Philosophie“).

B.) — Bhagavad-Gita, przekład niemiecki F. Hartmanna, Lotus-Verlag.

Do przekładu zaś służyły:

D.) — *60 Upanischad's des Veda* — Deussena. Lipsk 1897.

S.) — The Upanishads (Isa, Kena, Mundaka), w tłómaczeniu Sitarama Sastri. Wydanie Seshacharri. Madras 1898.

R.) — *The twelve principal Upanishads* — przeważnie w tłómaczeniu *Roera;* wydanie i komentarze *Tookaram Tatya.* Bombay 1891.

M. J.) — The Upanishads — w tłómaczeniu i komentarzach G. R. S. Mead'a i Jagadisha Chandra Chattopadhyaya. Londyn 1896.

Upaniszady, będąc najgłębszą filozofią praaryjską, są zarazem wielkim poematem, a więc posługują się przedewszystkiem przypowieścią, symbolem, obrazem. Jakąż bezdusznością byłoby werbalne, słowo w słowo, oddawanie tych rzeczy? Czy je w ten sposób wogóle można oddać? Jakaż bezdusznością—wyłuskiwanie treści filozoficznej z symbolu i dawanie jej nago w suchej dyalekty-

ce? Jakaż korzyść z takiego trupa, spreparowanego bodaj najdoskonalszym aparatem znajomości Sanskrytu przy pomocniczem narzędziu Petersburskiego Słownika? Czy komentarze przeplatające tekst nie są scholastyczną wodą, w której topi się za każdym razem bezpośrednia sugestywność upaniszadowego ducha?

Te względy decydowały o charakterze przekładu i o formie, w jakiej go ogłaszamy. Tylko najniezbędniejsze objaśnienia podane są w krótkich posłowiach do każdej upaniszady. Żmudne wczytywanie się w cztery aż przekłady zmierzało do najściślejszego zdania sobie sprawy z istotnej treści każdego ustępu. Każda rozbieżność u tłómaczy przedyskutowana dla siebie przy pomocy komentarzy. Ważniejsze lub niezrozumiałe niezgodności u tych 4-ch tłómaczy będą podkreślone w posłowiach.

Ciężko rytmiczny i przypadkowo tylko rymowany czterowiersz Deussena (trzynastozgłoskowy tub jedenastozgłoskowy dla sloki dłuższej, ośmio—a nawet siedmiozgłoskowy dla sloki krótszej), oraz rytmiczna proza w miejscach oryginału niemetrycznych, — oddane zostały wierszem i prozą polską jak poniżej. Francuzcy i angielscy tłómacze przekładają prozą, nawet po słowach: „głoszą o tem wiersze." — Czy sloki upaniszadowe, wobec ich powstawania w przeciągu lat tysiąca, wobec rozmaitej raz po raz ich długości, mają ogólny metryczny charakter, decydować mogą o tem znawcy sanskrytu. Żaden z europejskich tłómaczy nie sili się na oddanie tego charakteru.

Wreszcie uwaga może zbyteczna: — za Szujskim i Krasnosielskim odróżniam: 1) bóg Brama, 2) boski pierwiastek Braman, 3) członek kasty braminskiej—Bramin. W Upaniszadach spotyka się jeszcze słowo: Bramana oznaczające medrca, który zdobył wiedzę o Bramanie, oraz Braman a(m) jako tytuł rozdziałów upaniszadowych. Mówiąc o Bramanie, jako o pierwiastku dalekim od wszelkich możliwości uosobienia i teistycznego wykładu, używamy celowo rodzaju nijakiego. Piszemy: upaniszadow*e* Braman, podobnie jakbyśmy pisali: parmenidesow*e* ὄν.

Pozostaje wytłomaczyć się z użycia słowa „samość" — Niepopodobna tu zapuszczać się w rozważanie nad stosunkiem „das Selbst" do „das Ich," upaniszadowej samości — do jaźni Fichtego, Schlegla i Hegla. Nas obchodzą tu granice słowa polskiego i szukać tych granic należy u polskich filozoficznych pisarzy.

Czyż trzeba zastanawiać się tu nad wykluczeniem słów tak dalekich w znaczeniu jak „świadomość" i „samowiedza?" Niepewnych odsyłam wprost do Struvego: „Wstępu krytycznego do filo-

zofii“ str. 171. — Już niemieckie „das Selbst,“ angielskie „the self of the soul,“ wskazują na konieczność innego słowa niżli jaźń. — Trentowski, — którego „jaźń“ najbardziej zbliża się do pojęcia „das Selbst,“ lecz mimo wszystko „bezwzględną“ dlań nie jest, — pisze o istocie jaźni; Kremer w temże znaczeniu o „duchu będącym osobowością bezwzględną; nowsi pisarze o jaźni trascendentalnej.—Czy samoistotność nie odpowiadałaby najbardziej pojęciu „das Selbst,“ gdyby nie pewna ociężałość terminu i może tautologia zawarta w samem słowie (Selbstwesen, — tłómaczyłoby się na niemiecki)? — Proszę wyobrazić sobie „samoistotność“ w prozie rytmicznej! w wierszu! — Użyte przez księdza Krupińskiego w przekładzie „Historyi filozofii“ Schweglera słowo sobistość nie wydaje mi się szczęśliwem. Norwida na wzór jestestwa stworzone samstwo naraża się na plaski dwuznacznik.

Z tych względów zdecydowałem się użyć słowa samość. Gdy ktoś, porając się w pracy z pojęciem „das Selbst,“ „the self of the soul,“ znajdzie słowo zręczniejsze, posiadające zarazem pożądaną zwięzłość i podatność rytmiczną, wówczas „samość“ z kolei rzeczy padnie. Nie uczyni jednak tego wobec odruchów opieszałego nawyku w sprawach językowych, kaprysów cudzego ucha, najmniej zaś wobec tak pochopnego u nas pouczania innych — grymasem i pierwszym lepszym pomyslem.

Szczupłość miejsca w ostatnim tomie „Chimery“ pozwala tylko na umieszczenie Keny, Isy i fragmentu Wielkiej Aranyaki. Może szczęśliwe okoliczności pozwolą kiedys na ogłoszenie: Kathy, Mandukyi, Mundaki, Paramahansy, Kaivalyi oraz części Szandogyi.

UPANISZADA KENA. Z SAMAWEDY.

BRAMANOWI CZEŚĆ I CHWAŁA!

OM TAT SAT.

1. Niech Braman roztoczy opiekę swą nad nami, a niech nas uraduje. Wspólnego imajmy się dzieła. Niech tajemnice Promienistego Bramana wspólna przenika praca, a niechęć wzajemna niech omija nas.

Om. Pokój! Pokój! Pokój!!

2. Niech ramię moje, tchnienie, oko, ucho, siły me i wszystkie me władze trwają w dzielności, Wszystko jest Bramanem Upaniszad. Obym nigdy nie wyparł się Bramana i oby Braman nigdy nie opuścił mnie. Oby władze me wszystkie nigdy nie wyparły się Bramana i oby Braman nigdy nie opuszczał ich. Oby wszystkie cnoty Upaniszad spoczywały we mnie, objawiając Atmana, oby we mnie spoczywały.

Om. Pokój! Pokój! Pokój!!!

TU POCZYNA SIĘ UPANISZADA:

1. „Czyja moc wyłoniła człowieczą moc ducha?
A pierwsze życia tchnienie — tchnienież było czyje?

Za czyją wolą mowa w ustach naszych żyje?
Kto wzrokiem włada oka, słuchem rządzi ucha?"

2. „Słyszenia słuchem jest i myślą jest myślenia.
I okiem oka wraz, każdego tchnieniem życia.
Z zmysłowej wiedzy, jak z fałszu spowicia,
Dobywa mędrzec się i kona nieśmiertelny."

3a. „A że oko tam nie wnika,
Że myśl nawet dojść nie zdoła,
Poznania kres, — nie pojmę zgoła:
Jakież tu, mistrzu, pouczenia?"

3b. „Od znanego, nieznanego
Wiedze głębsze, prawdy czystsze
Przekazali nam pramistrze,
Mędrcowie o nich pouczali. [1])

4. Czego mowa nie wypowie,
Przez co mowa jest mawiana,

---

[1]) Ściślej: Od znanego, nieznanego
Nawskroś inne w każdem słowie,
Tak uczyli nas mędrcowie,
Pramistrze tak nam przekazali.

Czcij to w sobie jak Bramana,
Nie owo zaś, co tłumy czczą.

5. Czego myślą nie pomyśli,
Przez co myśl jest pomyślana,
Czcij to w sobie jak Bramana,
Nie owo zaś, co tłumy czczą.

6. Żadne oko gdzie nie dojrzy,
Zkąd moc wzroku nie dojrzana,
Tam jedynie znaj Bramana,
Nie owdzie zaś, gdzie tłum go czci.

7. Żadne ucho gdzie nie słyszy,
Zkąd moc słuchu nie słyszana,
Tam jedynie znaj Bramana,
Nie owdzie zaś. gdzie tłum go czci.

3. Źródło woni gdzie bezwonne,
Woni woń nie wyczuwana,
Tam jedynie znaj Bramana,
Nie owdzie zaś, gdzie tłum go czci.“ —

CZĘŚĆ WTÓRA.

9. „A jeśli mniemasz, że [tak oto czcząc Bramana] poznałeś go nawskroś, ułudą jest i to. Zaiste formy jego przejawów poznałeś zaledwie: co w nim jest z ciebie [jako podmiotu czczącego] i co z niego wśród bogów [jako przedmiotu czci]. Przeto dalej wnikać winieneś.“

10. „Choć nie mniemam, że pojąłem,
Ja nie wiem też, żem niewiedzący,

I tak w niewiedzy swej tonący
Nie pozna nikt, że nie zna go."

11. „Kto poznał je, ten trwa w niewiedzy,
Kto nie wie wciąż, wie je wszędzie,
Poznający ciemnym będzie,
Oświeconym niewiedzący.

12. W kim się ocknie, wie je w sobie
I przekracza kres mogilny,
Że sam niem jest — tem on silny,
Że o tem wie — tem nieśmiertelny.

13. Kto znalazł je, ten prawdę odkrył w łonie,
Bramana widzi w każdym tworze,
Gdy inny idzie w klęsk bezdroże,
On w wieczność wkracza wyzwolony."

CZĘŚĆ TRZECIA.

14. Wywalczył raz Brama zwycięztwo dla bogów nad demonami. I chełpili się bogowie z tego zwycięztwa, myśląc: „Nasze jest zwycięztwo, nasza chwała."

15. Co usłyszawszy ujawnił się im. Aliści nie poznali go, mówiąc: „Kim jest ów Wielki Duch?"

16. I rzekli do Agni: „Przeniknij, o istot znawco, kim jest ów Wielki Duch." Odparł: „Uczynię to."

17. I ruszył nań. Przemówi tedy Brama: „Kim jesteś ty?" — „Jam jest Agni, istot znawca, Jatâ-weda."

18, „Skoroś nim jest, jaka w tobie moc?" — Rzecze: „Wszystko na ziemi spopielić potrafię."

19. Położy tedy Brama przed nim żdżbło i rzecze· „Spal i to" — Rzucił się na nie całą przemocą, aliści nie potrafił go spalić. Nawrócił tedy i rzekł: „Nie zdołałem przeniknąć, kim jest ów Wielki Duch."

20. Rzekli tedy do Vayu: „Zbadaj ty, o Vayu, kim jest ów Wielki Duch.“ Odparł: „Uczynię to.“

21. I ruszył nań. Przemówi tedy Brama: „Kim jesteś ty i jaka w tobie moc?“ — „Jam jest Vayu, odparł, jam Mâtarisva [w łonie matki—przestrzeni powietrznej—nabrzmiewający].

22. „Skoro-ś nim jest, jaka w tobie moc?“ Rzecze: „Wszystko na ziemi porwać zdołam.“

23. Położy tedy Brama źdźbło przed nim i rzecze: „Porwij-że i to.“ Narzucił się na nie z całą przemocą, aliści nie potrafił go porwać. Nawrócił tedy i rzekł: „Nie zdołałem przeniknąć, kim jest ów Wielki Duch.“

24. Rzekli tedy do Indry: „Zbadaj, o Najpotężniejszy, kim jest ów Wielki Duch.“ Odparł: „Uczynię to.“ I ruszył nań. Aliści znikł przed nim.

25. I ujrzał na temże miejscu niewiastę o wielkiej piękności, imieniem Uma, córę Himalayi [personifikacya Wiedzy]. Rzekł tedy do niej: „Kimże jest ów Wielki Duch?“

CZĘŚĆ CZWARTA.

26. Odrzecze mu: „Zaiste Braman to jest! Który zwycięztwo dla was wywalczył; — a onem się chełpicie.“ I wonczas poznał, że Braman to był.

27. I zaiste, bogowie ci: Agni, Vayu oraz Indra, wyniesieni są ponad innych bogów, jako że oni najbliżej przeniknęli do Bramana. Indra zaś pierwszy poznał, że Braman to był.

28. Jest tedy Indra ponad innych wyniesiony bogów, jako że on najbliżej do Bramana przeniknął jako że on pierwszy poznał iż Braman to był.

29. O tem i ta jeszcze przypowieść. Że błyska jako błyskawica, że się jawi i znika w oka mgnieniu: — owóż to jest obraz Bramana wobec Bogów.

30. Oraz ta wobec duszy. Jak nagle duch wzbija się do Bramana, jak nagle go ogarnia, przypomina i pożąda,—owóż to jest obraz Atmana wobec nas.

31. A zwie się to imieniem: „Ku - niemu - tęsknoty;“— tem imieniem czcić go też należy. Kto tak oto wie, ku temu tęsknią wszystkie istoty.

32. A gdy mi rzeczesz: „Naucz mnie upaniszady,“ odpowiem ci: „Nauczyłem cię upaniszady, albowiem wiedza tajemna o Bramanie objawioną ci była.“

33. Oddanie się, skupienie i dzieło: owóż jej podstawy. Wedy jej rozgałęzieniem a prawda oparciem.

34. Zaiste, kto prawdę ową tak oto poznał, złu dostępu broniący, na nieznikomości się wspiera. W Bramanie nieprzezwyciężonem, na światów podniebnych bezkresie, w wieczności trwa, — w wieczności trwa.

Kena. — Ta drobna i późno powstała Upaniszada może słusznie stanąć na czele innych, jako dająca najwymowniejszy wyraz dojrzałej już wiedzy upaniszadowej o *Bramanie.* W swej zwartej, aż nazbyt skrótowej formie, wymaga bardziej, niż inne, dopełnienia komentarzowego.

Wstęp jest modlitwą do Bramana całkowicie w egzoterycznych ramach. Podobną modlitwą rozpoczyna się wiele Upaniszad; po niej następują słowa: „Tu poczyna się Upaniszada.“ Podając w *Kenie* tę modlitwę dla okazania charakteru Upaniszad, opuszczamy ją w Upaniszadach następnych śladem *D.* i *R.*

„Święta“ głoska *Om* jest symbolicznym zespołem całej treści Wed, symbolem medytacyi o Bramanie; *tat* (to?) oznacza w Upaniszadach Bramana; *sat* znaczy „bytujące.“ Takie jest słownikowe znaczenie uświęconej formuły: *Om tat sat.* — Jej żywego ducha można poniekąd wyłuskać. W Rigwedzie, gdzie słowo Braman przytrafia się jeszcze rzadko, oznacza ono zaledwie „inspiracyę nabożnego skupienia“ — „wznoszenia się woli ponad wszystko osobiste i zmienne ku rzeczom wiecznym i boskim.“ Zmieniło się z czasem pojęcie Bramana: egzoterycznie stało się ono bóstwem, ezoterycznie jednią, wszakże charakter tej medytacyi, do której wzywa głoska *Om,* pozostał ten sam. — Jest więc *Om tat sat* może analogicznem do *oremus!* lub *sursum corda!* zwróconem wszakże do poznawczego ducha. W tej medytacyi, usymbolizowanej w głosce *Om,* wznosi się duch ponad wszelką czasowość i indywidualność — „odrywa się,“ „urasta“ (Upaniszada Katha) ku Bramanowi w bycie.

Część I. W formie dyalogu między uczniem i mistrzem, powolne przejście od Bramana, jako przedmiotu czci, do nauki o bezatrybutowem Bramanie; — przejście powolne, rozpoczynające się od twardo wypowiedzianego sceptycyzmu ucznia, a kończące się ostrzeżeniem, że nawet w uznaniu Bramana jako źródła sił życiowych i duchowych jest tylko stosunek podmiotu czczącego do przedmiotu czci; że i to są tylko właściwości, jakiemi wierzący obdarza swego Boga.

Sloka 2-ga u *D.* mętnie:

Des Hörens Hören und des Denkens Denken,
Der Rede Reden—sie ist der Hauch des Hauchs nur,
Des Auges Sehen—der Weise lässt sie (!?) fahren
Und wird, hinscheidend aus der Welt, unsterblich; —

u *S.*: It is the ear of the ear, mind of the mind etc. *Being disabused of the false notion,* the wise etc...; —

u *M.* i *J.*: ... Departing from the world, *emancipate* the wise etc....; —

u *R.*: He who is the ear of the ear... is verily the life of the life... The wise who have *abandoned,* when departing etc....

N i e c h t o s ł u ż y z a p r z y k ł a d r o z b i e ż n o ś c i t ł ó m a c z e ń i n i e m o ż n o ś c i p o l e g a n i a w y ł ą c z n i e n a j e d n e m. *Z* komentarzy *T. T.* dowiadujemy się ogólnikowo: mędrzec poniecha ułudę indywidualnej egzystencyi. Wyraźniej *S. S.*: mędrzec wyzwala się z tej wiedzy, którą napomknięciem przeciwieństwa dopuszczają dwa pierwsze wiersze, z wiedzy zbudowanej na widzeniu, słyszeniu, mowie, z wiedzy zmysłowej, która jest „fałszem," „oćmą," „mroków spowiciem" (wyrażenia częste w innych upaniszadach).

Patrz zresztą zakończenie komentarza do części drugiej.

Część II. Mówi o nieosiągalności Bramana na drodze poznania. Najwymowniej powiada to w krańcowej i zawrotnej sprzeczności *sloka 11,* cytowana też często, jako charakterystyczna rzekomo dla Upaniszad, i zaopatrzona w nieskończone labirynty braminskich komentarzy. Można ich sobie oszczędzić, zwróciwszy się po rozwiązanie wprost do sloki następnej. Trudny do wyłuskania sens owych długich komentarzy sprowadza się do tego, że: zwykłą wiedzą ogarnięte Braman nie jest bynajmniej poznanem, i naodwrót: tą wiedzą ogarnąć się niedające nie jest przeto niewiadomem. Wiemy o niem „wiedzeniem niezdefiniowanem" *(T. T.).* „Braman, jako natura (?) wszelkiego myślenia, jako samo poznanie, ogarniętem być może tyl-

ko wówczas, gdy rozwieje się idea indywidualnej egzystencyi." *(T. T.)*. Najprościej wypowiada to Wielka Aranyaka: „Nie poznasz słuchacza słyszenia, widza widzenia." Innemi słowy: niepoznawalnem jest Braman, jako istotny subjekt poznania.

Sl. 12. Pozna Bramana ten, w kim się ono *ocknie* (jako samość), w poczuciu, iż on sam niem jest. O c k n i e s i ę, „bowiem logiczna dyskusya nie wprowadza w t e n s t a n d u c h a" *(S. S.)*, ani nasze drogi i ścieżki poznania. Mędrzec dobywa się z ułudy wiedzy zmysłowej jak z oćmy, wyzwala się z ułudy „jaźni," odkrywa to słyszenie słyszenia, to „s ł o ń c e ś w i a t ó w" (Bagawad Dżyta) w swej „samości," w swem Atmanie.

Część III. Nawskroś egzoteryczna i prawdopodobnie znacznie wcześniejszego pochodzenia. Mówi o wyższości Bramy nad siłami natury uosobionemi w bogach: Agni, Vayu, Indrze.

Sl. 25. Właściwie Uma Himavatim. „Himavatim znaczy tyleż, co córka Himalayi, towarzyszka Sziwy." *S. S.*

Tłómaczę „Wielki Duch" za *S.*; u *D.* „Wunderd i n g (?); u *M. J.* „wonder"; u *R.* „worthy of adoration."

Epilog. *Sl. 29.* Symbol „pozaczasowości" Bramana w nieuchwytnej nagłości błyskawicy. „Oto symbol Bramana wobec bogów", — ma znaczyć: w naturze.

Sl. 30. Takiż symbol Bramana w nas samych (nieuchwytna bystrość myśli).

Obie te sloki u angielskich tłómaczy prościej niż u *D.*

Sl. 33. Oddanie się bezkorzystne dziełu, jako konieczny warunek zdobycia prawdy — myśl wielokrotnie powracająca w Upaniszadach, a znajdująca najwymowniejszy swój wyraz w Bagawad Dżycie. (Myśl tę zamącają obaj teozoficzni tłómacze, podając szersze pojęcie Karmy). U *D.* wzięło się zkądciś w dodatku „Busse"—pokuta, pojęcie obce późniejszym Upaniszadom (prócz tu i owdzie w Yogakandzie). Wyraża się o niej *S. S.*, za Bagawad Dżytą, z pogardą, jako o bezcelowych zabiegach. Asceza upaniszadowa nie ma w sobie śladu pokuty; jest wprost drogą mędrca, środkiem najgłębszego wniknienia.

UPANISZADA ISA. Z JADŻURWEDY BIAŁEJ.

1. W Bogu zatop wszechświat cały
I wszelką ziemi zanurz treść.
Bo życie rozkosz zwykło nieść
Nieżądnym mienia i rozkoszy.

2. Tak żyjąc dziełu swemu k'woli,
Sędziwych choćbyś dożył lat,
Za życiem twem nie pójdzie w ślad
Karząca Karma, czynów zmaza.

3. Narodzin naszych przeznaczenia
W szatańskich mroków toną łonie,
Po śmierci cię ta oćma schłonie,
Gdy ducha mordem unicestwisz.

4. Jedyne jest, bez ruchu trwa, a myśl tak nie jest wartka,
Gdy weźmie lot, wszem bogom wraz ten lot jest niedościgły,

W spokoju cisz biegaczy huf przegania rychło śmigły,
Prawody nurzał Wichr w odwiecznym tym odmęcie.

5. W spoczynku swym — wciąż bez wytchnienia,
W niewidnej dali — tuż obok spoczywa,
I choć wszystkiemu wnętrznem bywa,
Nazewnątrz rzeczy każdej trwa.

6. Zaś kto wszelkie tu istoty
W samości swej odkryje na dnie,
A siebie w każdem życiu zgadnie,
Nie zazna lęku, zbędzie troski.

7. Zaiste, gdy duch świadomego
Ze wszystkiem stał się wskróś jednaki,
Obłędnej troski gdzież majaki
Dla niego, który jednię zoczył?

8. Świat przenikający, bez ciała i mięśni znamienia,
Duch olśniewający, nad zła i zmysłów odmęty,
Wszechogarniający, jasnowidz, a z siebie poczęty,
Każdej istocie odrębne wyznaczył on cele.

9. Avidyi ślepe hołdowanie
W głęboką, mroczną wiedzie głuszę,
Lecz w głębszą oćmę grąży duszę,
Kto Vidyi ślepą cześć oddaje.

10. W inny wiedzie świat Avidya,
W inny Vidya w każdem słowie,
Tak uczyli nas mędrcowie,
Pramistrze tak nam przekazali [1]).

11. Gdy zaś Vidyę i Avidyę
Wskróś przenikną ducha oczy,
Przez nie społem duch przekroczy
Wyzwolony w nieśmiertelność.

12. W mroki wiedzie, kto poucza:
„Świat się stawa ku nicości."
Wieksza oćma w wierze gości,
Że do czegoś świat się stawa.

13. Od stawania się, zaniku
Wręcz odmienne w każdem słowie;
Tak uczyli nas mędrcowie,
Pramistrze tak nam przekazali [2]).

14. Gdy stwarzanie, znicestwianie
Wskróś przenikną ducha oczy,

---

[1]) Lub też: Ponad Vidyę i Avidyę,
Wiedze głębsze, prawdy czystsze
i t. d. jak w Kenie, sl. 3b.

[2]) Lub też, jak wyżej:
Od stawania się, zaniku,
Wiedze głębsze, prawdy czystsze etc. etc.

Przez nie społem duch przekroczy
Wyzwolony w nieśmiertelność.

15. Jak złotą tarczą przysłonięte
Jest prawdy łono tajemnicze.
O rozchyl słońce twą przyłbicę,
Niech, czciciel, ujrzę tajnie święte.

16. O Słońce, niebios wędrowcze ty samotny, wszechwidzu jedyny, o Yama, szafarzu sprawiedliwości, o Boże promienny, Pratwórcy synu, rozchyl promienie swe i w siebie wchłoń przepych twój ognisty!.. Widzę już, widzę postać tę przejasną: Istota w wnętrzu twem — to jestem ja.

17. A teraz oddech mój niech wchłonie tchnienie wszechświat przenikające, Tchnienie przedwieczne; a ciało to niech w popiół się rozsypie.

OM!

O duchu pomnij, na dzieło swe pomnij!
O duchu pomnij, na swe dzieło pomnij!

18. O Agni, wiedź-że nas, najprostszą wiedź nas z dróg
Do końca naszych dzieł, dróg wszelkich świadom Bóg!
Od krętych ścieżek zła, zdaleka racz nas wieść.
Wszak tobie, Agni, w dań najwyższą niesiem cześć.

Isa jest również późnym, dojrzałym owocem Wedanty. W swej nauce o A t m a n i e stanowi odpowiednik i dopełnienie Keny; wraz z nią może rozpoczynać szereg Upaniszad.

Sl. 1.—podobnie jak w Kenie,— egzoteryczna. W Bogu (jako Jedni) zatop wszechświat cały (ściślej: Bogiem pokryj).

Sl. 4.—„Prawody nurzał Wichr w odwiecznym tym odmęcie.“ — Prawody (âpas), pod ziemią leżąca podstawa i rodzicielka ziemi, dźwigająca w sobie tworzywa życia *(D. W.). Windgott*—Wichr— słuszniej Pratwórca (Prajapati) jako wiatr. Innem imieniem: Mâtarisva (patrz Kena 21), oraz przydomkiem: „władca atmosfery.“ — Ztąd tak odmienne tłóm. *R.*: Władca atmosfery przechowywał w niej (samości) tworzywa życia (vital actions). — Oczywiście jest to utrupienie symbolu przez wyracyonalizowanie treści.

Sl. 8. — Odskok nawrotowy do 4 i 5.

Sl. 9, 10, 11.—Patrz, co w ogólnym wstępie mówiło się o Vidyi i Avidyi (również Kena 11, 12). Stosownie do tamtych objaśnień i ściśle za *D.* i *R.*, w odchyleniu od mniej jasnych *S.* i *M. J.*

Sl. 12, 13, 14.—Według *S. S.* i *D. W.*, polemika przeciwko materyalistycznemu systemowi „Sankya,“ przeciw „stawaniu się i zanikowi“ rzeczy wszelkich w przeciwieństwie do „bytu,“ pojęcia absolutnego, rzeczy samej w sobie, idei, — jakiemi są Braman-Atman.

15, 16. — Oderwany od całości *Epilog*, prawdopodobnie modlitwa konającego do boga P u s z a n a (Słońca), aby okazało „prawdę,“ „istotę bytu.“

16. — P u r u s z a, — stosowniej i s t o t a, zamiast jednego z licznych synonimów. Człowiek (Mann) niezręcznie u *D.*; „The same soul,“ zbyt ogólnikowo u *R.*; „form“ u *M. J.* —

Yama — bóg śmierci; szafarz sprawiedliwości, w przeznaczaniu losów nowych narodzin.

17. — Zwykłe w Upaniszadach nawoływanie do dzieła życia.

18.. — Prawdopodobnie modlitwa otaczających konającego do Agni — boga ognia.

UPANISZADA WIELKA ARANYAKA. Z JADŻURWEDY BIAŁEJ. (FRAGMENT).

TRZECIE BRAMANAM IV-go CZYTANIA.

1. Przyszedł raz Dżajnawalkya do Janaka, króla Widehów, z postanowieniem niemówienia. Zdarzyło się wszakże, iż, czasu dawnej ich rozmowy przy ogniu ofiarnym, obiecał był Dżajnawalkya Janace dar; — za dar ten obrał teraz król odpowiedź na jedno pytanie; zezwolił na nie Dżajnawalkya. Rozpoczął tedy król królów temi słowy:

2. „Dżajnawalkya,— rzekł — co służy człowiekowi [duchowi] jako światło?" — Słońce światłem mu jest, o królu królów, gdyż przy słońca świetle spoczywa on, chadza, robotę sprawuje i w progi powraca.—„Tak jest, o Dżajnawalkya.

3. Aliści gdy słońce zaszło, o Dżajnawalkya, cóż wtedy człowiekowi jako światło służy?" — Naonczas miesiąc światłem mu jest, gdyż przy świetle miesiąca spoczywa on, cha-

dza, robotę sprawuje i w progi powraca. — „Tak jest, o Dżajnawalkya.

4. Aliści gdy słońce zaszło, o Dżajnawalkya, gdy miesiąc się ukrył, cóż wtedy człowiekowi jako światło służy?" — Naonczas ogień światłem mu jest, gdyż przy świetle ognia spoczywa on, chadza, robotę sprawuje i w progi powraca. — „Tak jest, o Dżajnawalkya.

5. Aliści gdy słońce zaszło, o Dżajnawalkya, gdy miesiąc się ukrył, ogień zgasł, cóż wtedy człowiekowi jako światło służy?" — Naonczas mowa światłem mu jest, gdyż przy świetle mowy spoczywa on, chadza, robotę sprawuje i w progi powraca. Przeto, o królu królów, gdy kto dłoni własnej w oćmie nie dojrzy, a głos zkądkolwiek dolatuje, na głos ten kieruje on swe kroki. — „Tak jest, o Dżajnawalkya.

6. Aliści gdy słońce zaszło, o Dżajnawalkya, i miesiąc się ukrył, ogień zgasł, głos przycichł, cóż wtedy człowiekowi jako światło służy?" — Naonczas samość, światłem mu jest, gdyż przy jej świetle spoczywa człek, chadza, robotę sprawuje i w progi powraca. —

7. „Czemże jest owa samość?" — Pośród sił życia poznaniem jest ona z natury swej, wnętrznie w sercu jaśniejącym duchem. Jednakim wciąż pozostający, oba nawiedza on światy. Zda się rozważać, zda się w dali krążyć; a gdy snem się stał, porzuca ten świat istnień śmiertelnych.

8. Albowiem gdy rodzi się duch ten, gdy w ciało wstępuje, do zmysłów przykuty bywa. Gdy opuszcza ciało umierające, porzuca też i zmysły.

9. Dwa są stany ducha: stan teraźniejszości i stan innego świata; stanem pośrednim jest trzeci stan snu. W stanie trzecim przebywając, wgląda on w oba tamte stany: teraźniejszości i innego świata. I w miarę swych dążeń, dążeniom swym w odpowiedź, ogląda je obie: niedolę i błogość.

Gdy zasypia, wówczas z tego świata, zawierającego wszystko, budulec swój czerpie, sam go przysposabia i sam

gmach wznosi, siłą swego blasku i przejawu; a gdy tak oto śpi, wonczas duch ów sam sobie światłem jest.

[O ŚNIENIU.]

10. Niemasz tam wozów, uprzęży i dróg, lecz wozy, uprzęże i drogi on sam sobie stwarza; niemasz tam błogości wesela i ochoty, lecz błogość, wesele i ochotę on sam sobie stwarza; niemasz tam studni, stawów i rzek, lecz studnie, stawy i rzeki on sam sobie stwarza, — albowiem twórcą jest on.

11. Głoszą o tem wiersze owe:

Sennego ciała rzuciwszy powłokę,
Niesenny, stwarza śnień własnych majaki;
Zażywszy siebie, powraca, jak ptaki,
Złocisty duch, wędrowiec ten jedyny.

12. Nizinne gniazdo życiu gdy zawierzy,
Ponad nie wzbity, wraz sięga zaświata:
W swą nieśmiertelność tak we śnie ulata
Złocisty duch, wędrowiec ten jedyny.

13. A ptak ten błędny zmienia liczne razy,
Jak bóg, kształt zjawu w tych śnieniach poczęty:
Oto miłośnie igrając z dziewczęty,
Wnet niemy groźne ogląda przerazy.

14. Igrzysko tylko widoczne tu bywa, zaś jego nigdy człowiek nie ogląda. Powiada się tedy: „nikt nie pojmie Wszechprzenikającego.“ Powiedziane jest też: „Nie będziesz

go budził gwałtownie, albowiem trudnym do uleczenia bywa, do kogo on nie nawrócił." — Powiadają również: „jest dlań [sen] także siedzibą jawy, albowiem co na jawie widzi, i we śnie też ogląda." Aliści tak nie jest, albowiem we śnie samojaśniejącem światłem duch się staje. — „O, czcigodny, tysiąc [krów] ci daję, — mów, co ponadto wyzwoleniu służy!"

15. — I gdy tak oto w pełnem ukojeniu [snu głębokiego] błogości i wędrówki zażył, zło i dobro oglądał, powraca — zależnie od ujścia i miejsca, jakie był opuścił, — do stanu śnienia. A cokolwiek w tym stanie ogląda, nietknięty przez to bywa, albowiem ducha tego nie ima się nic. — „Tak jest, o Dżajnawalkya! Tysiąc [krów] ci daję, o czcigodny, — mów, co ponadto wyzwoleniu służy!"

16. — A gdy tak oto w śnieniu błogości i wędrówki zażył, zło i dobro oglądał, powraca — zależnie od ujścia i miejsca, jakie był opuścił, — w stan jawy; zasię cokolwiek w tym stanie ogląda, nietknięty przez to bywa, albowiem ducha tego nie ima się nic. — „Tak jest, o Dżajnawalkya. Tysiąc [krów] ci daję, o czcigodny, — mów, co ponadto wyzwoleniu służy!"

17. — A gdy tak oto na jawie błogości i wędrówki zażył, zło i dobro oglądał, powraca — zależnie od ujścia i miejsca, jakie był opuścił, — do stanu śnienia.

18. I jako wielka ryba wzdłuż obu pobrzeży się snuje, wzdłuż prawego i lewego brzegu, tak i duch ten szlakiem obu stanów podąża: snu i jawy [przez oba stany nietknięty].

[O ŚNIE GŁĘBOKIM.]

19. Lecz jako orzeł i jastrząb, w przestrzeniach powietrznych znużone krążeniem, złożywszy sięgi, w gniazda

zapadają, tak też zapada i duch w ów stan, w którym żadnych nie odczuwa pożądań i żadnych snów nie ogląda.

20. Albowiem są [w ciele człowieczem] żyły zwane Hitah, cienkie niby tysiąckrotnie wpodłuż łupany włos, a wypełnione białym, błękitnym, żółtym, zielonym i czerwonym [płynem]. — Gdy mu się zwidzi [we śnie], że go kto zabija, znieważa, że go słoń napastuje, że sam on w jamę się zapada, — owóż to wszystko, co go na jawie trwoży, w niewiedzy swej za rzeczywistość on ma; — a gdy bogiem się mniema i królem, gdy i świadomość zda mu się jawić: „jam jest świat ten cały," — owóż to jest jego najwyższa siedziba.

21. Jako że ta jest jego [właściwa] istota, gdy ponad pożądanie wszelkie wywiedziony bywa, od zła i dobra wyzwolony. Jak w ukochanej kobiety oplocie nie ma człowiek świadomości, co wewnątrz, a co nazewnątrz jest, tak i duch, wszechwiedną samością ogarnięty, nie ma świadomości, co wewnątrz, a co nazewnątrz jest.

Albowiem to jest jego istotą, gdy ukojony w pożądaniach sam sobie pożądaniem jest, niepożądający i od trosk wyzwolony.

22. Wonczas ojciec ojcem mu nie jest, matka nie matką, światy nie światami, bogowie nie bogami, Wedy nie Wedami, złodziej nie złodziejem, morderca nie mordercą, czandala [1]) nie czandalą, paulkasa [2]) nie paulkasą, asceta nie ascetą, pokutnik nie pokutnikiem, nie ima go się wtedy zło, nie ima dobro, — wonczas przemógł on swe męki serdeczne.

23. Nieprawdą jest, iż wówczas, patrząc, nie widzi; widzi on, albowiem dla widzącego niema przerwy w widzeniu, ono jest niezniszczalne; ale niemasz nic wtórego, nic odeń odmiennego, coby widzieć mógł.

---

[1]) Syn Sudry i braminki.

[2]) Syn Sudry i kobiety z kasty Kshatriyów.

24. Nieprawdą jest, iż wówczas, wąchając, nie odczuwa woni; — czuje on wonie, albowiem dla władnego powonieniem niemasz przerwy w węchu, on jest niezniszczalny; ale niemasz nic wtórego, nic odeń odmiennego, coby wąchać mógł.

25. Nieprawdą jest, iż wonczas, smakując, nie odczuwa smaku; — czuje on smaki, albowiem, albowiem dla władnego smakiem niemasz przerwy w smakowaniu, ono jest niezniszczalne; ale niemasz nic wtórego, nic odeń odmiennego, coby smakować mógł.

26. Nieprawdą jest, iż wonczas, mówiąc, nie mawia; mówi on, albowiem dla mówiącego niemasz przerwy w mówieniu, ono jest niezniszczalne; ale niemasz nic wtórego, nic odeń odmiennego, coby mówić mógł.

27. Nieprawdą jest, iż wówczas, słuchając, nie słyszy;— słyszy on, albowiem dla słyszącego niemasz przerwy w słuchaniu, ono jest niezniszczalne; ale niemasz nic wtórego, nic odeń odmiennego, coby słyszeć mógł.

28. Nieprawdą jest, iż wówczas, myśląc, nie myśli; — rozmyśla on, albowiem dla myślącego niemasz przerwy w myśleniu, ono jest niezniszczalne; ale niemasz nic wtórego, nic odeń odmiennego, coby przemyślać mógł.

29. Nieprawdą jest, iż wówczas, czując, nie czuje; — czuje on, albowiem dla czującego niemasz przerwy w odczuwaniu, ono jest niezniszczalne; ale niemasz nic wtórego, nic odeń odmiennego, coby odczuwać mógł.

30. Nieprawdą jest, iż wówczas, poznając, nie poznaje; — poznawa on, albowiem dla poznającego niemasz przerwy w poznawaniu, ono jest niezniszczalne; ale niemasz nic wtórego, nic odeń odmiennego, coby poznawać mógł.

31. Gdyż (tylko) tam, gdzie drugie jest współcześnie, jedno drugie widzi, jedno drugie wącha, jedno drugie smakuje, jedno z drugiem mówi, jedno drugie słyszy, jedno drugie przemyśla, jedno drugie czuje, jedno drugie poznaje.

32. Jako cicha woda, o królu królów, stoi oto spozierający, — jedyny, a bez wtóru, ten, którego świat bramanem jest, — pouczał Janakę Dżajnawalkya. — Oto cel najszczytniejszy, oto szczęście najwyższe, oto świat najgórniejszy, oto błogość ostateczna; licha bowiem cząstka tej błogości nadarza szczęściem inne stworzenia.

33. Gdy między ludźmi szczęśliwy kto jest i bogaty, gdy królem jest nad innymi, w życia rozkosze zasobny,—najwyższa to błogość u człowieka. Lecz sto błogości człowieczych są jedną błogością praojców, którzy niebo osiągnęli; sto błogości praojców, którzy niebo osiągnęli, są jedną błogością świata Ghandarwów; sto błogości świata Ghandarwów są jedną błogością bogów z dzieł swoich, —owych, co dzieły swemi boskość osiągnęli. Zasię sto błogości bogów z dzieł swoich są jedną błogością bogów z urodzenia, oraz tego, kto, w pismie uczony, od fałszu i pożądania wolen; a sto błogości bogów z urodzenia są jedną błogością świata Pratwórcy, oraz tego, kto, w pismie uczony, od fałszu i pożądania wolen; zasię sto błogości świata Pratwórcy są jedną błogością świata Bramana, oraz tego, kto, w pismie uczony, od fałszu i pożądania wolen. — I owóż, o królu królów, błogość to najwyższa, — Bramana to świat! —

„O czcigodny, tysiąc [krów] ci daję, mów, co ponadto wyzwoleniu służy!" — Wówczas zatrwożył się Dżajnawalkya i rozważał: „ten przenikliwy król gotów mnie wywabić ze wszystkich kryjówek moich."

34. — Zażywszy tak oto, w stanie snu, błogości i wędrówki, widziawszy zło i dobro, powraca — zależnie od ujścia i od miejsca swego, — w stan jawy.

[O ŚMIERCI NIEWYZWOLONEGO.]

35. Jako ładowny wóz dowleka się skrzypiący, tak i ciałem obarczony duch, kierowany wszechwiedzącą samością, skrzypi [rzęzi] w ostatecznych swych tchnieniach.

36. Gdy słabość go opadnie, gdy słabością nadarzy wiek lub choroba, wonczas jak owoc Mango, jak figa, jak jagoda łodygę swą opuszcza, tak i duch opuszcza członki i powraca w miejsca swego poczęcia po [nowe] ciało.

37. Jako naprzeciw króla, gdy nadciąga, podążają dostojnicy, straż, i woźnice, i setnicy, jadło, napój i pomieszkanie gotując a wołając: „oto nadciąga już, oto się zbliża!" — tak też oczekują i tego, kto o tem wie, wszystkie elementy, nawołując: „oto Braman nadciąga, oto Braman zbliża się!"

28. I jako do króla, gdy dalej wyruszyć zamierza, gromadzą się dostojnicy, i straż, i woźnice, i setnicy, tak też w czas zgonu gromadzą się w duszy siły życia, gdy nadchodzi chwila ostatniego tchnienia.

CZWARTE BRAMANAM.

1. Albowiem gdy dusza w bezwład zapada, gdy nieświadomość ją, zda się, ochłania, wówczas to siły życia ku niej się skupiają; ona chłonie wszystkie te siły wskróś światłem jaśniejące i cofa się ku sercu; duch wszakże, który w oku zamieszkał, powraca na zewnątrz [ku słońcu],—a wonczas nie zna już ona żadnych postaci.

2. A że jednią się stała, przeto nie widzi,— powiadają; a że jednią się stała, przeto nie wącha, — powiadają; a że jednią się stała, przeto nie smakuje,— powiadają; a że jednią się stała, przeto nie mówi,— powiadają; a że jednią się stała, przeto nie słyszy, — powiadają; a że jednią się stała, przeto nie myśli,— powiadają; a że jednią się stała, przeto nie czu-

je, — powiadają; a że jednią się stała, przeto nie poznaje, — powiadają. — Wówczas wierzchołek serca promiennym się staje, a gdy zajaśniał, dobywa się zeń Atman, wyzwalając się z ciała poprzez oko, czaszkę, lub inne części ciała. A gdy on je opuszcza, opuszcza je i życie, zaś gdy życie odlatuje, podążają za nim i życia siły. Poznaniem jest on, wraz z poznaniem odchodzi ztąd. Wówczas wiedza [1]), dzieła i poprzedniego życia doświadczenia przenikają go nawskroś.

[DUSZA NIEWYZWOLONEGO PO ŚMIERCI.]

3. Jako gąsiennica, gdy wierzchołka liścia dosięgnie, za drugi brzeg się chwyta i sama się ku niemu podciąga, tak też i dusza, gdy ciało z siebie zwlokła i niewiedzy [czasowo] zbyła, drugiego chwyta się początku i sama się ku niemu dźwiga.

4. Jak złotnik, gdy z posągu złoto czerpie, by przekuć je w inną, nową i piękniejszą postać, tak też i dusza, gdy ciało z siebie zwlokła i niewiedzy [czasowo] zbyła, tworzy sobie inną, nową i piękniejszą postać: bądź postać ojców, bądź Gandarwów, bądź bogów, bądź Pratwórcy, bądź Bramana, bądź też innych istot.

5. Zaprawdę duch ten [z ciała w ciało przechodzący] Bramanem jest, — jest jako poznanie, jako dusza, życie, oko, ucho, ziemia, woda, wiatr, eter, jako ogień i nie ogień, jako rozkosz i nie rozkosz, jako prawość i nie prawość, — jest jako wszystko. A wedle tego, czem jest, jak działa i postę-

[1]) Patrz w posłowiu.

puje, tak też i urodzonym bywa: kto dobro czynił, dobrym się też rodzi, kto zło — złym, świętym się staje za święte dzieła, złym za złe. Przeto powiedziane jest: „Człowieka nawskróś przenika pożądanie, a jakie pożądanie, takie i wniknienie, jakie wniknienie, takie i dzieło, zaś jakie dzieło, taka też i dola.“

6. O czem mówi wiersz ten:

Ku czemu duszą lgnie, gdzie marzeń kres jedyny,
Każdego zwiodą tam niechybne życia czyny.

Gdy czynom jego kres nastanie,
Na skutek dzieł nieunikniony
Po swoich dzieł dojrzałe plony
Na czyny nowe w świat powraca.

Taka jest dola pożądających.

[WYZWOLENIE.]

7. A teraz o niepożądających,—o tych, którzy bez pożądań, od pożądań wolni, w pożądaniach ukojeni, samemu sobie pożądaniem są, których duch nie opuszcza, lecz, Bramanem będąc, Bramanem [po skonie] pozostaje.

Głosi o tem wiersz ten:

Gdy żądze już go opuściły,
W żądz ukojeniu sercem dzielny
Przed skonem już on nieśmiertelny,
Już tu osiąga on Bramana.

Jak wężowa wylina na mrowisku porzucona, tak ciało tu spoczywa, lecz bezcielesne, nieśmierteine jego istnienie Bramanem jest całkowicie i światłem nawskróś. —

„O, czcigodny, tysiąc [krów] ci daję," — rzekł Janaka, król Widehów.

8. — Głoszą o tem wiersze owe:

Jest szlak trudny, prastary, niewidoczna droga,
We mnie droga wiodąca, przeze mnie odkryta,
Mędrzec świadom Bramana gościniec ten wita
Jak drogę wyzwolenia w świat nieba wiodącą.

9. Widne w drodze tej jasnej, powiadają starzy,
Biel, purpura i granat, zieleń i czerwienie:
W ten gościniec Bramana i w tych barw promienie
Wkracza mędrzec i święty, gdy żarem się stali.

10. Niewiedzy ślepe hołdowanie
W głębokich mroków wiedzie głuszę,
Lecz w głębszą oćmę grąży duszę,
Kto wiedzy ślepą cześć oddaje.

[11. Narodzin naszych przeznaczenia
W głębokich mroków toną łonie,
Po śmierci taka oćma schłonie
Nieockniętych, nieświadomych.

12. Zaś kto Atmana wnętrznie czuje,
„Jam—on!"—kto świadom, wonczas ciało
Jakążby żądzą chorzeć miało?
Jakiemż pragnieniem cierpieć jeszcze?

13. Kto zaś ockniętem prześwietli Atmanem
Dusznych rozterek cielesne odmęty,

On świata stwórcą, przez niego poczęty
Świat doń należy, gdyż on sam jest światem.

14. Klęsk źródłem jest tu nieświadomość,
Więc dzierżmy wiedzę w życia porze.
Niewiedza nas boleścią zmoże,
Gdy wiedza wiedzie w nieśmiertelność.

15. Kto w swym Atmanie uznał Boga,
Przeszłości i przyszłości pana,
Dla tego niemasz nad Atmana,
On nie zna trwogi przed swym Bogiem.

16. Bo z roku w rok kręgami dni
Czas toczy się pod jego nogi,
Jak światło świateł czczą go bogi
I wielbią jako nieśmiertelność.

17. Rodzajom pięciu bytowania
I wszechprzestrzeni co ostoją, —
W tem, nieśmiertelny, samość moją,
Bramana widzę nieśmiertelność.

18. Gdy tchnieniem tchnienia'ć jest, umem twego umu,
I uchem ucha wraz, i okiem twego oka,
Wonczas Bramana prawieczność głęboka,
Wonczas Braman prastary przez ciebie pojęty.

19. Więc w duchu wiedz i pomnij zasię:
Wielości niemasz tu nijakiej!
A z śmierci w śmierć stacza się taki,
Kto wielość widzieć tutaj mniema.

20. Tu jednię uznaj nieznikomą,
Od wieka wieków wiedz niezmienną!

Tu jednię znaj mi nadprzestrzenną,
Twą wielką samość nieśmiertelną!

21. I, mędrzec, krocz-że mi, bramiński,
Tą jedną drogą do Bramana.
Niech będzie inna poniechana:
Czcze słowa jeno z niej się rodzą!

22. Zaprawdę ta wielka nienarodzona samość, każdą istotę jako mysł przenikająca, w wnętrznej serca przestrzeni spoczywa, jako wszechświata pan, wszechświata władca i król wszechświata; nie wywyższają go dobre dzieła, ani poniżają złe, on wszechświata jest panem, istot rozkazodawcą, istot orędownikiem; on mostem [tamą], który oba te światy rozdziela, aby przed się nie spłynęły. Idąc za słowami Wed, dążą Bramini do osiągnięcia go ofiarą, jałmużną, pokutą i posty [1]). Kto poznał go, ten się staje Muni. Dążą ku niemu pielgrzymi, jako tęskniący do swej prawej ojczyzny. Wiedzieli o tem pramistrze nasi, skoro nie pożądali potomstwa [myśląc]: „Na cóż potomstwo nam, których duch światem jest całym!" I wyzbyli się pożądań dzieci, pożądań mienia, pożądań świata, wiodąc życie żebraków. Albowiem pożądanie dzieci jest pożądaniem mienia, pożądanie mienia — pożądaniem świata; a wszystkie one marnością są.

Atman wszakże nie jest ani takiem, ani innem. Jest nieujętem, gdyż nikt go nie ujął, niezniszczalnem. gdyż nikt go nie zniszczy, nieuchwytnem, gdyż jego nic się nie ima, jest nieograniczonem, nie chwieje się i szkody nie zaznaje [2]). Kto o tem wie, tego nie przemaga ani zło, które popełnił, ani do-

---

[1]) Patrz komentarz w posłowiu.

[2]) O tym odskoku w tonie i argumentacyi i wogóle o całej wartości odstępu 22 patrz w dopisku.

bro, które uczynił; albowiem on przemaga jedno i drugie. Nie przejmuje go ani to, co czynił, ani to, czego poniechał.

23. Mówi o tem wiersz ten:

Tem jest wielkość odwieczna poznawcy Bramana:
Dzieła go nie wywyższą, obniżyć nie mogą.
W tę wielkość każdy wnikaj, podążaj tą drogą,
A dzieła złego żadna nie dotknie cię zmaza.

Przeto kto o tem wie, ten zmysły przemógł; pełen spokoju i wyrzeczenia, cierpliwy on jest i skupiony; w duchu swym tylko samość widzi i wszystko widzi jako samość; nie zmaga go zło, gdyż on zło przemaga; nie parzy go zło, gdyż on zło spopiela; wolen od zła, wolen od żądz i od wątpienia wolen, B r a m a n a staje się on, — o królu królów, — B r a m a n a prawym staje się ten, którego świat Bramanem jest. —

Tako rzecze Dżajnawalkya. Odpowie tedy król:

„O mężu święty, lud mój oddaję ci w niewolę i samego siebie ponadto!"

24. Zaprawdę tem jest wielkie nienarodzone Atman, które [wszystkie żywe istoty jako] karm chłonie i szafarzem dobra jest. Dobro znajduje ten, kto o tem wie.

25. Zaprawdę, to wielkie nienarodzone Atman, niestarzejące się, niewiędnące, nieśmiertelne i nietrwożne, — Bramanem jest. Nietrwożnem, zaprawdę, Braman jest; nietrwożnem Bramanem staje się, kto o tem wie.

Wielka Aranyaka (Brihadaranyaka) jest prawdopodobnie konglomeratem trzech dawniej samodzielnych upaniszad. Najbogatszą w treść, najprzejrzystszą, najmniej obarczoną balastem egzoterycznym i scholastyką rytuału jest księga druga: Dżajnawalkyam Kandam, nazwana imieniem najpopularniejszego w upaniszadach pramistrza i mędrca. — „Dzajnawalkya" zwie się też pewien rytuał ofiarny, (ofiara pospolita, prawdopodobnie domowa w odróżnieniu od ołtarzowej); podobnie jak imię bohatera Upaniszady Kathy „Nacziketas" — oznacza również ogień ofiarny. Są to więc symboliczne upostaciowania imion uświęconych rytuałem.

Podajemy tu trzecie i czwarte „Bramana" czwartego „Czytania" (Adhyaya) Wielkiej Aranyaki (IV, 3 i 4), to jest, księgi Dżajnawalkyam Kandam część wtórą (niecałkowitą). —

Prostemi pytaniami stara się przenikliwy król Janaka skłonić mędrca do mówienia o wyzwoleniu. Do Bramana wiedzie go też Dżajnawalkya poprzez obrazy ducha „w dwóch stanach": na jawie i w śnieniu.

„W stanie trzecim", snu głębokiego, ów samojaśniejący duch i stwórca jaśnieć nie przestaje, aczkolwiek powiadają, że nie rozważa, nie ogląda, nie odczuwa wówczas, — „Lecz niemasz nic wtórego, nic odeń odmiennego, aby rozważać mógł." Stał się „bezprzedmiotowym subjektem poznania," tamtego brzegu w przelocie sięgnął, Bramanem w przelocie się poczuł.

W chwili śmierci (niewyzwolonego, bo tylko takiego śmierć, jako stan odrębny, sięga) odrywa się ów duch od organów życia jak dojrzały owoc od łodygi. Sprawca funkcyi widzenia (Puru-

sza oka) powraca do słońca, z którego był powstał; psychiczna zaś siła widzenia zbiera się wraz z innemi „Prana,“ siłami życia („organami życia“ — oddają tłómacze, wyciskając na psychicznem pojęciu „prana“ piętno fizyologiczne) — zbiera się w sercu wokół Atmana, niby straż i dostojnicy wokół króla na odjeździe. Poprzez rozpłomieniony wierzchołek serca opuszcza Atman ciało wraz ze wszystkiemi „prana,“ obarczonemi wiedzą o dotychczasowem życiu oraz doświadczeniu nabytem. Wraz z niemi wstępuje duch zmarłego w inne ciało. Dżajnawaikya zda się nie uznawać starego Devayana, indyjskiego czyśca, w którym czas jakiś przebywają dusze, póki bóg śmierci Yama nie przeznaczy im nowej egzystencyi w nowem ciele.

Duch wyzwolonego nigdzie nie uchodzi, gdyż, Bramanem będąc już za życia, Bramanem pozostaje po skonie. Jest to osią i szczytem zarazem ezoterycznej nauki o wyzwoleniu. Do tego punktu zmierzają wszystkie upaniszady, koło niego krystalizuje się cała późniejsza Wiedza Tajemna. Wyzwolony (świadomy) jest dla czasu, przestrzeni i dla bogów nawet ostoją. Oddając hołd jego poznaniu, bogowie sami czczą w nim nieśmiertelność. O tem mówią ostatnie sloki, mające mniej lub więcej dosłowne odpowiedniki we wszystkich innych upaniszadach. —

3-cie Bramanam. Ustęp *14.* — „Mów, co ponadto wyzwoleniu służy“ — Wsród wszystkich tłómaczy, co do tych słów niezgoda. Boehtlingk: „A teraz mów mi o tem, co do wyzwolenia wiedzie.“ Müller: „Speak on for the sake of emancipation.“ Roer: „Speak next of liberation.“ Deussen: „Sage, was, höher als dies zur Erlösung dient.“ — Wobec refrenowego powtarzania tych słów, nawet tam, gdzie i dla Janaki jest niewątpliwie mowa o sprawach wyzwolenia, zda się mieć ten zwrot znaczenie mniej łekceważące wszystko poprzednie; jest on raczej pobudzaniem ku coraz to wyższym sferom ducha. Dlatego po polsku jak powyżej.

20. Wstawka o żyłach zabarwionych: jak włos cienkich (naczynia limfatyczne?), mało się wiąże z całością. W nich to krążyć ma dusza podczas śnienia i uspokajać się w śnie głębokim.—Następne niezbyt zrozumiałe słowa tego ustępu mają prawdopodobnie obrazować przejście od śnienia do snu głębokiego: od „świadomości bycia tem i owem“ do „świadomości bycia wszystkiem“ w chwili, kiedy „subjekt i objekt zlewają się w jednię“ — aż do „zgaśniecia indywidualnego poznania,“ o którem mówi ustęp następny.

21. U *D.* „Erkentnissartig,“ gdy u innych „wszechwiedzący;“ „wesenform,“ gdy u innych: „istotna natura.“ Przytrafiają się u *D.*

gdzieindziej aż takie ustępy: „Nicht das immanente, aber das transcendente Braman sollst du mir erklären.“ Oczywiście niema celu oddawania po polsku takich germanizmów dyalektycznych — w poemacie.

23 do *31*. — Za *R.*; u *D.* wszystkie te ustępy jeszcze bardziej dyalektycznie i zawile.

32. „Licha cząstka tej błogości nadarza s z c z ę ś c i e m inne stworzenia“ — za *R.* i zgodnie z treścią następnego ustępu; u *D.* chyba omyłkowo: „nadarza życiem“(?).

33. Końcowe słowa niezmiernie znamienne w ustach Dżajnawalkyi. Z hieratycznego toku upaniszad wyziera niespodzianie twarz ludzka, maska przebiegłego Bramina. Dżajnawalkya musiał być w podaniu zwartą postacią ówczesnego mędrca: indyjskim Sokratesem. Oto w tejże Wielkiej Aranyace drugie wejrzenie człowieka: — „Czego pożądasz, — wita go król, — pytań przenikliwych, dających sposobność do subtelnych odpowiedzi, czy też krów.“ „Obojga,“ — brzmi łakoniczna odpowiedź Dżajnawalkyi.

34.—Słowa te dostały się prawdopodobnie później i dosyć bałamutnie, żadną zaś miarą nie mogą się odnosić do snu głębokiego, gdyż zaprzeczałyby wszystkiemu, co było powiedziane powyżej o śnie głębokim. To częściowe powtórzenie ustępu 17-go ma być według komentatorów nawiązaniem z dalszym ciągiem.

4-te Bramanam. *2*. Końcowe słowa u *D.*: „er ist von Erkentnissart und alles was von Erkentnissart ist ziehet im nach.“ U *R.*: „It is endowed with knowledge, endowed with knowledge it departs.“ — O znamionach, jakie pozostawiają czyny i cierpienia stanów poprzedniego życia, rozwodzi się szeroko Sri Sankara, wywodząc z nich nawet... talent malarski.

9. „Biel, purpura i granat, zieleń i czerwień,“ mają to być pięciobarwne naczynia serca odpowiadające pięciobarwnym promieniom słońca. Mówi o tem S z a n d o g y a 8, 6, 1 i 2.

10. Dosłownie jak I s a 9.

11. Jak I s a 3, przynajmniej w trzech pierwszych wierszach. Tłóm. za *M. J.* i *S.*: „Narodzin naszych przeznaczenia,“ gdyż cała ta sloka odnosi się najwyraźniej do dalszych narodzin i przeznaczeń. U *D.* natomiast ogólnik melancholijny: „Ja, diese Welten sind freudlos!“ — Tak wielka różnica jest w odczytywaniu pierwszego wiersza tej sloki.

17. „Rodzajom pięciu bytowania,“—„the five kinds of beings,“ „der Wesen fünffach Herr“ (?): — według *S. S.* Gandharwy (duchy

nieba, pośrednicy objawienia), przodkowie, bogowie, demony i rakszasy (złe duchy), lub też pięć kast indyjskich.

18. Sloka ta odpowiada Kenie 2, i tylko w ten sposób tu za *R.* tłómaczoną być może. U *D.* niespodzianie: „Wer Odem nur als Odem etc.“

22 oraz *24* i *25.* – Konglomeratowy charakter ostatniej zwłaszcza części ułatwił braminom wsunięcie tak znamiennego ustępu *22.* Jawiła się więc konieczność podkreślenia, że ta ezoteryczna uauka nie sprzeciwia się tradycyi („idąc za słowami Wed“), oraz potrzeba trywialnego zwrotu ku nakazom kultu: ofiary, jałmużny, pokuty i postów. Z ezoteryczną nauką upaniszad nie mają te zabiegi pobożnych nic wspólnego. Tejże wartości są: *24* i *25.* O tej zachłanności Wed, o tem godzeniu wrogich nawet nauk przez braminów mówione było na początku wstępu ogólnego.

W NIESKOŃCZONOŚĆ. Rzeźba K. LASZCZKI.

Okładka ozdobna do całego tomu X-go będzie dostarczona wraz z kartą tytułową, oraz spisem rzeczy — przy zeszycie 30-ym.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: WIDOK, 13.

REDAKTOR i WYDAWCA — ZENON PRZESMYCKI.

Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów w Warszawie.

HIM
ERA